POLITYKA W CZASACH PANDEMII

Czy Poczta jest w stanie przeprowadzić wybory

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 18/371 27 KWIETNIA–3 MAJA 2020

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Kosiniak-Kamysz w ostrej rozmowie z „Do Rzeczy"

DODATEK SPECJALNY: OD WOJNY KLAS DO WOJNY PŁCI – JAK SIĘ NIE DAĆ IDEOLOGII LGBT

Koronawirus dobija polską piłkę nożną

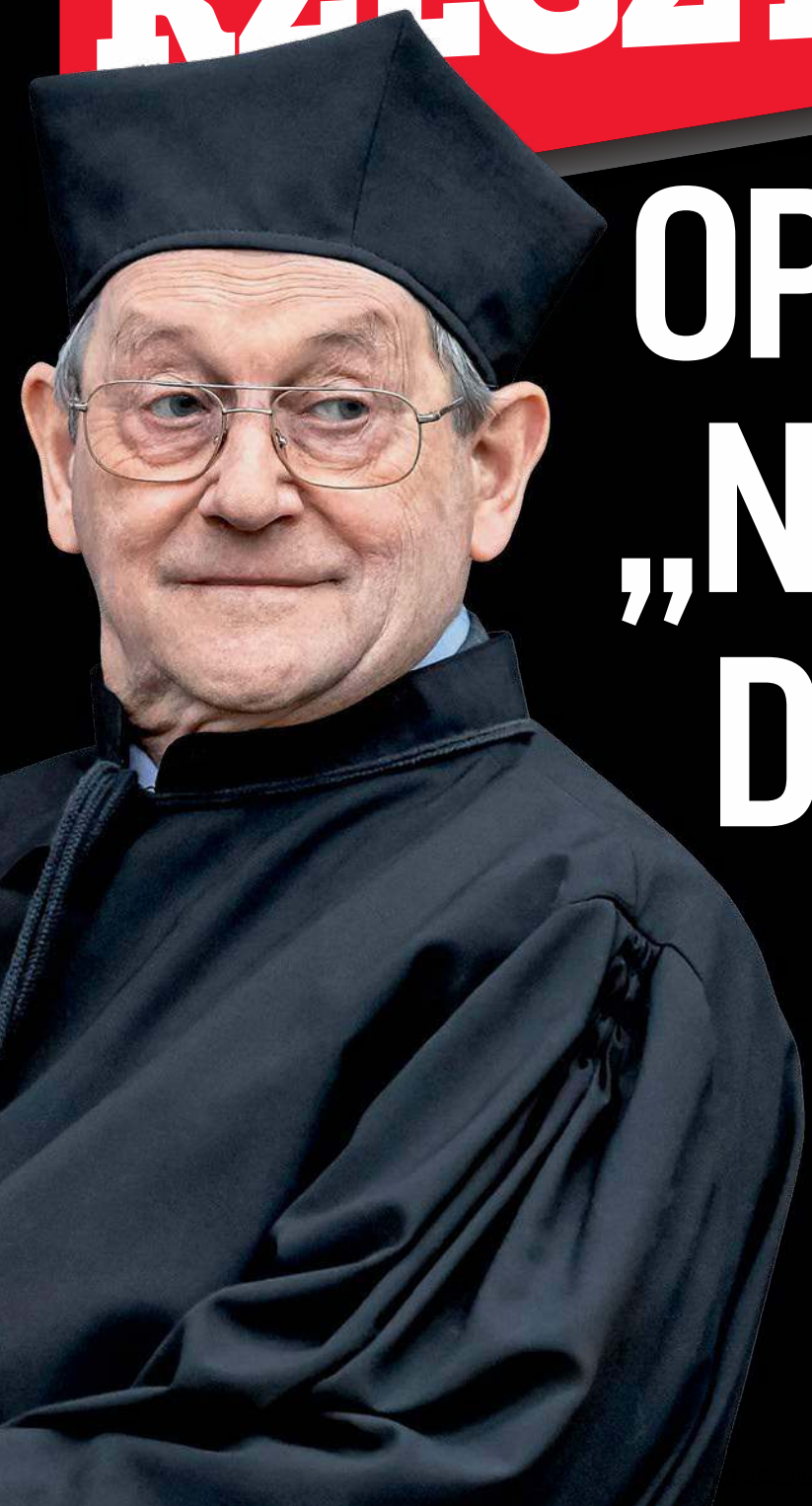

OPERACJA „NORMAN DAVIES"

Jak prożydowskie lobby blokuje w USA kariery niewygodnym naukowcom – pisze Piotr Zychowicz

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829 Nakład: 58 000 egzemplarzy

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

sensacyjny wywiad z byłym członkiem motocyklowego gangu Hells Angels

Piotr Zychowicz – **Wielka gra Piłsudskiego**
Maciej Rosalak – **Polacy w Kijowie**
Jacek Bartosiak – **Geopolityka Ukrainy**
Arkadiusz Karbowiak – **Granatowa policja: kaci czy ofiary?**
Sławomir Koper – **Opowieść o wileńskich rzezimieszkach**
Mikołaj Iwanow – **Jak Hitler chciał podrzucić Żydów Stalinowi**
Sławomir Cenckiewicz – **Sowiecki kat z Katynia**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 33dbceaddd

Połącz się z dedykowaną infolinią:

22 484 84 84
732 122 500

Koszt połączenia zgodny z cennikiem operatora

KPRM

Tarcza Antykryzysowa

Ruszyły miliardy złotych na ochronę miejsc pracy

Nie ma wolności bez godności. W tych trudnych czasach, postawiliśmy sobie jeden cel gospodarczy: **zachować jak najwięcej miejsc pracy i uratować jak najwięcej polskich firm.** Sprawne państwo musi być państwem wrażliwym społecznie. Zwłaszcza dzisiaj.

Tarcza Antykryzysowa

po 3 tygodniach

1 500 000
złożonych wniosków o wsparcie

1 mln firm
zawnioskowało o zwolnienie ze składek ZUS

900 000
miejsc pracy pod ochroną Tarczy Antykryzysowej

820 mln zł
wypłaconych na ochronę miejsc pracy

250 000
samozatrudnionym przyznano świadczenie postojowe

170 000
pracowników otrzyma dofinansowanie pensji

Już za chwilę!

100 mld zł z Tarczy Finansowej PFR

- Subwencje dla firm zatrudniających już od 1 pracownika
- Nieoprocentowane
- Umorzenie do 75%
- Na oświadczenie
- Czekamy tylko na akceptację ze strony Komisji Europejskiej.

Sprawdź, jak Tarcza Antykryzysowa może pomóc Tobie: **gov.pl/tarczaantykryzysowa**

KPRM Tarcza Antykryzysowa

eprasa.pl 33dbceaddd

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Paranoja reporterów

Pod koniec lat 80. jako student prawa pojechałem, tak jak wielu innych, szukać pracy do Norwegii. Szczęśliwie mój norweski znajomy nie tylko mi w tym pomógł, lecz także zadbał o to, by moja kariera nie ograniczyła się do zbierania truskawek i malowania stodół. Od czasu do czasu zapraszał mnie na spotkania towarzyskie, na których można było, jak to bywa, porozmawiać od serca. Pamiętam, jak pewnego razu po jednym z nich wyszedłem zszokowany. Szliśmy wieczorem ulicami Oslo i w pewnej chwili nie wytrzymałem: „Słuchaj – spytałem – czy oni tak naprawdę?". Popatrzył na mnie z ironią. „Tak, tu wielu tak uważa".

RYSUNEK TYGODNIA

Chodziło o to, że większość spotkanych przeze mnie tego wieczoru norweskich studentów święcie wierzyła, że kapitalizm jest źródłem wyzysku i zniewolenia, prawdziwą wolność można znaleźć w komunizmie, a wolność demokratyczna to fasada, za którą skrywają się wyzysk i przemoc klasowa. Miałem wrażenie, jakbym właśnie opuścił dom wariatów. Pierwszy raz wtedy zrozumiałem, że wskutek ideologicznego zacietrzewienia można widzieć świat całkiem na opak.

Podobnie poczułem się, czytając ostatni raport na temat wolności prasy przygotowany przez skądinąd szacowną niegdyś instytucję, którą są Reporterzy bez Granic. Według niej Polska spadła na 62. miejsce w rankingu wolności mediów – obejmuje on 180 państw. Zdaniem autorów, jeśli chodzi o swobodę wypowiedzi, to jest ona w Polsce bardziej ograniczona niż m.in.: w Armenii, Gruzji, Chorwacji, Bośni i Hercegowinie, Nigrze czy Senegalu. W Europie Środkowo-Wschodniej gorzej pod tym względem wypadły tylko Węgry oraz Ukraina. Od 2015 r. w rankingu organizacji Reporterzy bez Granic Polska jest systematycznie umieszczana coraz niżej. Według autorów raportu Polska znajduje się „w grupie państw, w których występują wyraźne problemy z poszanowaniem wolności prasy". W tej samej grupie są m.in.: Mongolia, Etiopia i Kirgistan. Naprawdę, to był primaaprilisowy żart. W jaki sposób ten raport się pojawił?

Powód pierwszy to oczywiście zaczadzenie ideologiczne autorów. Tak jak poznani przeze mnie wiele lat temu norwescy studenci, tak dzisiejsi reporterzy po prostu nie są w stanie kierować się rozumem. Emocja poprzedza i uniemożliwia wydanie sądu. Nie znoszą konserwatyzmu i prawicy. W istocie rzeczy wolność słowa jest w ich mniemaniu wolnością wypowiadania jedynie słusznych, liberalnych, postępowych i demokratycznych poglądów. Każdy, kto ich nie podziela, zostaje natychmiast odpowiednio napiętnowany i z debaty wykluczony. Staje się przedstawicielem „skrajnej prawicy" albo ekstremistą, albo nienawistnikiem.

W oczach zachodnich ekspertów miarą oceny wolności słowa przestał być już dawno pluralizm światopoglądowy. Gdyby tak było, Polska powinna zajmować jedno z pierwszych miejsc. To właśnie w Polsce dochodzi do prawdziwego starcia idei. To właśnie w Polsce można otwarcie mówić o tym, że aborcja to zabijanie nienarodzonych, a tzw. związki jednopłciowe są wynaturzeniem. To w Polsce wolno wskazywać na zagrożenie, które przynoszą muzułmańscy imigranci. Tyle że według liberalnych macherów te naturalne przejawy różnicy zdań są… znakiem nienawiści. Dlatego nic dziwnego, że na pierwszych miejscach w rankingu są te państwa, jak właśnie Norwegia, gdzie praktycznie realnej debaty i ostrych sporów nie ma. W większości państw wskazanych jako wzorce bezwzględnie panuje już ideologia politycznej poprawności. Dla poglądów tradycyjnych i konserwatywnych miejsca w debacie publicznej nie ma. Ewentualnie, owszem, ich reprezentanci mogą żyć, jeśli pogodzą się ze statusem pariasów w rezerwatach.

Jak można mówić o tym, że w Polsce brak wolności słowa, skoro w zdecydowanej większości mediów na rządzących wiesza się psy? Skoro całkiem bezkarnie i bez żadnych konsekwencji plecie się dzień w dzień i noc w noc, co ślina na język przyniesie, używając wobec władzy wszystkich możliwych epitetów? Skoro raz po raz jej przedstawicieli nazywa się szaleńcami, zarzuca się im autorytaryzm, uważa za oszołomów i nieudaczników? Zawsze publicznie, głośno i stanowczo. Można. Wystarczy zamknąć oczy.

Dzisiejsze raporty Reporterów bez Granic przypominają dawne opracowania sowieckiej „Prawdy". Tylko że komunistyczni towarzysze produkowali swoje ustalenia powodowani strachem i konformizmem. A co kieruje Reporterami bez Granic? Rozumiem, że nikt im tych bredni pisać nie każe. Głupota to jednak za mało, żeby ich wytłumaczyć. Więc chyba ideologiczna paranoja. ©℗

eprasa.pl 33dbceaddd

TEMAT TYGODNIA

20 PIOTR ZYCHOWICZ
OPERACJA „DAVIES"
Próba zniszczenia kariery

24 PIOTR WŁOCZYK
JAK WYLECIEĆ Z HUKIEM

KRAJ

26 PIOTR SEMKA
KTO ZOSTANIE „ZMOKŁĄ KURĄ"?
Co dalej z partią Jarosława Gowina

28 WOJCIECH WYBRANOWSKI
WOJNA POCZTOWA

30 ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM SOBOLEWSKIM
CHCĄ WYMIENIĆ KIDAWĘ-BŁOŃSKĄ NA HEJTERA

32 ŁUKASZ ZBORALSKI
PIJANY? TO WYSIADASZ

KULTURA

34 KRZYSZTOF MASŁOŃ
WIELKA WYROBNICA MALARSTWA
Książka o Tamarze Łempickiej

38 PIOTR GOCIEK
ZMARTWYCHWSTANIE UTRACJUSZA

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

DODATEK SPECJALNY

45
OD WOJNY KLAS DO WOJNY PŁCI

OPINIE

62 ROZMOWA Z WŁADYSŁAWEM KOSINIAKIEM-KAMYSZEM
PUCZE ŹLE SIĘ KOŃCZĄ
Podczas pandemii ważna jest ciągłość władzy

66 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
SIŁA ROZPĘDU

68 PAWEŁ CHMIELEWSKI
PAPIEŻ, WIRUS I „REPRYMENDA WIELKIEJ MATKI"

HISTORIA

70 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
PIĘCIOLINIA POLITYCZNA
Kulisy powojennego wskrzeszania Polskiego Radia

ŚWIAT

74 ROZMOWA Z WITOLDEM GADOWSKIM
KORONAWIRUS KOŃCZY ERĘ GLOBALIZACJI
Pandemia minie, izolacja zostanie

78 JACEK PRZYBYLSKI
POLITYKA WAŻNIEJSZA NIŻ ZDROWIE

80 MARIA KĄDZIELSKA
REKORD PODCZAS PANDEMII

EKONOMIA

86 ŁUKASZ WARZECHA
NIEBEZPIECZNE LUZOWANIE
Obrona w czasie kryzysu

DODATEK SPECJALNY

89
INNOWACJE W FARMACJI I LECZENIU W CZASIE COVID-19

SPORT

100 ŁUKASZ MAJCHRZYK
KOGO PANDEMIA WYRZUCI NA OUT
Koronawirus zakaził sport

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (9), KOWALCZUK (10), GMYZ, GOCIEK (18), ZYCHOWICZ, KOPER (72), PRZYBYLSKI (85), GABRYEL, WARZECHA (88), KOMUDA (102), ZALEWSKI, MAKOWSKI (105), NOWAK (106)

eprasa.pl 33dbceaddd

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Blanka Aleksowska**, **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzyr**, **Sandra Skibniewska**, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Przemysław Harczuk** (także „Super Express").

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Tytus Żmijewski/PAP**
WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10
ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 58 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy,

Zachęcamy do nadsyłania korespondencji i przypominamy nasz adres e-mailowy: listy@dorzeczy.pl.

„Ślepa uliczka Krakowa", Marcin Makowski, „DRz" 16/2020

Ten artykuł p. Marcina Makowskiego bardzo mnie poruszył. Zwrócił uwagę na istniejącą od wielu lat, i to bez pandemii, kwarantannę krakowskiego Starego Miasta.

Miasto na zawsze związane z moim dzieciństwem, młodością, ze szkołami, z kafejkami, ze spotkaniami przyjaciół i ciekawych ludzi. Dzisiaj wracam do jego starego centrum z niesmakiem i prawie lękiem. Przepełnionego tłumami turystów w letnie dni i wyludnionego z mieszkańców nocą. Idąc wzdłuż A-B, gdzie 50 lat temu rozpoznawałem połowę przechodniów, czuję się dziś jak nieproszony gość w jakimś obcym, brzydkim mieście. Nawet nie jak turysta poszukujący obiektu do sfotografowania, lecz intruz, któremu nie podobają się te obrzydliwe karoce dla plebejskiego nuworysza. Oraz ten koszmarny, wszechobecny hałas, harmider mieszanki hip-hopu i ludowej muzyczki.

Jeszcze momentami, w jakimś zaułku Poselskiej, na Plantach czy na rogu Collegium Maius odżywa to wspomnienie swojskości i jakości. I zaraz czar pryska, gdy wchodzę do jakiejkolwiek sieni, na podwórko starej kamienicy, której balkony oficyn zmonopolizowały biura real estate immobilia, jeśli nie banków, biur podróży i najdroższych butików, rozwalających luksus od piwnic do strychów, na kilku piętrach dostępnych dzięki cichobieżnym windom.

Jakżeż potrzebne byłoby tutaj w tym starym mieście to paradoksalne powiedzenie: „Żeby było tak, jak było". Jakim cwaniackim cudem władze spowodowały lub przystały na taką degradację miasta? Gdzie był plan zagospodarowania stref i kondygnacji budynków z przeznaczeniem mieszkalnym, gwarantujący obecność mieszkańców, a nie turystycznych zombi?

Żyję od pół wieku w mieście, gdzie jest również stary rynek (Grand Place, przypominający wymiarami bardziej warszawski niż ten w Krakowie), na którym też są tarasy kawiarni, ale dozwolone są one tylko przy dwóch pierzejach prostokątnego placu. W Krakowie – wolność Tomku – dotyczy to wszelkiej posiadłości; żadnego ograniczenia, miasto musi żyć z podatków dopóty, dopóki tylko się da, a teraz na ile pozwoli pandemia. Tak jak w tej wstrętnej piosence z czasów niemieckiej okupacji: „Kto handluje, ten żyje". Kryzys pandemii uzmysłowia krótkowzroczność gospodarzy miasta; oby im pozwolił wyciągnąć teraz wnioski, nigdy nie jest za późno.

arch. Jerzy Kowal, Bruksela

„Ekologizm bezobjawowy", Igor Zalewski, „DRz" 17/2020

[...] Jak zwykle smaczna historyjka red. Zalewskiego przypomniała mi (dość luźno powiązaną z tematem felietonu, ale na skojarzenia nie ma rady) anegdotę, którą przed kilkunastoma dniami opowiadał mi znajomy. Wyszedł po najpotrzebniejsze, choć drobne sprawunki do niewielkiego sklepiku w niedużym mieście. Stanął w kolejce, zachowując odpowiednią odległość od osoby go poprzedzającej, ale już kobieta ustawiająca się za nim stanęła tak blisko, że niemal czuł jej oddech na plecach. Dyskretnie próbował się odsuwać, ale ona była jak przyklejona. Kiedy uznał, że dalej już przesunąć się nie może, bo nie chce podchodzić zbyt blisko osoby przed nim, zwrócił kobiecie uwagę, że powinna zachować dystans. Na co ona, wyraźnie rozczarowana naiwnością swojego sąsiada i z nieudawanym zdziwieniem w głosie, spytała: „To pan naprawdę wierzy w tego koronawirusa?".

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

„Fiasko cyfrowej szkoły", Łukasz Zboralski, „DRz" 16/2020

Dobrze, że piórem red. Łukasza Zboralskiego podjęli państwo ten temat. Tylko co z tego? [...] Z tego, co wiem, każdemu raportowi NIK towarzyszą tzw. wnioski pokontrolne, chciałbym się dowiedzieć, czy cokolwiek z nich zrealizowano, a jeżeli nie, to dlaczego i czy w ogóle istnieje jakiś plan naprawy tej sytuacji.

Andrzej Niedziela

Wyjaśnienie

W moim artykule „Chopin i triumf nauki", opublikowanym w „Do Rzeczy" 17/2020, pojawił się chochlik; przywołany został Pluton, podczas gdy cały czas mowa jest o planecie Neptun.

Jerzy Miziołek

eprasa.pl 33dbceaddd

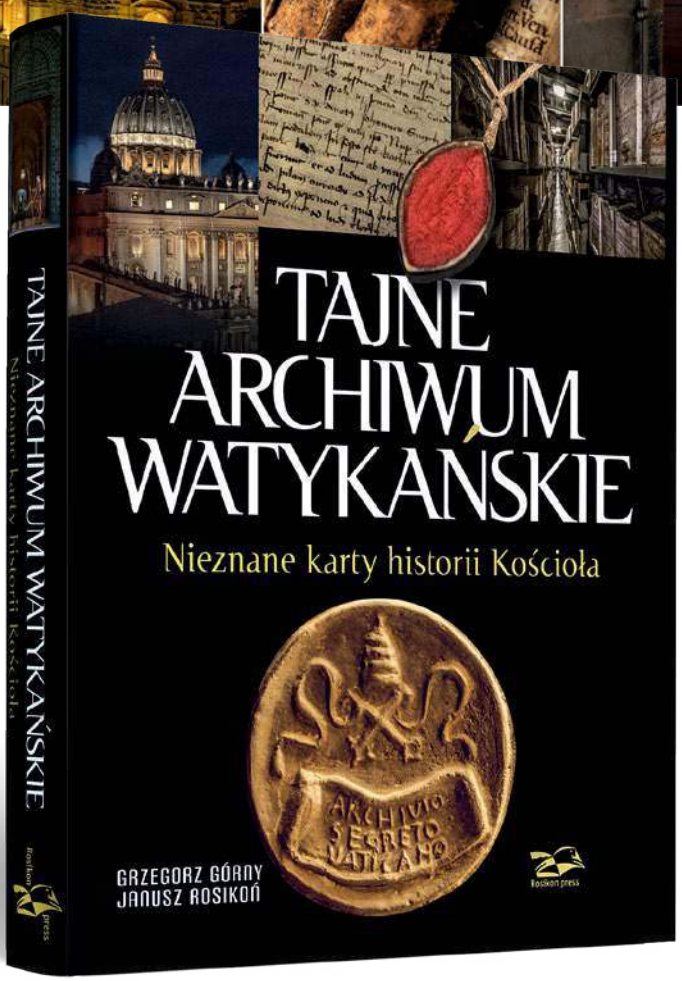

to najbardziej intrygująca książka w dorobku **Grzegorza Górnego** i **Janusza Rosikonia**. Reportażysta i fotograf wchodzą do środka jednej z najbardziej strzeżonych instytucji na świecie – Tajnego Archiwum Watykańskiego. Przybliżają kulisy kontrowersyjnych wydarzeń z dziejów Kościoła, takich jak np. **proces templariuszy, wyprawy krzyżowe, działalność inkwizycji, proces Galileusza** czy **postawa Piusa XII wobec Holokaustu**. Błyskotliwie napisana książka, ilustrowana wieloma unikalnymi zdjęciami jest obowiązkową lekturą dla tych, których pasjonują zagadki historii.

ponad 700 map, zdjęć i ilustracji
352 strony

sklep internetowy:
www.rosikonpress.com
tel. 22 722 66 67

Rosikon press 30 lat

PATRONAT

TVP HISTORIA

GOŚĆ NIEDZIELNY

wiara.pl

niedziela TYGODNIK KATOLICKI OD 1926

eprasa.pl 33dbceaddd

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Be like Albanian

Pokolenie 60+ może pamiętać przedziwny status Albanii w Europie z lat 70. i 80. zeszłego wieku. Ten niewielki kraj był państwem, które całkowicie odizolowało się od reszty świata. Na przejściach granicznych nie było ruchu, bo nikt nigdzie nie wyjeżdżał ani nikogo nie wpuszczano. Kraik ten należał po wojnie początkowo do obozu sowieckiego, potem zerwał z Moskwą jako krajem niedostatecznie marksistowskim i za jedynego przyjaciela w świecie uznał Chiny. A gdy Pekin rozpoczął w epoce Deng Xiaopinga reformy rynkowe, Albania obraziła się na wszystkich i izolacja stała się bliska doskonałości. Kraj był zasadniczo samowystarczalny. Mizerniutki eksport sprowadzał się do papierosów DS i Porti oraz koniaku Skënderbeu.

O Albanii pomyślałem w kontekście raportów każących myśleć nam o nawrotach pandemii w perspektywie najbliższych dwóch lat. Porównanie jest oczywiście ułomne. W albańskich sklepach było niewiele, za to w naszych na razie niczego nie brakuje. Zamknięcie naszych granic może jednak potrwać długo nie z racji jakiejś ideologii, ale strachu przed koronawirusem. Adam Kucharski, profesor w londyńskiej Szkole Higieny i Medycyny Tropikalnej, wieszczy, że początkowe nadzieje na jeden wielki wysiłek, doczekanie się końca epidemii i powrót do dawnych czasów to miraż, którego trzeba się wyrzec. Powszechną praktyką może być raczej cykliczne znoszenie ścisłych restrykcji i ich ponowne nakładanie w razie nawrotu kolejnych mutacji wirusa. Takie nawroty lockdownu mają być uruchamiane w chwilach, gdy liczba nowych chorych będzie przekraczać jakiś alarmowy poziom, np. współczynnik liczby miejsc na oddziałach intensywnej terapii. Będzie to trochę przypominało bajkę o smoku wawelskim. Smok grasuje – nie wychodzimy z domu, smok zamyka się w pieczarze – możemy wyjść na zewnątrz.

W praktyce oznaczać to musi utrzymanie blokady granic przez nie wiadomo jak długi czas. Trudno wyobrazić sobie skuteczne wprowadzanie i odwieszanie restrykcji w sytuacji krążenia ludzi po świecie w starym stylu. Oczywiście nie będzie to dotyczyć handlowego transferu dóbr – cierpliwość ludzi wyczerpie się, jeśli w sklepach będą puste półki. Dla zwykłych ludzi oznacza to jednak, że nie wiadomo, kiedy będzie można wpaść na parę dni do Berlina czy Pragi. A choćby nawet biura turystyczne drastycznie obniżyły ceny wyjazdów, to wizja trafienia z zakażeniem koronawirusem do szpitala w Tunezji czy nawet na Cyprze będzie odstraszać od wyjazdów. Ubocznym efektem tej sytuacji będzie jeszcze bardziej krytyczne nastawienie Europejczyków do imigracji ludzi z Afryki i Azji. Każdy przybysz może być bowiem utajonym wysłannikiem jakiejś nowej mutacji wirusa. Oczywiście wszystkie kraje unijne wiedzą, że ludzie zniosą obostrzenia dopóty, dopóki sklepy będą pełne towarów, a kurier przywiezie nam wymarzone przesyłki z Amazona. Dlatego tiry śmigają przez pustawe autostrady. Bezpośrednia komunikacja jednak zamrze. Co więcej, zamieni się w trwały lęk epidemiologiczny, który jeszcze bardziej osłabi głosy wzywające od akceptacji imigracji do Europy ludzi z Afryki i Azji.

Zablokowane granice spowodują popyt na literaturę podróżniczą – dokładnie tak samo, jak było w PRL. Tylko Amazon i eBay zacierają ręce. ©℗

FOT. MAREK MALISZEWSKI/REPORTER

POŻAR PARKU NARODOWEGO

Ponad 30 zastępów straży pożarnej, a także m.in. samoloty, śmigłowce i samochody gaśnicze Lasów Państwowych i policji, walczyło w ubiegłym tygodniu z ogromnym pożarem Biebrzańskiego Parku Narodowego. Ogień objął ponad 6 tys. ha lasu, łąk oraz torfowisk. Spłonęły gniazda, jaja, pisklęta i wiele dorosłych ptaków. Żywioł nie dał też żadnych szans na ucieczkę wielu gatunkom małych zwierząt. Biebrzański Park Narodowy, którego powierzchnia wynosi ok. 60 tys. ha, jest największym parkiem w Polsce. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 33dbceaddd

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Dzbanizm-neumannizm

Gdyby Franklin Delano Roosevelt miał w opozycji nie republikanów, ale naszą Platformę, odpowiedź na jego „new deal" brzmiałaby: „Po co budować autostrady, skoro w czasie dekoniunktury i tak nikt nie jeździ?". Czemu towarzyszyłoby gromkie: „Ha, ha!" i ekspresywne wyrażenia, podkreślające rzekomą głupotę prezydenta i pomysłu, by zamiast przeznaczyć pieniądze na pomoc ludziom i firmom dotkniętym wielkim kryzysem, „marnować" je na inwestycje infrastrukturalne.

Wyjaśnienie najprostsze odpada, bo tweet zamieszczony został przed południem. Pozostały dwie możliwości

Szczęśliwie w Ameryce, być może dzięki jej większościowej ordynacji, ludzie poniżej pewnego elementarnego poziomu nie robią politycznych karier. U nas tak, bo moje „gdyby" nie jest „gdybaniem", tylko parafrazą twitterowej wypowiedzi Sławomira Neumanna (tak, tego od Tczewa). Wypowiedzi następującej: „Trzeba być ekonomicznym, gospodarczym i menadżerskim DZBANEM, żeby w czasie takiego kryzysu rozpoczynać budowę CPK kto będzie latał, jacy turyści? Jakie linie lotnicze? Może Condor? Czy ktoś ma obiecaną tę kasę i muszą ją wydoić?" (pisownia oryginalna, oczywiście).

Poziom zadufanej w sobie… hm, powiedzmy delikatnie, niekompetencji okazany przez byłego wiceministra zdrowia i prominentnego działacza swej partii jest tak zdumiewający, że trudno doprawdy o komentarz zarazem adekwatny i cenzuralny. Rozumiem, pamiętając mniej więcej rządy PO, że inwestycje publiczne kojarzą mu się wyłącznie z „kasą do wydojenia", ale czy mógł nigdy nie słyszeć o tym, że od czasów wspomnianego już wielkiego kryzysu inwestycje publiczne uważane są za jeden z głównych sposobów radzenia sobie z dekoniunkturą? Mający oczywiście liczne wady, ale na pewno nie zasługujący na „szyderę". Czy tak wysoko postawiony polityk może nie rozumieć, że Centralny Port Komunikacyjny to inwestycja obliczona na lata, a nie wydatki, które planuje się „pod" bieżącą sytuację epidemiczną?

Wyjaśnienie najprostsze odpada, bo tweet zamieszczony został przed południem. Pozostały dwie możliwości. Albo Sławomir Neumann uważa swój polityczny target za skończonych idiotów, którzy w zacietrzewionej nienawiści do PiS „kupią" wszystko (pewną wskazówką jest to, że z aplauzem dla jego tez pośpieszyła znana dziennikarka „Polityki"), albo sam jest, jak to ujął, „dzbanem". ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Polsza today

To miała być wyśmienita akcja z udziałem dużej agencji PR-owskiej – przylot samolotu ze środkami ochronnymi zakupionymi przez Dominikę Kulczyk. Wiewiórki ćwierkają, że narracją akcji miało być: „Największy transport, rząd nie daje rady, ale prywatny biznes ratuje Polaków", a puentą spektakularne wystąpienie jednego z postępowych kandydatów na prezydenta.

Tyle że coś „nie pykło". Państwowe spółki – KGHM i Lotos – dały radę, przyleciał gigantyczny An-225 wyładowany zakupionym sprzętem ochronnym. Ludzie Morawieckiego też dali radę i przełamali opór kilku europejskich polityków, którzy przelot antonowa do Polski próbowali – jeszcze w Wielką Sobotę – zablokować.

Skoro polityczna akcja PR-owska opozycji nie wypaliła, to trzeba było narrację odwrócić. W lewicowo-liberalnych mediach ruszyła więc machina propagandowa udowadniająca, że chiński sprzęt jest bez atestów, atesty są złe, bo chińskie itd. Dziennikarze i publicyści TOK FM, „GW" i „Newsweeka" stali się specjalistami od biotechnologii i medycyny. A co, nie wolno? Wolne media! A ignorancja i brak wiedzy o przepisach UDI (unikalna identyfikacja wyrobów medycznych – przyp. red.) przestępstwem nie jest.

Większość mediów zachodnich kwestię transportu do Polski chińskiego sprzętu odnotowała informacyjnie lub z umiarkowanym uznaniem, zupełnie odwrotnie niż kremlowskie Sputnik i Russia Today oraz wspomniane media przywiślańskie. Ciekawe, bo dziwnym trafem te za moment będą przy byle okazji bez cienia skrępowania rzucać na lewo i prawo oskarżenia o grę w orkiestrze Putina. ©℗

eprasa.pl 33dbceaddd

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O zacietrzewieniu i głupocie

Włosi powiadają, że Pan Bóg przyłożył się szczególnie do pracy, tworząc Italię, bo jest tak piękna. Natomiast podejrzewają, że kiedy pracował nad włoskim politykiem, musiał się już spieszyć i niestety wyszło Mu, co wyszło. Znajomy Włoch podesłał mi aforyzm Marka Twaina: „Polityków trzeba zmieniać tak szybko jak pieluchy. I z tych samych powodów". I opatrzył go komentarzem: „To o naszych". Nie bez racji.

Cóż zrobiła włoska klasa polityczna przed arcyważnym dla przyszłości Italii szczytem unijnym w sprawie walki z gospodarczymi skutkami pandemii? Zjednoczyła się zatroskana o losy kraju? Nic z tych rzeczy. Postanowiła się na oczach całego narodu śmiertelnie pokłócić. Niestety, nie chodziło jedynie o rytualne karczemne awantury między koalicją rządzącą a opozycją. Stało się gorzej. Pokłócili się między sobą rządzący koalicjanci, a na dodatek pokłóciła się ze sobą opozycja. Wszystko sprawia wrażenie szalonego tańca na pokładzie tonącego „Titanica".

Co więcej, premier Conte jest prawnikiem wypożyczonym do polityki i nie posiada żadnego politycznego zaplecza. Kuriozalny rząd, któremu przewodzi, nigdy nie miał poparcia Włochów. Jedyną zaś pracą przypadkowego szefa MSZ Luigiego di Maio, zanim został politykiem, była sprzedaż napojów na Stadionie San Paolo w Neapolu.

Włoscy naukowcy wezwani sprzed mikroskopów do studiów telewizyjnych nie są lepsi. Kłócą się o koronawirusa, ale przede wszystkim między sobą. Profesor Burioni powiedział, że jeśli jego kolega prof. Tarro był naprawdę kandydatem do Nagrody Nobla, to on, Burioni, był kandytatem na Miss Italia. Tarro na to, że Burioni świetnie nadaje się na wybieg, byle nie otwierał ust. Żałosne. Chodzi naprawdę o naukowe autorytety. Inny, prof. Ricciardi (reprezentuje Italię w WHO), na Twitterze obraził Donalda Trumpa.

Nie mam dowodów, ale graniczące z pewnością podejrzenie, że we Włoszech koronawirus atakuje również organ intelektualny ludzi polityczno-naukowych elit. Biada nam w Italii. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Hierarchia potrzeb

Jak znaleźć polityków oraz instytucje, które w czasach pandemii potrafią poprawnie zdefiniować hierarchię potrzeb? Poruszyć tematy, które powinny mieć dzisiaj absolutny priorytet? Skorzystajmy z niezawodnego Twittera. „Prawa człowieka są fundamentem UE i należy o nich pamiętać w każdym momencie. Polska i Węgry wykorzystują pandemię do ograniczania praw osób LGBT i kobiet oraz naruszania zasad demokracji. Unia musi w tych sprawach stanowczo zareagować i bronić swoich kluczowych wartości. #FalaSprzeciwu" – stwierdziła Sylwia Spurek.

Gdy aborcja będzie już zabezpieczona, co dalej? „To paradoks, ale być może jedynym sposobem na zawrócenie Polski z antydemokratycznej ścieżki jest zwycięstwo opozycji w wyborach zorganizowanych przy złamaniu prawa i konstytucji. A jeśli nie – to zostaje już tylko Majdan" – uświadomił nas Leszek Jażdżewski.

Oprócz wyborów i aborcji należy rozprawić się jeszcze z antychińską propagandą. „Nazywanie COVID-19 mianem »chińskiego wirusa« jest rasistowskie" – ogłosiło Amnesty International. Zaraz po niej czas na walkę o wolne media. „»Fakty TVN« są częścią rodziny Discovery, amerykańskiej firmy notowanej na giełdzie papierów wartościowych w Nowym Jorku, której priorytetem jest przejrzystość, wolność słowa oraz niezależne i odpowiedzialne dziennikarstwo. Sugestie, że jest inaczej, są fałszywe" – napisała Georgette Mosbacher.

Gdy już wszystkie te rzeczy będą zapewnione, trzeba odbudować infrastrukturę i wzmocnić gospodarkę. „Trzeba być ekonomicznym, gospodarczym i menadżerskim DZBANEM, żeby w czasie takiego kryzysu rozpoczynać budowę CPK kto będzie latał, jacy turyści? Jakie linie lotnicze? Może Condor? Czy ktoś ma obiecaną tę kasę i musi ją wydoić?" (pisownia oryginalna) – uznał przytomnie Sławek Neumann. A na końcu wygłosić klarowny komunikat polityczny. Taki jak ten Małgorzaty Kidawy-Błońskiej: „Nie można oddawać walkowerem demokracji. Nie można w jednym zdaniu mówić o poszanowaniu konstytucji, a w drugim zachęcać do jej łamania. Kandydaci, którzy to robią, narażają życie Polaków i uwiarygadniają wyborcze oszustwo". I pozamiatane. ©℗

eprasa.pl 33dbceaddd

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, słyszeliście o skandalicznej akcji #wybierz590, która ma na celu szowinizm konsumpcyjny i wyeliminowanie z rynku produktów pochodzenia innego niż jedyne słuszne pochodzenie polskie?

Otósh właśnie trwa taka akcja, która pod niemodnym i połatanym płaszczykiem wspierania firm z tego kraju promuje postawy szowinistyczne i ksenofobiczne. Zachęca nas bowiem do tego, iżby dzielić produkty na gorsze i lepsze ze względu na kraj ich pochodzenia, jakby miało to jakiekolwiek znaczenie.

Gdybyśmy chcieli nawet podążać za tym trendem (co, of kors, jest mocno wątpliwe xD), to skąd niby mielibyśmy wziąć kiełki sushi pochodzenia krajowego? Albo tofu? Albo chianti?

Sami więc widzicie, iż ta akcja nie ma sensu. Co więcej, takiego zaściankowego konsumpcjonizmu powinniśmy się wstydzić przed Unią Europejską. Na szczęście mamy w planach zakupy w niemieckim markecie, więc nas o taki „patryjotyzm" gospodarczy nikt nie będzie podejrzewał, ufff.

Kochani, w licznych e-mailach pytacie nas o to, jakich przygód doświadczamy na home offisie. Otóż dzieje się. Ostatnio pomyliliśmy niedzielę z wtorkiem i zżymaliśmy się, iż przez cały dzień nikt nie odpowiada nam na e-maile, jednego dnia wyszliśmy na balkon, a innego dwa razy gotowaliśmy wodę na herbatę, iż zapomnieliśmy, iż już raz się zagotowała.

Nuda na home offisie jest więc bardzo dojmująca – jeśli nie symulujecie pracy, to możecie mieć problem, jak ją mądrze zagospodarować. Oglądanie seriali i czytanie książek jest oczywiście too mainstream, byle janusz z dostępem do netflixa ma na wyciągnięcie ręki dostęp do tych samych dóbr popkultury, które oglądaliście i wy, co oznacza, iż stały się one rozrywką nieelitarną, którą każdy ogląda, ale jednak nie każdy może zrozumieć.

Czytanie książek za to zawsze było dyskusyjne, iż kojarzy nam się z opresją szkolnych lektur i ze wszystkimi tymi heteronormatywnymi rycerzami z powieści Mickiewicza. Pytacie więc: Co robić? Cóż, zawsze można się udać na wewnętrzną emigrację i otworzyć swoje internalne granice na doświadczenia wspólnoty z innymi zamkniętymi w lockdownie społecznościami Europy.

Można układać własne teorie spiskowe na temat koronawirusoosoby, można pisać manifesty programowe dla swoich wyimaginowanych postępowych organizacji, ale od czasu do czasu trzeba też odpisać na jakiegoś e-maila, iżby w tym wszystkim przypadkiem nie wylecieć z korpo... ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Wycofana czy nie?

Borys, bo ja już nie wiem w końcu – ja wycofana jestem czy nie?
Ale kiedy, Gośka?
Jak to, kiedy? No, na wybory...
Ale na które? 10 maja, później w maju, w sierpniu, na wiosnę przyszłego roku czy za dwa lata?
Oj, moment, ja sobie to muszę ponotować, bo mi się potem pomyli, jak mnie będą pytać, i znowu będzie hejt.
Czekaj, tu miałam notesik gdzieś... O, już. Czyli może zacznijmy od...
Zrozum, tu nie ma prostej odpowiedzi.
Nie rozumiem właśnie. Mam ogłosić, że się wycofuję, czy nie? To chyba jest „tak" albo „nie"?
Nie, bo...
Znaczy: nie wycofuję się na 10 maja? Tylko jasno mów, tabelkę sobie tu narysowałam.
Na 10 maja chyba nie, ale to zależy, bo gdyby...
Borys, ja muszę mieć jasny komunikat. Sam wiesz, że jak tylko jest coś bardziej skomplikowanego, to ja się gubię i potem ty masz pretensję, że znów coś nie tak powiedziałam.
Wiesz co? To ty może już po prostu nic nie mów.
Ale pytać mnie będą przecież! To jak mam nic nie mówić?
To pokazuj, że cię ząb strasznie boli i nie możesz gadać. Teraz dentyści są nieczynni i nie wiadomo, kiedy będą. A to się akurat ładnie przy okazji zwali na rząd. I gitara gra. ©℗ ***Łukasz Warzecha***

OD RZECZY

„Jak będzie się nazywała funkcja, którą obejmie zwycięzca »wyborów« kopertowych?".

TOMASZ LIS, *publicysta, na Twitterze*

eprasa.pl 33dbceaddd

Majątek w rodzinie

Jak przekazać darowiznę dzieciom lub rodzicom? Czym jest zachowek i komu przysługuje? Czy darowizna oraz spadek podlegają jednakowym zasadom podatkowym? Jakich formalności dopełnić, aby skorzystać z ustawowego zwolnienia z opodatkowania? Jak uniknąć dziedziczenia długów?

Gruba koperta wypchana pieniędzmi, papiery wartościowe, ekskluzywna wycieczka zagraniczna, luksusowy jacht, a także samochód, mieszkanie, działka budowlana, dom czy wielka zabytkowa rezydencja. Przedmiotem darowizny mogą być praktycznie dowolne składniki majątku. Artykuł 888 Kodeksu cywilnego definiuje bowiem istotę darowizny jako zobowiązanie darczyńcy „do bezpłatnego świadczenia na rzecz obdarowanego kosztem swego majątku".

Co do zasady otrzymanie darowizny wiąże się z obowiązkiem zapłaty podatku. To, czy osoba obdarowana rzeczywiście będzie musiała zapłacić podatek od darowizny i jaka będzie jego wysokość, zależy jednak od wartości przedmiotu darowizny, a także od stopnia pokrewieństwa z darczyńcą. Zasada jest prosta: im dalsze pokrewieństwo, tym podatek wyższy. Kwestie te reguluje ustawa z dnia 28 lipca 1983 r. o podatku od spadków i darowizn, dzieląc spadkodawców i darczyńców na trzy grupy podatkowe (art. 14 Ustawy). Najniższy podatek płacą osoby z I grupy podatkowej (od 3 do 7 proc.), najwyższy z III grupy podatkowej (od 12 do 20 proc.).

GRUPA ZEROWA – BEZ PODATKU

Do pierwszej grupy podatkowej ustawodawca zaliczył małżonków, wstępnych oraz zstępnych (czyli np. rodziców, dziadków, pradziadków oraz dzieci, wnuki, prawnuki), a także pasierbów i pasierbice, macochy, ojczymów oraz rodzeństwo, teściów, zięciów i synowe. Obowiązek zgłoszenia darowizny od takich osób powstaje dopiero po przekroczeniu kwoty wolnej od podatku, czyli 9637 zł. Należy jednak pamiętać, że do limitu tego zalicza się wszystkie darowizny od tej samej osoby otrzymane w ciągu pięciu lat poprzedzających rok, w którym nastąpiło ostatnie nabycie darowizny.

W praktyce ze względu na zwolnienie podatkowe w ramach pierwszej grupy wyróżnia się dodatkowo tzw. grupę zerową, do której należą wszyscy wymienieni z grupy pierwszej poza teściami, zięciami i synowymi. Obdarowany przez osoby z tzw. grupy zerowej zwolniony jest całkowicie z obowiązku zapłacenia podatku niezależnie od wartości otrzymanego majątku. Jest jednak warunek: otrzymanie darowizny należy zgłosić do urzędu skarbowego w ciągu sześciu miesięcy od powstania obowiązku podatkowego, czyli chwili spełnienia świadczenia, złożenia przez darczyńcę oświadczenia w formie aktu notarialnego lub innej albo – jeśli obdarowany o fakcie darowizny dowiedział się po upływie tego terminu – od momentu, w którym taką informację otrzymał, i fakt ten można udowodnić.

Kolejnym istotnym warunkiem zachowania prawa do zwolnienia z podatku, jeśli majątek został przekazany w formie pieniężnej, jest udokumentowanie w postaci dowodu przelewu na rachunek nabywcy w banku, spółdzielczej kasie oszczędnościowo-kredytowej lub za pomocą przekazu pocztowego. Potwierdzenie otrzymania takiego przelewu warto załączyć do składanego w urzędzie formularza

eprasa.pl 33dbceaddd

FOT. ADOBE STOCK

zgłoszeniowego. Jeśli darowiznę przekazano w gotówce, to należy zapłacić podatek.

JAKA WYSOKOŚĆ PODATKU?

Zgłoszenie darowizny do organu podatkowego polega na dostarczeniu do urzędu skarbowego wypełnionego druku SD-Z2 z deklaracją sumy stanowiącej nadwyżkę ponad kwotę wolną od podatku, określoną dla każdej grupy podatkowej w art. 9 Ustawy. W zeznaniu nie oblicza się wysokości podatku, uczyni to urząd w przesłanej nam decyzji.

Co ważne – umowa darowizny powinna być zawarta w formie pisemnej, a jeśli jej przedmiotem jest nieruchomość, to koniecznie w formie aktu notarialnego. W tym drugim przypadku obdarowany nie jest już zobligowany do dostarczania formularza SD-Z2, ponieważ to notariusz ma obowiązek dokonania wszelkich formalności związanych ze zgłoszeniem aktu darowizny i przekazaniem należności podatkowych do urzędu skarbowego. Chcąc skorzystać ze zwolnienia z podatku, dopilnujmy terminu przekazania do urzędu deklaracji. Brak zgłoszenia w terminie sześciu miesięcy oznacza utratę prawa do zwolnienia podatkowego. W takiej sytuacji podatek trzeba bezwzględnie zapłacić – i to powiększony o odsetki za zwłokę. Do obliczenia zobowiązania wobec fiskusa stosuje się wówczas zasady określone dla nabywców zaliczonych do grupy pierwszej.

Osoba znajdująca się w pierwszej grupie podatkowej może także skorzystać z kwoty wolnej od podatku obowiązującej obok „zwykłego" limitu wolnego od podatku – jeżeli pieniądze lub rzeczy obdarowany przeznaczy w okresie 12 miesięcy od dnia ich otrzymania na wkład budowlany lub mieszkaniowy do spółdzielni, budowę domu jednorodzinnego, nabycie lokalu mieszkalnego stanowiącego odrębną nieruchomość albo spłatę zabezpieczonego hipoteką kredytu mieszkaniowego wraz z odsetkami, to wolna od podatku jest wówczas kwota w wysokości maksymalnie 19 274 zł pochodząca od darczyńców z grupy pierwszej w okresie pięciu lat od otrzymania pierwszej darowizny.

Oznacza to, że jeśli obdarowany wykorzystuje darowiznę na cele mieszkaniowe, to dwóch darczyńców z grona pierwszej grupy może przekazać takiej osobie w sumie 38 548 zł (2 x 9637 zł ze „zwykłego limitu" ulgi oraz 2 x 9637, czyli 19 274 zł składające się na ulgę mieszkaniową) w ciągu pięciu lat bez obowiązku zawiadamiania urzędu skarbowego. W praktyce regulacja ta ma zastosowanie dla darowizn pomiędzy teściami a zięciem lub synową (znajdującymi się poza tzw. grupą zerową całkowicie zwolnioną z podatku) przeznaczającymi darowiznę na cele mieszkaniowe.

Niższa kwota wolna od podatku obowiązuje w ramach przekazania darowizny w obrębie drugiej grupy podatkowej. Ustawa zalicza do niej dalszych krewnych, czyli: zstępnych rodzeństwa (np. bratanice i siostrzeńców), rodzeństwo rodziców (np. ciotki i wujów), zstępnych i małżonków pasierbów, małżonków rodzeństwa i rodzeństwo małżonków, małżonków rodzeństwa małżonków oraz małżonków zstępnych (np. żony wnuków). Kwota wolna od podatku w tej grupie wynosi 7276 zł. Znacznie krótszy jest też czas na złożenie zeznania podatkowego: nadwyżkę ponad wymienioną kwotę deklarujemy na formularzu SD-3 (lub robi to za nas notariusz, jeśli przyjmujemy w darowiźnie nieruchomość) w terminie do jednego miesiąca od dnia powstania obowiązku podatkowego.

eprasa.pl 33dbceaddd

Trzecią grupę podatkową stanowią wszyscy pozostali członkowie rodziny i osoby niespokrewnione. Po otrzymaniu darowizny np. od bogatego znajomego możemy skorzystać z kwoty wolnej od podatku w wysokości 4902 zł, pamiętając cały czas o regule sumowania darowizn od tej samej osoby w okresie ostatnich pięciu lat. O nadwyżce ponad tę wartość, podobnie jak dzieje się to w przypadku drugiej grupy podatkowej, informujemy urząd skarbowy na druku SD-3 w ciągu jednego miesiąca od przekazania darowizny.

Kwota podatku, którą należy zapłacić, zależna jest od wysokości nadwyżki ponad kwotę wolną od podatku. Każda z grup podatkowych ma ustanowione trzy progi owej nadwyżki (do 10 278 zł, do 20 556 zł oraz powyżej 20 556 zł), do których przypisane są konkretne, określone procentowo lub w postaci sumy kwotowej oraz procentowej, stawki podatku.

I tak np. nabywcy darowizny zaliczeni do drugiej grupy podatkowej do progu 10 278 zł płacą 7 proc. podatku, powyżej tej kwoty do 20 556 zł płacą 719,5 zł oraz 9 proc. nadwyżki ponad 10 278 zł, a od darowizny w wysokości przekraczającej 20 556 zł zapłacić trzeba już 1644,5 zł oraz 12 proc. od nadwyżki ponad 20 556 zł.

Na uregulowanie płatności podatku od darowizny obdarowany ma 14 dni od dnia doręczenia decyzji organu podatkowego ustalającej wysokość podatku (poza sytuacjami, w których podatek opłacany jest u notariusza podczas podpisywania aktu notarialnego darowizny nieruchomości).

Przyjęcie spadku nie zawsze musi poprawić sytuację materialną spadkobiercy. Może się bowiem na przykład okazać, że na odziedziczonej nieruchomości lub firmie ciążą większe lub mniejsze długi

NABYCIE SPADKU

Majątek po zmarłym można otrzymać na podstawie dziedziczenia ustawowego lub z testamentu. W testamencie spadkodawca może wskazać dowolne osoby jako powołane do przejęcia części lub całości należącego do niego majątku. Natomiast spadkobiercy ustawowi powoływani są do całości lub części spadku m.in. w przypadku braku testamentu lub stwierdzenia jego nieważności. Według Kodeksu cywilnego zalicza się do nich przede wszystkim dzieci oraz najbliższych krewnych osoby zmarłej – a zatem małżonka, rodziców, rodzeństwo, wnuki itd. Zapisy kodeksu regulują także kolejność, w jakiej spadkobiercy ustawowi są powoływani do spadku.

Osoby dziedziczące majątek na drodze dziedziczenia ustawowego z punktu widzenia prawa nabywają spadek z chwilą otwarcia spadku, czyli w momencie śmierci spadkodawcy. I chociaż nie mają obowiązku uzyskania postanowienia nabycia spadku czy też notarialnego poświadczenia dziedziczenia, to bardzo często w interesie samego spadkobiercy leży, aby dysponował wobec innych osób dokumentem potwierdzającym jego prawa do spadku. Stwierdzenie nabycia spadku (bądź notarialne poświadczenie dziedziczenia) jest niezbędne m.in. wtedy, gdy w skład spadku wchodzi np. dom. Brak takiego dokumentu uniemożliwia bowiem wywiązanie się z nałożonego przez ustawę o księgach wieczystych i hipotece obowiązku niezwłocznego złożenia przez spadkobiercę wniosku o ujawnienie swego prawa w księdze wieczystej. Jego niedopełnienie z kolei może wiązać się z dotkliwą karą grzywny.

Postanowienie o stwierdzeniu nabycia spadku wydaje sąd na wniosek jednego lub kilku spadkobierców (opłata za złożenie wniosku wynosi 50 zł, opłata za wpis do rejestru spadkowego – 5 zł) po przeprowadzeniu postępowania, w którym weryfikowane są wszelkie dokumenty (te dostarczone razem z wnioskiem – akt zgonu spadkodawcy, akty urodzenia i małżeństwa spadkobierców – oraz te dołączone w trakcie przebiegu sprawy), badany jest krąg spadkobierców, jak również kwestia ewentualnych zapisów testamentu. W końcowym postanowieniu sąd wskazuje wszystkich spadkobierców oraz wysokość przypadających im udziałów wyrażoną w częściach ułamkowych.

Jeżeli spadkobierca jest tyko jeden – to nabywa spadek. Tym samym procedura działu spadku zostaje zakończona. Jeżeli natomiast majątek po zmarłym nabywa kilka osób – to kolejnym krokiem jest umowny lub sądowy podział spadku.

Polega on na podziale całego majątku spadkowego pomiędzy spadkobierców wskazanych w stwierdzeniu nabycia spadku adekwatnie do wielkości przypadających im udziałów. W najprostszym ujęciu – sprowadza się do ustalenia wartości wchodzącego w skład masy spadkowej majątku (przy uwzględnieniu ewentualnych długów spadkodawcy obciążających ową wartość) i rozdzielenia składników majątku pomiędzy spadkobierców, tak aby wartość przyznanych składników odzwierciedlała wyrażony

eprasa.pl 33dbceaddd

FOT. ADOBE STOCK

w ułamku udział w spadku. Sprawa jest stosunkowo najmniej skomplikowana, jeśli zmarły zostawił po sobie wyłącznie majątek w postaci pieniężnej lub jeżeli między dziedziczącymi panuje zgoda co do formy uzyskania zasądzonego udziału w spadku i wartości składników majątku. Jednym z możliwych rozwiązań w takiej sytuacji jest przyznanie całości majątku jednemu ze spadkobierców przy jednoczesnej spłacie przez niego pozostałych. Wchodzącą w skład masy spadkowej nieruchomość można też w sprzyjających warunkach podzielić na indywidualne lokale przynależne poszczególnym dziedziczącym albo sprzedać ją, podobnie jak inne składniki majątku, i podzielić zysk ze sprzedaży między spadkobierców stosownie do przypadających im udziałów. Zaletą podziału spadku jest to, że likwiduje on wspólność majątku między dziedziczącymi. Dopóki nie zostanie dokonany, dopóty każdy z nich posiada uprawnienia wyrażone w ułamku, jednak prawo własności przysługuje wszystkim spadkobiercom wspólnie, a co za tym idzie – mogą oni rozporządzać swoim udziałem w majątku spadkowym (np. zbywać jego składniki) tylko za zgodą wszystkich pozostałych spadkobierców.

JAK UNIKNĄĆ DZIEDZICZENIA DŁUGÓW?

Przyjęcie spadku nie zawsze musi poprawić sytuację materialną spadkobiercy. Może się bowiem okazać, że na odziedziczonej nieruchomości lub firmie ciążą większe lub mniejsze długi.

Brak oświadczenia spadkobiercy o przyjęciu bądź odrzuceniu spadku w terminie sześciu miesięcy od dnia, w którym dowiedział się o śmierci spadkodawcy, jest równoznaczny z przyjęciem spadku z dobrodziejstwem inwentarza. W takiej sytuacji spadkobierca przejmuje zarówno majątek, jak i długi, ale wyłącznie do wysokości spadku.

Oczywiście spadkobierca nadal może wybrać tzw. przyjęcie proste, czyli po złożeniu odpowiedniego oświadczenia przyjąć spadek bez ograniczenia odpowiedzialności za długi.

Jeśli wiemy, że spadkodawca miał skłonności do hazardu, nie płacił rachunków za media, kablówkę czy telefon komórkowy, a poza kolekcją srebrnych łyżeczek nie miał niczego szczególnie cennego, to spadek możemy odrzucić. Wówczas nie dostaniemy po zmarłym żadnego majątku, ale nie będziemy się też musieli martwić spłatą jego długów. Aby odrzucić spadek, w ciągu sześciu miesięcy od momentu, gdy dowiemy się o prawie do majątku, musimy złożyć w sądzie rejonowym albo u notariusza oświadczenie o odrzuceniu spadku.

DLA KOGO ZACHOWEK?

Załóżmy, że zmarły pozostawił testament. Jeżeli pominięci w nim zostają jego ustawowi spadkobiercy, uprawnieniem chroniącym ich interesy majątkowe z tytułu spadku jest zachowek. Przysługuje on zstępnym (dzieciom, wnukom), małżonkowi oraz rodzicom spadkodawcy, o ile byliby oni powołani do spadku z ustawy. Nie będą do niego miały prawa osoby z tego grona, które m.in. zostały uznane za niegodne dziedziczenia (np. umyślnie dopuściły się ciężkiego przestępstwa przeciwko spadkodawcy), zrzekły się dziedziczenia albo odrzuciły spadek czy zostały wydziedziczone przez spadkodawcę w testamencie.

Uprawnieni do zachowku pominięci w dziedziczeniu lub spadkobraniu mogą zatem żądać od dziedziczących wypłacenia kwoty stanowiącej równowartość określonej części swojego udziału spadkowego. Przy tym uprawnionemu trwale niezdolnemu do pracy oraz uprawnionemu małoletniemu zstępnemu należą się dwie trzecie udziału spadkowego, jaki przypadałby mu, gdyby doszło do dziedziczenia w wyniku ustawy. W pozostałych przypadkach ułamek ten wynosi połowę „ustawowego" udziału spadkowego. Pominięci w dziedziczeniu ustawowi spadkobiercy mają jednak na wystąpienie ze swoim roszczeniem wobec nabywców spadku pięć lat od momentu otwarcia spadku, czyli od chwili śmierci spadkodawcy (jeśli nie zostawił testamentu) lub daty otwarcia testamentu. Ważne jest także, że mogą się oni domagać swojego zachowku również od innych spadkobierców, osób, na rzecz których został uczyniony zapis windykacyjny, oraz obdarowanych, którzy otrzymali za życia spadkodawcy niektóre cenne darowizny wchodzące w skład schedy spadkowej – regulują to art. 999 i art. 1000 Kodeksu cywilnego.

Pod względem podatkowym takim samym zasadom jak darowizna podlegają spadki, co oznacza m.in., że im bliższe pokrewieństwo pomiędzy spadkodawcą a spadkobiercą, tym większe ulgi podatkowe i progi mają zastosowanie, łącznie z całkowitym zwolnieniem z podatku dla tzw. grupy zerowej. Ustawodawca przewidział także wiele ulg w postaci zwolnienia z podatku, np. od nabycia w drodze dziedziczenia środków zarówno z pracowniczego programu emerytalnego, jak i pracowniczego planu kapitałowego spadkodawcy. Podobnie nie zapłacimy podatku, jeśli nabędziemy w drodze spadku majątek w postaci pieniędzy, które zmarły zgromadził, np. na rachunkach IKE i IKZE.

Tekst ten nie stanowi wyczerpującego omówienia powyższych zagadnień ani wykładni przepisów. Nie stanowi opinii podatkowej, porady ani rekomendacji działań czy zaniechań. W konkretnych sprawach należy się kierować obowiązującymi przepisami.

eprasa.pl 33dbceaddd

Święto biało-czerwonej

W tym roku już 16. raz będziemy obchodzić Dzień Flagi. Dlaczego święto symbolu bliskiego sercu każdego Polaka przypada akurat 2 maja?

Dzień Flagi RP to jedno z najmłodszych świąt państwowych w Polsce. Ustanowiono je na mocy ustawy z 20 lutego 2004 r. Datę 2 maja wybrano nieprzypadkowo. Po pierwsze, właśnie 2 maja 1945 r., w czasie bitwy o Berlin, polscy żołnierze zawiesili biało-czerwoną flagę na berlińskiej kolumnie Zwycięstwa. Dzień Flagi Rzeczypospolitej Polskiej pośrednio upamiętnia więc triumf polskich wojsk w czasie drugiej wojny światowej. Po drugie, władze PRL właśnie 2 maja nakazywały pospieszne zdejmowanie flagi, aby przypadkiem nie wisiała jeszcze 3 maja, czyli w dniu zniesionego przez komunistyczne władze Święta Konstytucji 3 maja. Po trzecie wreszcie, 2 maja obchodzone jest święto Polonii i Polaków poza granicami kraju.

HISTORIA FLAGI

Po raz pierwszy prawnie kwestie polskiej flagi uregulowano 7 lutego 1831 r. w uchwale Sejmu Królestwa Polskiego. To wówczas zawarto kompromis między barwą białą nadaną przez Augusta II Mocnego a biało-czerwono-szafirową (barwami konfederacji barskiej).

Biało-czerwone barwy są odwzorowaniem kolorów herbu Królestwa Polskiego oraz Wielkiego Księstwa Litewskiego. Biel pochodzi od białego orła na czerwonym tle, oficjalnego symbolu polskiego państwa, a także od bieli Pogoni – rycerza galopującego na koniu, będącego godłem Litwy. Barwy te w heraldyce mają też oczywiście swoje znaczenie – biel to m.in. czystość i szlachetność, a czerwień oznacza poświęcenie, odwagę oraz waleczność.

FOT. ADOBE STOCK

I chociaż barwy pozostały stałe, to od XIX w. wielokrotnie zmieniały się odcienie biało-czerwonej. Pierwotnie odcieniem czerwonego na fladze RP był karmazyn – symbol bogactwa i dostojeństwa. Podczas powstania styczniowego zmieniono go na amarant. Po odzyskaniu niepodległości po pierwszej wojnie światowej powrócił karmazyn. Następnie na kilkadziesiąt lat zmieniono go na cynober. W ustawie z roku 1980 nie nazwano dolnego odcienia flagi, jednak tak określono jego współrzędne trójchromatyczne, że znów przypomina karmazyn.

Zgodnie z ustawą o godłach i barwach Rzeczypospolitej Polskiej z sierpnia 1919 r., a także z ustawą z 1980 r. flaga Polski to prostokąt o proporcjach boków 5:8. Flaga podzielona jest na dwa poziome pasy o tej samej szerokości: biały górny i dolny czerwony.

JAK WYWIESZAĆ FLAGĘ?

Flagę na balkonie, w oknie lub na swoim domu może wywiesić każdy, byle z należnym jej szacunkiem i zgodnie z przyjętymi zasadami. Eksponowana publicznie nie może więc dotykać podłogi, bruku, ziemi lub wody. Musi być czysta, niewyblakła i niepostrzępiona. Nie wolno też na niej niczego pisać. Flagę należy też szybko zdjąć w czasie burzy, ulewy czy śnieżycy.

Aby oddać jej szacunek, podczas marszów flaga państwowa RP jest niesiona przed rzędem innych flag. A jeżeli na masztach ma być więcej flag, to flagę Rzeczypospolitej Polskiej zawsze wciąga się na maszt jako pierwszą i opuszcza jako ostatnią. Urzędy państwowe obowiązuje również specjalny sposób składania flagi.

Jeżeli barwy zawieszone są w układzie pionowym, to biały umieszcza się zawsze po lewej stronie (widok z przodu). Z kolei w kokardach narodowych biały umieszczany jest wewnątrz, a czerwony na zewnątrz.

Polska nie jest jedynym krajem, w którym narodowa flaga ma swoje święto. Dzień flagi obchodzi się w ponad 50 krajach, w tym m.in. w Argentynie, Chinach, Finlandii, na Litwie, w Stanach Zjednoczonych, Rosji czy na Ukrainie. ©℗

eprasa.pl 33dbceaddd

DLA WSZYSTKICH, KTÓRZY NIOSĄ POMOC

2 MAJA – DZIEŃ FLAGI RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ.

WYWIEŚMY FLAGĘ. POKAŻMY, ŻE JESTEŚMY RAZEM NIEZALEŻNIE OD SYTUACJI.

niepodległa

ORLEN

eprasa.pl 33dbceaddd

dwaj panowie g

Fiu, fiu, szykuje się zerowy VAT na książki. Przypominamy, że VAT na książki wprowadził znany mecenas kultury, Donald Tusk. Co skończyło się – jak opowiadają wydawcy – zmniejszeniem rynku książki o jedną trzecią. Cóż, jak wiadomo, PeŁo to partia, która nad książki przedkłada wino oraz cygara. Aczkolwiek w kwestii obniżenia VAT na te podstawowe produkty też się nie wykazała. Gdyż jej niepisanym hasłem wyborczym jest: „Jak nie robić, to nie robić!".

Oczekujemy gorących protestów PeŁo w sprawie obniżenia VAT na książki. W końcu obowiązującym dziś hasłem tego ugrupowania jest: „Papier zabija!". Tak przynajmniej rozumiemy z opowieści dziwnej treści o śmiertelnym niebezpieczeństwie, które niosą koperty z kartami do głosowania. Domyślamy się, że od wybuchu pandemii wszyscy członkowie i sympatycy PeŁo odmawiają przyjmowania wszelkiej korespondencji ze skrzynek pocztowych. Nie mówiąc już o winie i cygarach, niestety, pakowanych w papier.

À propos głosowania korespondencyjnego. Ponieważ mamy pamięć jak słonie, pamiętamy cudną konfę prasową PeŁo z kwietnia 2015 r., podczas której jako jedno z największych osiągnięć partii wychwalano to, że w wyborach prezydenckich 2015 r. Polacy mogą głosować korespondencyjnie. W wyborach do Sejmu jesienią 2015 r. zresztą też mogli. Zostały po tym piękne, wzruszające spoty Państwowej Komisji Wyborczej zachęcające do skorzystania z tego rozwiązania.

Koronawirus ma też swoje dobre strony. Otóż w kilku resortach odkryto, że sprawy, które załatwiano podczas delegacji służbowych, bez problemu można ogarnąć zza biurka za pomocą komputera. W niektórych resortach oszczędności z tego powodu sięgają już ponad 10 proc. budżetu. Mamy silne przeczucie, że gdyby niektóre resorty zlikwidować, także nikt by nawet tego nie zauważył.

Zauważamy przy okazji, że skasowanie delegacji służbowytch ma też wielki wpływ na moralność publiczną. Nie od dziś wiadomo, co mężowie potrafią wyczyniać na delegacjach. Niestety, jest i druga strona medalu. Znamy przynajmniej dwóch wysokich urzędników, których życie małżeńskie chwieje się w posadach ze względu na pracę zdalną z domu i konieczność spędzania czasu z rodziną.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Z życia kandydatów. Małgorzata Kidawa-Błońska w poszukiwaniu autorytetów mogących zarekomendować jej kandydaturę sięgnęła po Ewę Kopacz. Zwykle jest tak, że to figury bardzo poważne i szanowane rekomendują figury mniej poważne i szanowane. Wszyscy wiedzą, jak poważna i szanowana jest Ewka Kopacz. Co nam to zatem mówi o Kidawie-Błońskiej?

Tymczasem kierowca kandydacicy Kidawy pokazał światu, jak ładnie parkować na pasach dla pieszych. Na jego usprawiedliwienie mamy to, że przynajmniej nie był pijany, a na pasach nie było zakonnicy w ciąży.

W kilku resortach odkryto, że sprawy, które załatwiano podczas delegacji służbowych, można ogarnąć zza biurka resortu

eprasa.pl 33dbceaddd

Ledwie doszliśmy do siebie po urodzinach Tuska, a tu już nadchodzą urodziny Kidawy-Błońskiej. Dla zainteresowanych – 5 maja. Z tej okazji zagłębiliśmy się w życiorys jubilatki, szukając inspiracji do urodzinowych życzeń. Udało się! Czy wiedzą państwo, że Kidawa-Błońska nie tylko jest członkiem Polskiej Akademii Filmowej, lecz także swego czasu odnosiła sukcesy jako filmowy producent? Na przykład serialu „Bao-bab, czyli zielono mi". Albo filmu „Skazany na bluesa", którego tytuł wydaje nam się okrutną aluzją do losu każdego kandydata PeŁo, ktokolwiek by nim był. A pani Małgorzacie życzymy jak najszybszego powrotu do zawodu. Dla Polski i dla kina.

Hołownia ma plan. Zasypać PiS-owców kopertami z głosami wyborczymi. Na co dzień jedyne, czym zasypuje, to banały

Z życia kandydatów. Szymon Hołownia ma plan. Zasypać PiS-owców kopertami z głosami wyborczymi, wtedy nie nadążą ich fałszować. Odnotowujemy, bo choć głupie, to przynajmniej zaskakujące. Na co dzień bowiem, niestety, jedyne, czym Hołownia zasypuje, to banały.

Z życia kandydatów 2. Pisarka Nurowska chce zrobić dobrze Biedroniowi. „Najchętniej wzięłabym go na kolano i na goły tyłek wychłostała rózgą!" – oświadczyła. Alarmujemy urzędników tropiących przemoc wobec dzieci. Dla tych, którzy dziwią się: „Jak to, przecież Biedroń to nie dziecko?", mamy zabójczą odpowiedź: „A jesteście pewni?".

Ciągle pisze do nas Amnesty International. No to skoro pisze, to my komentujemy. Na przykład ostatnio z okazji powrotu do Sejmu sprawy ograniczenia aborcji dostaliśmy list zatytułowany „Ciągle walczymy o prawa kobiet w Polsce". Musimy więc skorygować – nie do końca. Bo na przykład o prawa kobiet, które mają urodzić się za osiem czy siedem miesięcy, to już Amnesty nie walczy.

Amerykańska namiestnik w Vistula County, Georgette Mosbacher, oświadczyła w TVN, że Polska radzi sobie w walce z epidemią doskonale i że ona sama czuje się w Warszawie bezpieczniej niż w Nowym Jorku. Potwierdza to tezę, że jeśli ktoś ośmieliłby się w TVN pochwalić rząd, to z pewnością nie będą to Polacy.

Jeszcze o ambasadorach. Nowym polskim przedstawicielem w Moskwie będzie Krzysztof Krajewski. W stolicy Rosji wyglądany jest niemal jak zbawiciel, bo dotychczasowego szefa placówki wszyscy mają już po dziurki w nosie.

Nowym ambasadorem w Lublanie został natomiast Krzysztof Olendzki. I to został nim z przytupem, a właściwie z przylotem! Jak wiadomo, w tej chwili ustał cywilny ruch lotniczy. Nowy ambasador na placówkę został więc ciupasem dostarczony maszyną wojskową. Zaiste, Słowenia musi być dla Polski bardzo istotnym krajem.

Z gospodarki. Jak informują nas nieoficjalnie stosowne służby, a także szczęśliwi konsumenci, niektóre branże w ogóle nie cierpią na skutek zarazy. Na przykład na Podlasiu producenci słynnego Ducha Puszczy pracują na pełnych obrotach. Chcemy wierzyć, że ich produkt, który ma odpowiednią moc, służy jedynie celom dezynfekcyjnym.

Mamy w powyższej kwestii także pewne obserwacje poczynione osobiście. Konsumując Ducha Puszczy z rozmaitych wytwórni, zauważyliśmy, że zdecydowanie lepszy jakościowo trunek robią prawosławni. A nawet zdarzyło się kiedyś, że testowaliśmy ów produkt z pewnym polskim Tatarem. W odpowiedzi na nasze zdumione spojrzenie stwierdził, że przecież Prorok zakazał jedynie wina.

Z pogranicza, ale prawa, a nie województwa podlaskiego. Nie jest zbyt dobrze chwalić się bryką za 200 tys., kiedy oficjalnie zarabia się jedynie nędzne grosze w podrzędnej redakcyjce. Przekonuje się o tym pewien dziennikarz, którym z tego powodu zainteresowała się skarbówka. Nas bawi dodatkowo to, że facet przedstawia się jako prawnik. ©℗

eprasa.pl 33dbceaddd

Operacja „Davies”

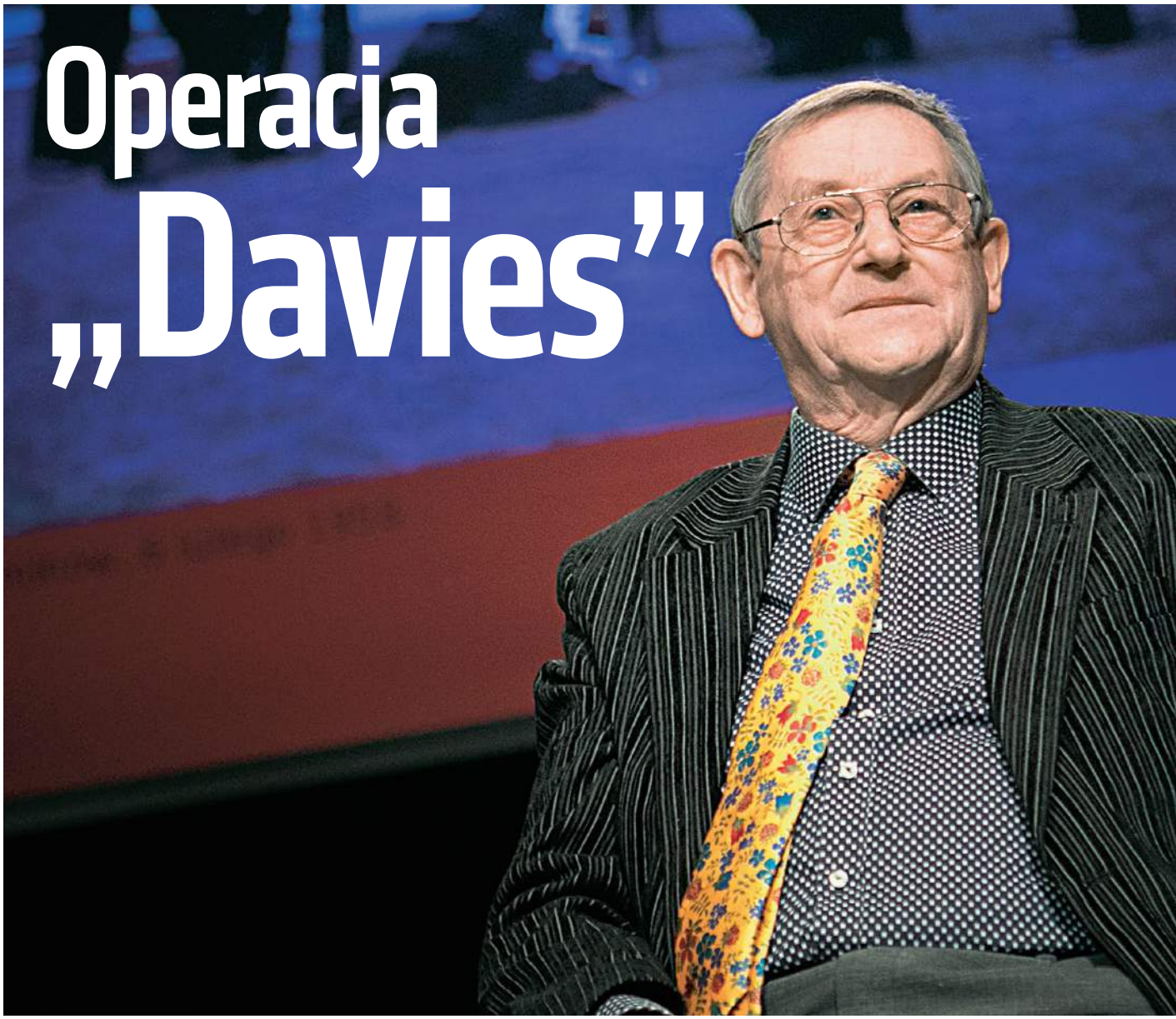

Piotr Zychowicz

Profesor Norman Davies w latach 80. padł ofiarą żydowskiego lobby. Szczegóły szokującej afery opisał w swoich wspomnieniach

To jedna z najbardziej podłych afer, do których doszło na amerykańskich kampusach w ich długiej historii. Jej ofiarą padł brytyjski prof. Norman Davies, wybitny znawca dziejów Polski i Europy. Sprawcami intrygi była anonimowa grupa naukowców, która za pomocą zakulisowych działań postanowiła zniszczyć jego karierę. Powód? Norman Davies w swoich pracach zbyt mało krytycznie pisał o postawach Polaków wobec Żydów.

Uwaga! Artykuł ten nie ma na celu promowania antysemityzmu. Ma przedstawić fakty.

ZADŻUMIONY

Wszystko zaczęło się w roku 1984, gdy Norman Davies otrzymał zaproszenie do ubiegania się o katedrę na Uniwersytecie Stanforda w Kalifornii. W swoich wydanych właśnie w Polsce wspomnieniach „Davies sam o sobie” (Znak) profesor tak opisuje nastrój tamtych dni: „Warunki do życia były tam świetne: słońce, palmy, wspaniały klimat. Do tego prywatny uniwersytet, zamożny i elitarny, oraz wynagrodzenie trzy razy większe od tego, jakie zwykły wykładowca dostawał w Londynie. Postanowiłem kandydować”.

Proces aplikacyjny był niezwykle długi i żmudny. Trwał niemal dwa lata. O otrzymaniu prestiżowego stanowiska miały – przynajmniej w teorii – decydować kwalifikacje: naukowy dorobek kandydata, jego wiedza, fachowość i zdolności pedagogiczne. Davies wypadł wspaniale i znalazł się na krótkiej liście kandydatów do posady.

Wiosną 1985 r. poleciał do Ameryki, żeby wygłosić na Uniwersytecie Stanforda wykład dla kadry naukowej będący rodzajem egzaminu praktycznego.

eprasa.pl 33dbceaddd

FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

Zrobił świetne wrażenie, wkrótce po powrocie do Wielkiej Brytanii otrzymał wiadomość, że został oceniony najwyżej. A więc sukces, praca marzeń należała do niego! Profesor razem ze swoją polską żoną Marią wyjechali rozpocząć nowe życie w Stanach Zjednoczonych.

„W Ameryce procedura wyboru profesora to poważna operacja, reguły jednak są demokratyczne i przejrzyste – pisze Davies – zaraz po świętach Bożego Narodzenia 1985 roku dostałem oficjalny list od dziekana z informacją, że pomyślnie przeszedłem wszystkie stopnie kwalifikacji. Od 1 września następnego roku obejmę katedrę na stałe. To była kluczowa wiadomość. Zacząłem układać nasze nowe życie".

Państwo Daviesowie postanowili kupić bardzo drogi dom na kampusie Stanforda. Wpłacili jedną czwartą jego wartości jako zaliczkę, co wynosiło więcej niż ich całe życiowe oszczędności. Wszystko szło świetnie aż do pewnego wieczoru.

„Zadzwonił telefon – wspomina Davies. – Pełniący obowiązki przewodniczącego Wydziału Historii w Stanfordzie powiedział grobowym głosem:

– Pojawił się pewien problem. Na pana miejscu wróciłbym do Londynu i zapomniał o wszystkim. Nie dostanie pan tej posady.

– Przepraszam, ale przecież mam list od dziekana. Co pan ma na myśli? Czy ten list jest nieważny?

– Przepraszam, nie wolno mi więcej powiedzieć. Do widzenia.

Poczułem, że ziemia usuwa mi się spod nóg. Znaleźliśmy się w trudnej do wyobrażenia sytuacji. Poszedłem do dziekana. Ten na moje pytania i prośby o wyjaśnienie powiedział tylko: »Przepraszam, ale nie wolno mi o tym rozmawiać«.

Spotkałem się kolejno z co najmniej siedmioma urzędnikami różnych szczebli uczelnianej administracji i od każdego usłyszałem to samo: »Przepraszam, ale nie wolno mi o tym rozmawiać«. Nikt mi niczego nie wyjaśnił. Akurat wtedy okazało się, że moja żona jest w ciąży".

Sytuacja była o tyle absurdalna, że Norman Davies zaczął już prowadzić na Stanfordzie zajęcia! Profesor zwrócił się więc do rzecznika praw pracowniczych na uniwersytecie. Pełniła tę funkcję pewna pani, która podczas spotkania przeszła załamanie nerwowe. Rozpłakała się, ale rozłożyła bezradnie ręce. Jej również zabroniono o tym rozmawiać.

„Sytuacja jak z Kafki – pisze Norman Davies. – Zauważyłem, że na korytarzach i we wspólnych pomieszczeniach wszyscy koledzy omijają mnie jak zadżumionego. Z jakiegoś niewyjaśnionego powodu stałem się pariasem, poddanym ostracyzmowi i obłożonym niewypowiedzianą klątwą wyrzutkiem. Spotkała mnie, jak określiliby to starożytni Rzymianie, proskrypcja i podejrzewałem, że mogą za tym stać tylko najwyższe władze uczelni".

SĄD KAPTUROWY

Oczywiście tajemnicy nie udało się długo utrzymać i profesor stopniowo dowiedział się, o co chodzi. O tym, do jakiego stopnia sterroryzowani byli wówczas amerykańscy naukowcy, świadczyć może ta kuriozalna scena.

„Pewnego dnia – opisuje Davies – gdy jechałem przez kampus na rowerze, zatrzymał mnie emerytowany profesor Lewis Spitz, który dosłownie wyskoczył z krzaków, by zastąpić mi drogę. »Na pańskim miejscu – wyszeptał mi do ucha – przekazałbym datek na Palestyńczyków«".

Davies wkrótce dowiedział się, że na Stanfordzie został zorganizowany rodzaj sądu kapturowego. Było to nadzwyczajne posiedzenie rady wydziału, na którym unieważniono decyzję o przyznaniu mu katedry! „W niejasny dla mnie sposób – pisze Davies – wynik tej wątpliwej procedury został narzucony dziekanowi i wyższym organom uczelni".

Kto stał za tą intrygą? Jak to zwykle bywa w takich przypadkach, sprawcy pozostali anonimowi. Nie odważyli się żyrować skandalicznej decyzji swoimi nazwiskami, bali się też konfrontacji z samym profesorem. Innymi słowy – była to grupa tchórzy.

„Nikt z tych ludzi nigdy nie rozmawiał ze mną twarzą w twarz – pisze Norman Davies. – Po jakimś czasie okazało się, że najbardziej napastliwie wypowiadał się na mój temat Harold Kahn, a swojej wrogości do mnie nie krył też uczeń brytyjskiego historyka Erica Hobsbawma Peter Stansky".

Trudno nie zauważyć, że cała wspomniana trójka była Żydami. Eric Hobsbawm był marksistowskim badaczem, który w swoich pracach gloryfikował Związek Sowiecki i odmawiał przyjęcia do wiadomości bolszewickich zbrodni. A Harold Kahn był znanym przeciwnikiem wojny z komunizmem w Wietnamie.

W swoich wspomnieniach Norman Davies pisze jednak elegancko, że odrzucił teorię „żydowskiego spisku".

„Sprzeciw wobec mojej nominacji – pisał – w oczywisty sposób wynikał z rzeczy, które napisałem o historii stosunków polsko-żydowskich, ale oponenci niekoniecznie wywodzili się z tego środowiska. Ważną rolę odegrały poprawność polityczna i zwykła ignorancja, a na prawdopodobnego herszta całej grupy typuję człowieka, który Żydem wcale nie był.

Był Szkotem, który postanowił zrobić karierę na modnym temacie antysemityzmu i któremu jakimś cudem udało się uzyskać tytuł profesora bez

eprasa.pl 33dbceaddd

opublikowania choćby jednej książki. Prowadził on wykłady zatytułowane »Antysemityzm w starożytności«, »Antysemityzm w średniowieczu« i »Antysemityzm w nowożytnej Europie«. Mogę się mylić, ale wydaje mi się on głównym podejrzanym, gdyż nikt inny nie miał tak oczywistego motywu, by pozbyć się konkurenta, który mógłby zaproponować studentom bardziej zróżnicowane menu".

Davies podkreśla również, że nie wszyscy naukowcy żydowskiego pochodzenia poparli wymierzoną w niego intrygę. Wśród nich było bowiem wielu przyzwoitych ludzi, którzy podobnymi zakulisowymi działaniami po prostu się brzydzili. Norman Davies otrzymał wsparcie m.in. od Richarda Pipesa i Antony'ego Polońsky'ego.

Co ciekawe, skontaktował się z nim nawet Czesław Miłosz, który korespondował w tej sprawie z Jerzym Giedroyciem.

„Mój Drogi – pisał redaktor paryskiej »Kultury« do Miłosza. – Bardzo mnie poruszyła sprawa Normana Daviesa. Teraz dostałem trochę szczegółów od Nowaka o akcji Kahna, który jest podobno specjalistą od historii starożytnych Chin. Myślę, że ten jaskrawy wybryk antypolonijny, który coraz bardziej występuje wśród żydostwa amerykańskiego, wymaga reakcji, nie mówiąc już o konieczności obrony samego Daviesa".

Dopiero gdy Norman Davies wszczął kroki prawne, władze uniwersytetu raczyły oficjalnie wyjaśnić mu powody swej decyzji. W liście od prorektora Jamesa N. Rosse'a z 2 maja 1986 r. profesor przeczytał, że… w swojej książce „Boże igrzysko" w nieodpowiedni sposób naświetlił problematykę żydowską.

„Przedstawienie historii Polski w książce – czytamy w dokumencie – nie było w wystarczający sposób krytyczne i została w niej przekroczona subtelna granica dzieląca historiografię empatyczną od apologii lub stronniczości. Ta uwaga odnosiła się do rozdziału »Bożego igrzyska« dotyczącego Żydów, który krytycy uznali za nie tylko pozbawiony empatii, ale także stanowiący niedopuszczalną obronę postępowania Polaków. Rozdział o Żydach uznano za typowy przykład ogólnego braku obiektywizmu".

Było to oskarżenie kuriozalne. Po pierwsze bowiem, było nieprawdziwe. A po drugie, czyż można sobie wyobrazić sytuację odwrotną? Czyli żeby jakiś profesor nie dostał pracy na Stanfordzie, ponieważ jego książka została uznana za zbyt „prożydowską"? Jest to oczywiście pytanie retoryczne.

„Żaden człowiek, który broni postawy Polaków wobec Żydów podczas wojny, nie jest godny być profesorem tej uczelni" – skomentował w swoich wspomnieniach list od prorektora Davies. I ujawnił, że żaden z jego oskarżycieli nawet nie zadał sobie trudu, by „Boże igrzysko" przeczytać.

Davies dowiedział się później, że naukowcy po prostu karnie zastosowali się do okólnika, który wysłała im wpływowa żydowska organizacja B'nai B'rith, jeden z filarów tzw. żydowskiego lobby w USA. Napisano w nim, że Norman Davies „jest szkodliwy i trzeba zablokować objęcie przez niego prestiżowej katedry".

NAGONKA

Tymczasem przeciwnicy Daviesa przeszli do ataku. Rozpoczęła się, nieodzowna w takich przypadkach, nagonka.

We wrześniu 1986 r. w gazecie „The Stanford Daily" wydrukowany został – jak określił to Davies – „niebywały, napastliwy list". Potępiano w nim profesora za zamiar wytoczenia procesu uczelni. Jego adwokata nazwano – a jakżeby inaczej! – „antysemitą", a samego profesora „łatwowiernym naiwniakiem".

„Jak tak dalej pójdzie, zobaczymy palone na dziedzińcu książki" – napisał autor listu. A był nim… miejscowy rabin. Pod listem podpisało się też kilku innych duchownych ze Stanfordu. Między innymi ksiądz!

„Poszedłem do podpisanego pod listem księdza – pisze Davies – żeby usłyszeć jego wyjaśnienie, ale udał, że nie wie, o co chodzi. »Kolega rabin czasem podpisuje moje okólniki – wyjaśnił – a ja popieram jego inicjatywy«. »W porządku – powiedziałem z niedowierzaniem – ale czy ksiądz kiedyś słyszał o prawdzie i o chrześcijańskim miłosierdziu?«".

Niestety, wszelkie działania podjęte przez Daviesa, jego przyjaciół i innych porządnych ludzi nic nie dały. Katedrę na Stanfordzie profesorowi odebrano, a zaliczka na kupno domu w Kalifornii przepadła. „Bez pardonu wyrzucono nas z mieszkania – wspomina Davies. – Swoje walizki, drobne meble i osobiste rzeczy znaleźliśmy na ulicy. Straciliśmy wszystkie pieniądze".

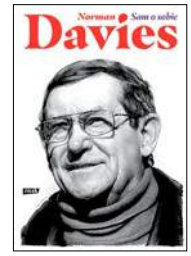

NORMAN DAVIES „SAM O SOBIE" ZNAK 2019

Państwo Daviesowie musieli wrócić do Wielkiej Brytanii. Amerykańskie marzenie rozwiało się w powietrzu jak dym.

„Światek akademicki szczególnie obfituje w ludzi niegodziwych – ocenia po latach tamte wydarzenia Norman Davies – a moje bolesne doświadczenie w żadnym razie nie było czymś wyjątkowym. Ten konkretny incydent nie był zwykłym wypadkiem przy pracy. To, co spotkało mnie w Kalifornii, było wynikiem celowych machinacji specyficznej grupy akademików. Ich wyczyny nie zdołały zabić we mnie przekonania, że warto być wspaniałomyślnym, gdy tylko jest to możliwe. Z drugiej strony nierozsądne byłoby założyć, że na szczytach uczelni niepodzielnie panują dobra wola, sprawiedliwość, rzetelna wiedza, zaufanie, tolerancja oraz otwartość na odmienne opinie".

Tak, niestety świat nie jest idealnym miejscem. A opowieść ta ma smutny morał. Wygrali bowiem źli ludzie. Wszyscy historycy na świecie otrzymali zaś wyraźny sygnał: jeżeli chcecie robić kariery, jeżeli chcecie opływać w pieniądze i zaszczyty – piszcie o przeszłości w sposób „słuszny". Inaczej żydowskie lobby was zmiażdży.

Gdy przeczytałem wspomnienia Normana Daviesa zadzwoniłem do niego, żeby wyrazić mu swoje poparcie i oburzenie na sposób, w jaki został potraktowany przed 35 laty.

– Tak, to była bardzo nieprzyjemna historia – powiedział w rozmowie telefonicznej z Oksfordu. – Niestety, na amerykańskich uniwersytetach niewiele się zmieniło. Każdy z nich ma przydzielonego „komisarza politycznego", który uważnie śledzi, co się mówi na wykładach i co się pisze. Należy jednak pamiętać, czym jest tzw. żydowskie lobby. Otóż w jego skład wchodzą nie tylko Żydzi. Ważnym jego elementem są protestanci, tzw. chrześcijanie-syjoniści, którzy z powodów religijnych popierają Izrael. Z kolei wielu Żydów potępia lobby i nie chce mieć z nim nic wspólnego.

Autorom intrygi na Stanfordzie udało się zwichnąć karierę prof. Normana Daviesa, ale nie udało im się jej złamać. Minęły lata i stał się on jednym z najwybitniejszych przedstawicieli anglosaskiej historiografii, napisał jeszcze wiele znakomitych książek. I to jest jedyna pozytywna strona całej tej ponurej historii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 33dbceaddd

Jako jeden z pierwszych wsparcie od PGNiG otrzymał Instytut Matki i Dziecka w Warszawie, który zajmuje się dziećmi szczególnie narażonymi na zarażenie koronawirusem

Wojskowemu Instytutowi Medycznemu PGNiG przekazało dwa samochody, 500 l płynu dezynfekującego, termometry, przyłbice ochronne i fartuchy jednorazowe

PGNiG – jesteśmy blisko Ciebie

Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo niezmiennie i niezależnie od okoliczności zapewnia bezpieczeństwo energetyczne Polsce i Polakom. Oprócz realizacji swoich podstawowych zadań PGNiG udziela pomocy w walce z wirusem administracji publicznej i lokalnym społecznościom.

Grupa PGNiG jest liderem na rynku gazu ziemnego. Nieprzerwanie dostarczając tani, bezpieczny i ekologiczny gaz ziemny, w istotny sposób przyczynia się do rozwoju polskiej gospodarki. Jednocześnie wywiera pozytywny wpływ na jakość życia klientów indywidualnych, którzy na co dzień korzystają z „błękitnego paliwa".

FIRMA ODPOWIEDZIALNA SPOŁECZNIE

PGNiG jest również jednym z największych pracodawców w Polsce, a kilka tysięcy pracowników – wiertników, górników naftowych, geofizyków, geologów i serwisantów – pracuje w terenie. Spółka od dawna konsekwentnie stawiała na zacieśnianie więzi z lokalnymi społecznościami z regionów, w których prowadzi działalność poszukiwawczo-wydobywczą. A w czasie obecnego kryzysu epidemicznego jeszcze mocniej skoncentrowała się na tym obszarze działań.

– Zawsze byliśmy blisko ludzi, zwłaszcza mieszkańców miejscowości, w których nasza spółka ma swoje oddziały. Wspieraliśmy i nadal wspieramy inicjatywy sportowe i kulturalne, włączamy się w lokalne działania edukacyjne. Traktujemy te społeczności jak naszych sąsiadów, tam mieszkają nasi pracownicy i ich rodziny. W tak trudnym okresie czujemy jeszcze większą odpowiedzialność za otoczenie, w którym żyjemy – deklaruje Jerzy Kwieciński, Prezes PGNiG. – Jesteśmy świadomi naszej ważnej roli w społecznościach lokalnych, a kwestie odpowiedzialności społecznej są zakorzenione w naszym systemie wartości – dodaje.

Jerzy Kwieciński, Prezes PGNiG

Jesteśmy świadomi naszej ważnej roli w społecznościach lokalnych, a kwestie odpowiedzialności społecznej są zakorzenione w naszym systemie wartości

PONAD 6,5 MLN DLA SZPITALI

W obliczu pandemii koronawirusa PGNiG skierowało pomoc tam, gdzie jest ona teraz szczególnie potrzebna – do najbardziej potrzebujących szpitali. Wsparcie finansowe zostanie przez nie przeznaczone na zakup niezbędnego sprzętu ratującego życie oraz środki ochrony personelu medycznego. Dodatkowo niektórym potrzebującym placówkom medycznym PGNiG przekazało sprzęt medyczny w postaci m.in. respiratorów. Spółka realizuje w ten sposób ideę społecznej odpowiedzialności biznesu. Jej odzwierciedleniem jest dewiza przyświecająca wszystkim jej działaniom - „Jesteśmy blisko Ciebie".

Dotychczas na pomoc dla szpitali w Warszawie, Łańcucie i Lublinie – udzielaną wspólnie z Ministerstwem Aktywów Państwowych – spółka przeznaczyła ponad 4 mln zł.

Dodatkowe 2,5 mln zł w formie wsparcia finansowego i sprzętu medycznego trafiło do placówek służby zdrowia w miejscowościach i regionach, gdzie PGNiG prowadzi swoją działalność m.in. poszukiwawczo-wydobywczą – w Zielonej Górze, Ostrowie Wielkopolskim, Kościanie, Dębnie, Świebodzinie, Sanoku, Jaśle, Toruniu, Łomży, Cieszynie, Wołominie, do Wojskowego Instytutu Medycznego, a także do Wojewódzkiego Szpitala Zakaźnego oraz Instytutu Matki i Dziecka w Warszawie. Te dwie ostatnie placówki medyczne zlokalizowane są w bliskim sąsiedztwie centrali PGNiG na warszawskiej Woli. – Było dla nas oczywiste, że nasze wsparcie powinno dotrzeć przede wszystkim tam, gdzie mamy sąsiadów, z którymi łączą nas szczególne relacje, oraz gdzie żyją nasi pracownicy, ich rodziny i bliscy. Codziennie ciężko pracujemy na bezpieczeństwo Polaków – uzasadnia Jerzy Kwieciński. Łączna wartość pomocy ze strony PGNiG dla służby zdrowia przekroczyła dotychczas 6,5 mln zł. Spółka zamierza kontynuować wsparcie placówek medycznych, dostosowując je do zmieniających się potrzeb.

eprasa.pl 33dbceaddd

Piotr Włoczyk

Jak wylecieć z hukiem

Historia polsko-żydowska to tylko jedna z wielu „min", na które można wpaść na amerykańskich uniwersytetach. Dużo większą i groźniejszą „miną" jest zajmowanie się obecnymi stosunkami amerykańsko-izraelskimi

Jeszcze na początku 2019 r. mało kto na świecie, a nawet w USA, słyszał o Ilhan Omar. Wszystko zmieniło kilka tweetów, po których ta 37-letnia, świeżo upieczona demokratyczna kongresmenka z Minnesoty (somalijskiego pochodzenia) znalazła się w oku politycznego cyklonu.

Omar napisała w nich, że część kongresmenów wspiera Izrael tylko z powodu pieniędzy rozdawanych przez izraelskie lobby. Fala krytyki spadła na nią ze strony zarówno republikanów, jak i demokratów. Szczególnie mocno oberwało się jej od Donalda Trumpa, który kwestionował jej wierność USA (po tym, jak ona sama podała w wątpliwość patriotyzm Amerykanów żydowskiego pochodzenia). Ostatecznie demokraci przymusili Omar do wystosowania oficjalnych przeprosin.

W debacie na temat wypowiedzi kongresmenki wyróżniał się rzeczowy głos prof. Stephena Walta, eksperta w sprawach międzynarodowych i bezpieczeństwa z Uniwersytetu Harvarda. Profesor Walt, znany amerykański krytyk tzw. lobby izraelskiego, punkt po punkcie wyjaśnił na łamach magazynu „Foreign Policy", dlaczego Omar kompletnie przestrzeliła ze swoimi oskarżeniami. Otóż, według prof. Walta problem nie polega na „przekupywaniu" w ten czy inny sposób wpływowych amerykańskich polityków. Jego zdaniem bowiem „lobby izraelskie" nie łamie tu prawa i działa w tym zakresie tak samo jak inne grupy interesu. Problemem według prof. Walta jest to, że „lobby izraelskie", działając legalnie – i niezwykle skutecznie – w większości przypadków działa wbrew żywotnym interesom Stanów Zjednoczonych.

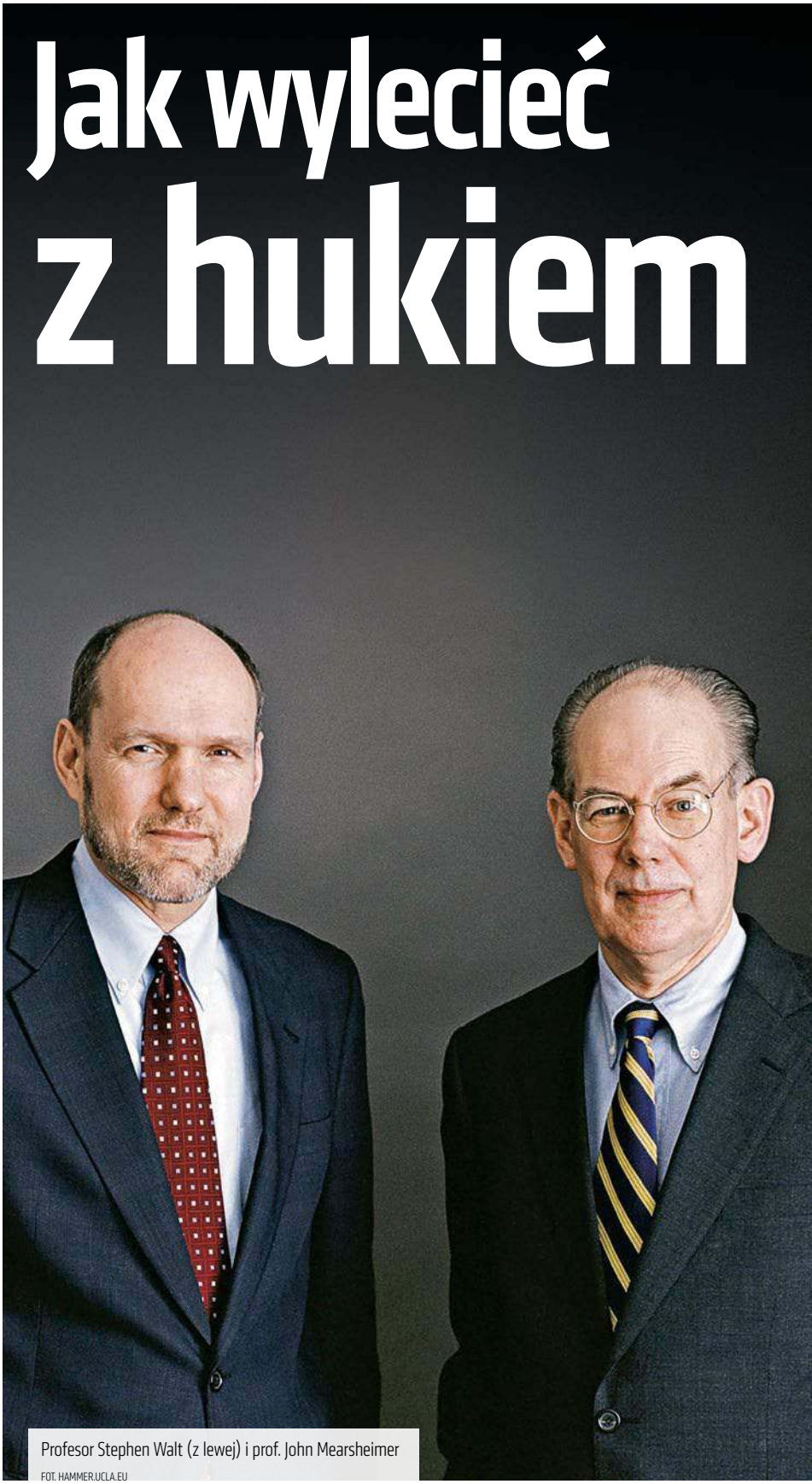

Profesor Stephen Walt (z lewej) i prof. John Mearsheimer

FOT. HAMMER.UCLA.EU

eprasa.pl 33dbceaddd

Jak jednak zaznaczył on w swoim tekście w „FP", bycie „głęboko przeciwnym antysemityzmowi i pokazywanie zgodnego ze stanem faktycznym rzeczywistego obrazu działalności lobby nie daje jakiejkolwiek ochrony ludziom, którzy krytykują politykę Izraela, martwią się jednostronną naturą relacji amerykańsko-izraelskich oraz nie zgadzają się z receptami politycznymi przedstawianymi przez takie grupy jak AIPAC [American Israel Public Affairs Committee – jedna z najważniejszych proizraelskich organizacji lobbystycznych – przyp. red.]. Skąd to wiem? Powiedzmy, że mam pewne doświadczenie z tym fenomenem". Profesor Walt bardzo dyplomatycznie nazwał tu swoje zderzenie z takim lobby.

„KŁAMCY" I „BIGOCI"

Cała sprawa zaczęła się wiosną 2006 r. Profesor Walt był wówczas dziekanem John F. Kennedy School of Government na Uniwersytecie Harvarda. Wraz z prof. Johnem Mearsheimerem, znawcą geopolityki, opublikował w „London Review of Books" esej pt. „Lobby izraelskie" (rok później powstała na tej podstawie książka). Obaj amerykańscy badacze przekonywali w nim, że w bardzo wielu kwestiach interesy USA i Izraela są rozbieżne, przez co ścisłe dopasowywanie polityki zagranicznej Ameryki do celów jej bliskowschodniego sojusznika jest po prostu wbrew amerykańskiej racji stanu.

„[…] Spadła na nas podobna lawina krytyki jak na Omar po jej krótkich tweetach. Potępiano nas wielokrotnie i zupełnie wprost jako antysemitów lub »żydożerców«, kłamliwie zarzucając nam, że nasze badania opieramy na treściach z neonazistowskich stron internetowych, oraz przekłamując to, co naprawdę napisaliśmy. Naszymi krytykami nie tylko były twitterowe trolle, lecz także często byli to prominentni ludzie – intelektualiści i politycy. Nawet dziś, 12 lat później, z niedowierzaniem kręcę głową na myśl, że zostaliśmy potępieni jako hejterzy tak naprawdę dlatego, że pokazaliśmy, iż AIPAC i pokrewne jej organizacje są niezwykle skuteczne w osiąganiu celów, którymi się publicznie chwalą".

W wyniku niezwykłego zbiegu okoliczności prof. Walt stracił stanowisko dziekana tuż po publikacji „Lobby izraelskiego"... Wciąż jednak wykłada na Uniwersytecie Harvarda.

Gromy padały na obu badaczy ze wszystkich stron, ale wyjątkowo ostrego języka używali w stosunku do prof. Walta i prof. Mearsheimera ich koledzy ze świata akademickiego. Jednym z ich najzacieklejszych krytyków był prof. Alan Dershowitz wykładający na Harvardzie, który nazywał ich „kłamcami" i „bigotami".

W wyniku niezwykłego zbiegu okoliczności prof. Walt stracił stanowisko dziekana tuż po publikacji „Lobby izraelskiego"

„Oskarżenia używające argumentu o potężnych Żydach ukrytych za sceną to część najbardziej niebezpiecznej tradycji nowoczesnego antysemityzmu" – napisali z kolei do redakcji „London Review of Books" prof. Jeffrey Herf i prof. Andrei Markovits, amerykańscy badacze antysemityzmu.

„Przekonywaliśmy w naszej pracy, że to lobby zrobi wszystko, by uciszyć krytykę izraelskiej polityki oraz amerykańsko-izraelskich relacji, a także że jej najbardziej skuteczną bronią jest zarzut antysemityzmu" – powiedział prof. Mearsheimer w rozmowie z „The Guardian". „Dlatego oczekiwaliśmy, że będziemy nazywani antysemitami, mimo że obaj jesteśmy filosemitami i mocno wspieramy istnienie Izraela. Bardzo wiele osób zna ten temat i wie, że to prawda, ale boi się zabrać głos, ponieważ wiedzą, że zostaliby ukarani przez proizraelskie siły".

WYRZUCONY Z HUKIEM

Bodaj największe doświadczenie z tym „fenomenem" ma prof. Norman Finkelstein, amerykański politolog, znany krytyk żydowskich organizacji zajmujących się uzyskiwaniem odszkodowań za Holokaust (jego najgłośniejszą książką jest „Przedsiębiorstwo Holokaust"). Jednak jakby tego było mało, prof. Finkelstein krytykuje równocześnie sposób, w jaki Izrael traktuje ludność palestyńską. Trudno się więc dziwić problemom, z którymi zderzyła się jego ostatnia książka – „Gaza. An Inquest into Its Martyrdom", opowiadająca o losie mieszkańców Strefy Gazy.

– Wiadomo, że w USA ludzie generalnie nie za bardzo lubią moje opinie na temat Izraela. Mimo że książka została wydana przez bardzo poważane wydawnictwo – University of California Press – media nie chcą jej recenzować. Oczywiście prawo daje Amerykanom wolność wypowiedzi, ale mamy bardzo efektywny system cenzorstwa – powiedział „Do Rzeczy" prof. Finkelstein.

Chłodna reakcja na książkę nie jest jednak największym problemem, z którym musiał się zmierzyć prof. Finkelstein w związku ze swoimi wypowiedziami na temat Izraela i niektórych organizacji żydowskich. Najbardziej bolesną konsekwencją było dla niego wyrzucenie z pracy na Uniwersytecie DePaul w Chicago. Doszło do tego w 2007 r., po ostrym konflikcie z wymienionym wyżej prof. Alanem Dershowitzem, bezwarunkowo opowiadającym się za utrzymaniem obecnego modelu stosunków amerykańsko-izraelskich.

Profesor Finkelstein podkreśla przy tym w wywiadach, że w przeciwieństwie do tematów zakazanych istnieje lista tematów, które są doskonale w pewnych środowiskach w USA przyjmowane. Nie tylko na uniwersytetach. I że można na tym doskonale wyjść.

– Jan Tomasz Gross znakomicie wiedział, co się na Zachodzie opłaca. Że w Ameryce zajmowanie się Holokaustem przynosi świetne pieniądze. A jeśli jeszcze dostarczysz „dowodów" potwierdzających tezę, że Polacy to obrzydliwi antysemici, to wtedy masz gwarancję, że ogłoszą cię tu bohaterem. Gross twierdzi, że napisał swoją książkę jako polski intelektualista, który chciał skłonić swoich rodaków do samooczyszczenia. Bzdura. Zrobił to, aby dostać posadę w Princeton – powiedział „Historii Do Rzeczy" prof. Finkelstein. I dodał: „Za to, co robię, zbieram tylko cięgi. Mnie za moje poglądy nie dano posady na uniwersytecie, tylko mnie z uniwersytetu z hukiem wyrzucono. Zresztą pod presją dokładnie tych samych środowisk, które załatwiły Grossowi synekurę".

Dlaczego w ogóle prof. Finkelstein zajął się tematem, który wiąże się z samymi problemami?

– Moja śp. matka, która cierpiała w getcie warszawskim, została w kwietniu 1943 r. wysłana na Majdanek, a następnie do dwóch obozów pracy niewolniczej. W czasie wojny straciła całą rodzinę. Otrzymała jakieś 3 tys. dol. od organizacji żydowskich, które zabrały dla siebie resztę przysługującego jej odszkodowania. Walczyłem o prawdziwe odszkodowanie dla mamy. Bardzo ją bolało, że Żydzi, którzy nigdy nie widzieli obozu koncentracyjnego, zgarniali miliony dolarów. Ci ludzie to hieny cmentarne – mówi prof. Finkelstein.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 33dbceaddd

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/REPORTER

Kto zostanie „zmokłą kurą”?

Piotr Semka

W USA znane są pojedynki nastolatków o miano „zmokłej kury”. Dwa samochody jadą naprzeciw siebie i ten, kto w ostatniej chwili zjedzie na bok, aby uniknąć czołowego zderzenia, zyskuje to mało zaszczytne miano. Taki pojedynek czeka posłów Porozumienia. Ilu z nich poprze Gowina, a ilu zachowa lojalność wobec Kaczyńskiego?

Bilans rozmów sondażowych Jarosława Gowina na razie nie rzuca na kolana. Efekty spotkań z Koalicją Obywatelską i PSL są bardzo ogólnikowe. Na razie ze spotkania lidera Porozumienia z prezydentem Andrzejem Dudą wiadomo jedynie, że „prezydent uważnie wysłuchał argumentów”.

Tymczasem opozycja – ta polityczna i ta medialna – przeżywa psychodramę wokół idei szybkich wyborców. A Jarosław Kaczyński prze z żelazną determinacją do wyborów w maju.

W poniedziałek, 20 kwietnia, trzy godziny przed rozmowami z Gowinem Koalicja Obywatelska wystąpiła z planem przełożenia wyborów o rok. W tej sytuacji nadzieje lidera Porozumienia, by wspólnie z KO odłożyć wybory o dwa lata, zbladły tuż przed rozmowami. Po spotkaniu Borys Budka jedynie kurtuazyjnie zauważył, że obie strony potrafiły „znaleźć punkty wspólne”, a Jarosław Gowin cieszył się z „dobrej atmosfery rozmów”. Jednak już w kuluarach gowinowcy nie kryli, że rozmowy uzmysłowiły im, w jak daleko posuniętym kryzysie jest Platforma. „Banda amatorów, żadnej koncepcji, projekt Budki wskazujący na nieznajomość konstytucji” – to opinia jednej z osób znających kulisy negocjacji.

Irytację wywołały też publiczne deklaracje Budki, w których nie krył, że Gowin potrzebny jest tylko jako pomocnik do utrącenia planów PiS dotyczących majowych wyborów.

Nie lepiej poszło Porozumieniu z PSL. Paweł Kukiz po spotkaniu 24 kwietnia przyznał, że w kwestii terminu wyborów oba ugrupowania mają inne poglądy. Dla złagodzenia wrażenia klinczu obie strony ogłosiły, że najważniejszym celem rozmów był plan odmrożenia polskiej gospodarki. Z Lewicą poszło Gowinowi najgorzej – wprost odmówiła negocjacji.

Cały ten średnio udany popis lidera Porozumienia i jego dwóch posłów – Michała Wypija i Kamila Bortniczuka – jest na razie dość „lightowo” komentowany przez polityków PiS. Ta taryfa ulgowa wynika jednak jedynie z przekonania, że Gowin sam zderzy się z opozycyjną ścianą i nie trzeba nic dokładać do tego widowiska.

Gdzie tkwi istota słabości negocjacji Gowina ze swoimi partnerami? Władysław Kosiniak-Kamysz pytany o rozmowy z Jarosławem Gowinem mówi: „Nie wiem, jak to się skończy, bo czasem mogliśmy się też rozczarować postawą części posłów Porozumienia, choćby w ostatnich głosowaniach”. Lider PSL subtelnie zdaje się pytać: Jak grać z kimś, o kim nie wiadomo, na ile szabel sejmowych może liczyć?

W przypadku rozmów Gowina z Budką trudność jest inna – mniejszościowa grupa w obozie władzy negocjuje z coraz bardziej słabą i mniejszościową grupą w obozie opozycji w sprawie zmian, które wymagają większości konstytucyjnej w Sejmie.

IŚĆ CZY NIE IŚĆ NA WYBORY?

Podczas gdy Porozumienie grzęźnie w kolejnych rozmowach, w obozie opozycji trwa walka o przywództwo. I właśnie z tego powodu PSL, Lewica i Szymon Hołownia nie dali się namówić Małgorzacie Kidawie-Błońskiej na udział w bojkocie. Prawdą, do której nikt z tej trójki się nie przyzna, jest to, że termin wyborów majowych bardzo im wszystkim pasuje.

Kosiniak-Kamysz pro forma mówi o przełożeniu wyborów o rok, ale też zaklina się, że „nie ustąpi z pola walki”. Lider PSL ma nadzieję, że po osłabieniu Kidawy-Błońskiej to on ma największe szanse na przejście do drugiej tury. Lewica może mieć z kolei bardziej długoplanowe plany. Jeśli Platforma rozpadnie się pod swoim ciężarem, to partia Czarzastego przejmie lewicową część elektoratu PO, łaskawie oddając ludowcom elekto-

eprasa.pl 33dbceaddd

rat na prawo od centrum. Swój interes w szybkich majowych wyborach może mieć też Szymon Hołownia. Krążą plotki, że kończą mu się wyborcze pieniądze. Cała trójka prześciga się w sypaniu gromów na PiS, ale nie wycofując się, wybory majowe legitymizuje.

Na tle tych całkiem realnych interesów jak narzekania rewolucyjnych ciotek i wujów brzmią wezwania do bojkotu wyborów ze strony Magdaleny Środy czy Romana Kuźniara. Mało skuteczni są też ci z opozycji medialnej, którzy tak jak Tomasz Lis i Jacek Żakowski dostrzegają korzyści dla opozycji z przesunięcia wyborów o dwa lata. Wpadli oni we własne sidła – tak długo malowali obraz PiS jako diabła wcielonego, że teraz lewicy łatwo wyśmiać ich nagły realizm. Polityk Nowej Lewicy, Maciej Gdula, kpi: „Bojkotujemy wybory, zero współpracy z ludźmi łamiącymi konstytucję? No to porozmawiajmy z Jarosławem Gowinem i przedłużmy kadencję A. Dudy o rok".

Ten brak jedności jest na razie dla Kaczyńskiego bezcenny, niezależnie od świadomości, że już po wyborach wszyscy z opozycji będą głosić w Brukseli i nad Wisłą, iż wybory były niedemokratyczne. To, co naprawdę obchodzi Kaczyńskiego, to to, czy Polacy w istotnej liczbie uznają wybory za sprawnie przeprowadzone i bezstronne. Jeśli tak się stanie, wówczas wybory będą dla PiS sukcesem. Podobna myśl zdaje się przebijać ze słów Karoliny Wigury z „Kultury Liberalnej": „Możemy sobie robić złudzenia, że wyniki wyborów nie będą obowiązujące. Będą". Jeszcze bardziej fatalistycznie wypowiada się Rafał Kalukin, publicysta „Polityki": „O pokonaniu Dudy nikt [wśród opozycji – przyp. P.S.] poważnie nie myśli, co dla wyborców jest dość czytelne i nie sprzyja ich mobilizacji. [...] Problem w tym, że po stronie opozycyjnej brakuje wytrawnego reżysera, który byłby zdolny wyprowadzić wyborców z labiryntu".

Czy można dziwić się Jarosławowi Kaczyńskiemu, że nie chce marnować tak korzystnej sytuacji i odkładać wyborów o rok czy dłużej?

GOWIN Z ZAWLECZKĄ GRANATU

W obozie PiS-owskim dominuje przekonanie, że wyskoki Gowina na razie trzeba przeczekać. Lider Porozumienia próbował sugerować, że negocjuje z opozycją w imieniu całej Zjednoczonej Prawicy, ale szybko zostało to zdezawuowane. W roli spokojnego, ale i jednoznacznego strażnika partyjnej linii wystąpiła Beata Szydło. Była premier przestrzega: „Nie wyobrażam sobie, że przez kolejny rok mielibyśmy zajmować się tylko i wyłącznie kampanią. Propozycja Gowina jest w tej sytuacji raczej niemożliwa do przeprowadzenia i wydaje się, że Gowin już o tym wie".

Lider PiS, trzymając się majowej daty wyborów, ryzykuje istnienie większości sejmowej. Gowin musi się liczyć z wyjściem poza obóz PiS

Oprócz takiej łagodnej perswazji krakowski polityk staje wobec realnego pęknięcia w swojej partii. Adam Bielan, który przypomina, że jest szefem konwentu partii, broni majowego terminu i publicznie pyta, dlaczego od 2 kwietnia, gdy zaczęła się akcja Gowina, nie zebrały się władze partii. Jednakże PiS wywiera naciski na członków Porozumienia, by pamiętali, że ich stanowiska rządowe i w spółkach Skarbu Państwa nie są wieczne. Całym tym rozwojem wydarzeń zaniepokojeni są „pozytywiści" skupieni wokół wicepremier Jadwigi Emilewicz. „Jarek miał rację, gdy uznał, że ludzie nie zaakceptują wyborów w lokalach wyborczych 10 maja – mówi jeden z nich. – Wtedy to była kwestia życia i śmierci. Ale nie zauważył, że głosowanie korespondencyjne to jednak inna para kaloszy i dalsze stawianie sprawy na ostrzu noża jest błędem".

Co to oznacza w praktyce, gdy dojdzie do głosowania ok. 7 maja nad wyborami korespondencyjnymi? Powraca pytanie: Na ile szabel może liczyć lider Porozumienia? Jeden ze sztabowców PiS mówi: „Jeśli będą to tylko cztery głosy – Gowin, Maksymowicz, Bortniczuk, Wypij – to przy 100-procentowej frekwencji reszty klubu PiS jakoś damy radę. Jeśli zmobilizuje więcej posłów – możemy przegrać szanse na głosowanie korespondencyjne w maju". Oceny, ile szabel ma Gowin, są bardzo różne. Jedni oceniają je na trzy głosy, inni na 10. Adam Bielan nie kryje, że będzie namawiał kolegów do cofnięcia się przed destabilizacją większości sejmowej.

Sam Gowin w wywiadzie w programie Moniki Olejnik znów błysnął niekonsekwencją, mówiąc, że 7 maja będzie tylko apelował do rozsądku swoich posłów, ale nie wprowadzi żadnej dyscypliny w głosowaniu. Kontra Olejnik była bezlitosna: „Jak się jest prezesem, to ma się wszystkich za sobą".

SASIN DRATEWKA

A kogo ma za sobą Kaczyński, prąc do wyborów w maju? Na pewno aparat rządowy na czele z ministrem Jackiem Sasinem, który ma przygotowawć wybory wraz z nowym szefem Poczty Tomaszem Zdzikotem.

Histeria opozycji grożącej, że druk kart bez ustawy oznacza Trybunał Stanu, nie robi na nikim w PiS większego wrażenia. Zbyt często wymachiwano tym straszakiem w ostatnich latach. Tym bardziej że niepozbawione są sensu wyjaśnienia Sasina, iż wybory 10 maja są wciąż w mocy, tyle że w normalnym, obwodowym głosowaniu, i karty tak czy inaczej będą potrzebne. Bardziej niepokoi konflikt z samorządami o uzyskanie adresów meldunkowych. Taka obstrukcja może zagrozić wyborom w maju. Chyba że ludzie Sasina znów jakoś rozwiążą ten problem.

Kaczyński ma oczywiście jeszcze pewne pole manewru. Może wybory wyznaczyć na 10, 17 lub 23 maja. A jeśli gowinowcy dostatecznie licznie zablokują głosowanie korespondencyjne lub gdy okaże się, że Sasin nie daje rady, zawsze z zaciśniętymi zębami może zgodzić się na krótki stan wyjątkowy i wybory w sierpniu. Na razie ambicjonalnie zaangażował się w pojedynek o wybory w maju i znalezienie sposobu na zneutralizowanie akcji Gowina.

Lider PiS, trzymając się majowej daty wyborów, ryzykuje istnienie większości sejmowej. Gowin musi się liczyć z wyjściem poza obóz PiS. Czy z czterema, czy nawet z 10 posłami będzie partnerem dla opozycji? Marcin Anaszewicz, były polityk obozu Biedronia, pisze: „Ciekawe, ile czasu potrzeba, żeby Jarosław Gowin, tak jak Roman Giertych, z sojusznika Jarosława Kaczyńskiego przeobraził się – przy wsparciu mediów (nie narodowych) – w ideał demokraty i zaczął skakać na demonstracjach antyrządowych. Czy teraz hop, hop, hop z Gowinem?". Te zjadliwe słowa pokazują, jak słaby jest autorytet lidera Porozumienia w obozie opozycji. Trudno z tak kiepskimi kartami siadać do skutecznej rozgrywki przy politycznym stole.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 33dbceaddd

Wojna pocztowa

FOT. ADOBE STOCK

Wojciech Wybranowski

Doręczenie 30 mln pakietów wyborczych nie przekracza naszych możliwości – mówią „Do Rzeczy" szefowie największych związków zawodowych Poczty Polskiej. Zwracają jednak uwagę na braki kadrowe, logistyczne i brak przepisów. Ich zdaniem największym przeciwnikiem jest czas

Połowa ubiegłego tygodnia, 20 dni do dnia 10 maja, czyli terminu wyborów prezydenckich. Najprawdopodobniej odbędą się one w całości w systemie korespondencyjnym. Najprawdopodobniej, bo ustawa w tej sprawie leży w Senacie i opuści go najwcześniej 5 maja. A to oznacza, że dopiero 6 maja – w dniu telewizyjnej debaty wyborczej – podpisze ją prezydent Andrzej Duda. Na uruchomienie wszystkich procedur związanych z przygotowaniem wyborów zostaną zaledwie cztery dni.

– Wybory prezydenckie rozpisane są na 10 maja, do tej daty się przygotowujemy, Polska Wytwórnia Papierów Wartościowych już rozpoczęła druk kart wyborczych, dzieje się to na podstawie decyzji premiera wydanej na podstawie ustawy – poinformował minister Jacek Sasin w rozmowie z TVN24.

Aby jednak korespondencyjne wybory prezydenckie mogły się odbyć, pakiety z kartami wyborczymi, zgodnie z ustawą, muszą zostać dostarczone uprawnionym do głosowania na siedem dni przed wyborami.

– Jako Narodowy Operator Pocztowy, największa i kluczowa spółka infrastrukturalna w kraju z szerokim dostępem do wszystkich obywateli, jesteśmy w stanie obsłużyć wszystkich obywateli i umożliwić wszystkim zainteresowanym korespondencyjny udział w wyborach prezydenckich. Przemawia za tym nasze doświadczenie – przekonuje „Do Rzeczy" Justyna Siwek, rzecznik Poczty Polskiej.

Jednak na wiele naszych pytań rzecznik nie odpowiada. Twierdzi, że rozwiązania problemów, o które pytam, pojawiają się z czasem, wraz z przygotowywaniem Poczty do realizacji wyborów. Tymczasem właśnie czas jest głównym (choć nie jedynym) wyzwaniem.

WIELE PYTAŃ

Czy Poczta Polska będzie w stanie dostarczyć pakiety wyborcze w czasie pandemii koronawirusa? – Trudno jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie, ponieważ nie znamy ostatecznych zapisów ustawy oraz licznych rozporządzeń wykonawczych, które ma do niej wydać minister aktywów państwowych, a które zawierać będą szczegóły techniczne przeprowadzenia tej operacji – mówi nam Sławomir Redmer, przewodniczący Związku Zawodowego Pracowników Poczty. Zwraca jednak uwagę, że samo doręczenie w kilka dni 30 mln pakietów wyborczych nie jest zadaniem przekraczającym możliwości spółki i jej pracowników.

Podobnego zdania jest Bogumił Nowicki, szef Solidarności Poczty Polskiej. Jednak obaw i obiekcji wśród pracowników Poczty Polskiej także nie brakuje. Na przykład co do tego, kto zapłaci za doręczanie przesyłek wyborczych i czy za dostarczanie pakietów wyborczych listonosze otrzymają dodatkowe wynagrodzenie. Według nieoficjalnych informacji, które podało Radio RMF FM, rząd planuje zaproponować każdemu z doręczycieli pracujących przy obsłudze korespondencyjnych wyborów dodatkową pensję w wysokości ok. 2,7 tys. zł brutto.

eprasa.pl 33dbceaddd

– W doręczaniu pakietów listonosze napotkają wiele trudności, w postaci m.in. braku lub uszkodzeń skrzynek oddawczych. Od razu rodzi się pytanie, na które nie ma odpowiedzi – co w takich przypadkach listonosz ma zrobić? Doręczyć pakiet wyborczy osobiście czy spisać na taką okoliczność jakiś protokół celem zwrotu do Komisji Wyborczej? – mówi nam Piotr Moniuszko, przewodniczący Wolnego Związku Zawodowego Pracowników Poczty. I dodaje: – Co w przypadku, gdy pracownik przez pomyłkę dostarczy pakiet pod niewłaściwy adres itd.? Pracownicy i my pytań mamy dużo, lecz niestety nie są znane odpowiedzi na nie.

Według oficjalnych danych Poczta Polska posiada obecnie 16 tys. skrzynek nadawczych, z czego nieco ponad połowa położona jest na terenie wiejskim, a reszta na terenie miejskim. Około 9 tys. skrzynek nadawczych ulokowanych jest poza urzędami. Nie wiadomo dokładnie, ile obecnie jest skrzynek pocztowych odbiorczych. Teoretycznie od 2012 r. obowiązują przepisy, które pod groźbą grzywny (nawet do 10 tys. zł) nakazują posiadanie takiej skrzynki. W praktyce w wielu miejscach ludzie ich nie mają.

Z powodu braku odpowiednich regulacji istnieją obawy, że doręczyciele mogą być narażeni na odpowiedzialność karną i finansową za uszkodzenie pakietów wyborczych przez odbiorców czy po prostu ich odrzucenie. Przepisy zawarte w art. 18 i 19 w procedowanej obecnie w Senacie ustawie wprowadzają sankcje w postaci kary do trzech lat pozbawienia wolności za kradzież karty do głosowania lub oświadczenia wyborcy oraz grzywny za otwarcie bez uprawnienia pakietu wyborczego lub zniszczenia pakietu wyborczego czy zaklejonej koperty zwrotnej.

– Obawiam się bezpodstawnych oskarżeń naszych pracowników o takie czyny – mówi Sławomir Redmer, szef ZZPP. – Łatwo przewidzieć, że nasi pracownicy mogą spotkać się z dużą niechęcią ze strony odbiorców. Już dziś wielu z nich zgłasza, że nie życzy sobie doręczenia pakietu wyborczego – ujawnia szef związku.

Pojawia się też kwestia właściwego zabezpieczenia doręczycieli zarówno przed wirusem, jak i fizyczną agresją. – Samo dostarczanie pakietów do skrzynek nie stwarza większego niebezpieczeństwa niż normalna praca listonosza. Możemy nawet uważać, że te pakiety z punktu widzenia bezpieczeństwa sanitarnego są bezpieczniejsze od innych przesyłek, często z niewiadomych źródeł. Pewne potencjalne ryzyko może wystąpić przy odbiorze pakietów od wyborców będących w kwarantannie – wskazuje Bogumił Nowacki, przewodniczący pocztowej „S".

Jak poinformowała nas rzecznik prasowa Poczty Polskiej, do tej pory pracownicy Poczty otrzymali ponad 128 tys. sztuk żeli do dezynfekcji rąk o pojemności 30 ml, blisko 260 tys. sztuk żeli do dezynfekcji rąk o pojemności 100 ml, ponad 64 tys. litrów płynów do dezynfekcji rąk i powierzchni, ponad 1,5 mln par rękawiczek jednorazowego użytku, blisko 230 tys. maseczek wielokrotnego użytku z możliwością prania i ponad 400 tys. sztuk maseczek jednorazowych.

Tyle że kwestia bezpieczeństwa to tylko wierzchołek góry lodowej. Na nie rząd i władze Poczty muszą odpowiedzieć bardzo szybko. A ustawa przyjęta przez Sejm jest ogólnikowa i – na co zwracają uwagę związkowcy – odsyła do rozporządzeń, które dopiero mają zostać wydane przez ministra aktywów państwowych.

– Pewne przygotowania są jednak już czynione. Pracownicy zgłaszają, że doręczanie pakietów ma się odbywać dwuosobowo. Poczta Polska złożyła już też do Ministerstwa Aktywów Państwowych zamówienie na środki ochrony osobistej, które mają być przekazane z MAP na potrzeby pracowników przy organizacji wyborów – poinformował nas Piotr Moniuszko, lider WZZPP.

Wiadomo już jednak, że ze względu na pandemię i zakaz zgromadzeń prawdopodobnie nie uda się przeprowadzić szkoleń dla pracowników.

„Poczta Polska z uwagą śledzi prace legislacyjne w zakresie wyborów korespondencyjnych i czeka na ostateczny kształt ustawy, a także na akty wykonawcze. Jednocześnie we współpracy z Ministerstwem Aktywów Państwowych wypracowywane są szczegółowe rozwiązania w zakresie możliwości obsługi procesu wyborczego przez Pocztę Polską" – czytamy w piśmie przesłanym „Do Rzeczy" przez Justynę Siwek.

PROTESTU LISTONOSZY NIE BĘDZIE, ALE...

Wraz z przyjęciem przez Sejm ustawy o głosowaniu korespondencyjnym i przesłaniu jej do Senatu w przestrzeni medialnej pojawiają się cyklicznie informacje o rzekomych planowanych protestach listonoszy. – Nie podjęliśmy jeszcze żadnej decyzji, co nie oznacza, że taki wariant wykluczamy. Postulat w zakresie organizacji strajku włoskiego wyszedł w zasadzie od pracowników, którzy obawiając się wcześniej wspomnianych kar grzywny, uważają, że powinni pakiety wyborcze doręczać ze szczególną ostrożnością i uwagą, by nie narazić się na odpowiedzialność karną – twierdzi lider Wolnego Związku Zawodowego Pracowników Poczty. – Część pracowników w okresie doręczania pakietów wyborczych zamierza iść na zwolnienia lekarskie. Wielu ma ku temu podstawy – dodaje Moniuszko, tłumacząc, że pracownicy czują się wykorzystani w politycznym konflikcie. Dlaczego? Ponieważ udział w doręczeniu pakietów wyborczych może być uznany za sprzyjanie obozowi rządzącemu, z kolei udział w strajku włoskim czy udanie się na zwolnienie może zostać odczytane jako sprzyjanie opozycji.

Listonosze obawiają się, że to oni będą prawnie odpowiadać, gdy adresat zniszczy doręczony mu pakiet wyborczy

Podobnego zdania jest także Sławomir Redmer, szef Związku Zawodowego Pracowników Poczty. Jednak pomysł blokowania wyborów prezydenckich jakąkolwiek formą strajku czy protestu doręczycieli uważa za absurdalny. – Teza o strajku włoskim czy strajku protestacyjnym to raczej tezy publicystyczne i myślenie życzeniowe. Pracownicy wybiorą zachowania, które z ich punktu widzenia będą dla nich najlepsze. Wierzę w ich rozsądek i racjonalne podejście – twierdzi Redmer.

Pocztowa Solidarność od kilkunastu miesięcy jest już w sporze zbiorowym z pracodawcą. Jej działacze domagają się podwyżki wynagrodzeń. Jednak udział w proteście czy strajku, który sparaliżowałby przeprowadzenie wyborów prezydenckich drogą korespondencyjną, związkowcy z Solidarności wykluczają. – Strajk włoski w kwestii wyborów korespondencyjnych w naszym rozumieniu byłby działaniem po pierwsze pozaprawnym, a po drugie faktycznie działaniem politycznym. My chcemy z rządem rozmawiać w interesie pracowników i przyszłości firmy, a nie stosować polityczny szantaż – ucina Nowicki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 33dbceaddd

FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

Chcą wymienić Kidawę-Błońską na hejtera

Z posłem Krzysztofem Sobolewskim, przewodniczącym Komitetu Wykonawczego PiS oraz pełnomocnikiem Komitetu Wyborczego Kandydata na Prezydenta RP Andrzeja Dudy
rozmawia Wojciech Wybranowski

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Wybory 16 maja 2021 r. to pomysł, który przedstawił Borys Budka, lider PO...

KRZYSZTOF SOBOLEWSKI: Rozumiem, że politycy PO chcieli zrobić prezent urodzinowy Andrzejowi Dudzie, bo właśnie 16 maja ma rocznicę urodzin, ale za taki prezent jednak podziękujemy. Dla nas obowiązującą datą jest 10 maja 2020 r., wtedy odbędzie się pierwsza tura wyborów prezydenckich – pierwsza i być może jedyna, taką mam przynajmniej nadzieję. Propozycja posła Budki jest niepoważna i nie będziemy się do niej odnosić. Partia, która na sztandarach ma konstytucję i ciągle powołuje się na nią w Sejmie czy na swoich wiecach, teraz proponuje rozwiązania, które są z nią całkowicie niezgodne. To bardzo instrumentalne traktowanie ustawy zasadniczej. Hipokryzja PO w pigułce.

Wprowadzenie stanu klęski żywiołowej pozwoliłoby jednak przesunąć wybory bez naruszania przepisów konstytucji.

Ale do kiedy? Na rok? O czym mówimy? Można by wprowadzić go na miesiąc, później można go za zgodą Sejmu przedłużać, ale nie w nieskończoność. Przez dziewięć miesięcy? To byłoby absurdalne rozwiązanie.

We Francji, gdzie kilka lat temu w związku z zamachami terrorystycznymi wprowadzono stan wyjątkowy, przedłużano go sześciokrotnie. Nikt nie mówił, że to absurdalne.

Tylko we Francji sytuacja jest trochę inna, tam stan wyjątkowy wprowadzano w ostatnich latach nader często, zanim koronawirus się pojawił.

PiS bierze pod uwagę możliwość skorzystania z uprawnień marszałek Sejmu i przesunięcie daty wyborów na 17 maja, 24 maja albo właśnie wprowadzenie tzw. krótkiego stanu klęski żywiołowej i organizację wyborów w sierpniu?

W tej chwili rozpatrujemy tylko datę 10 maja 2020 r. A w odniesieniu do propozycji posła Budki warto zwrócić uwagę, że w tej chwili oficjalnie uruchomił on proces wymiany kandydata Koalicji Obywatelskiej na prezydenta. Proszę zauważyć, że nie zadeklarował on, iż jeśli wybory odbyłyby się za rok, to kandydatką jego ugrupowania nadal byłaby pani Małgorzata Kidawa-Błońska. Można powiedzieć, że „chcą wymienić kandydata, tylko nie wiedzą, jak o to zapytać" i stąd biorą się takie propozycje. Nie można zawiesić wyborów na rok i wznowić kampanii w momencie jej przerwania. Trzeba by przeprowadzić ponowny proces zgłaszania kandydatów i tu jestem pewny, że kandydatem Koalicji Obywatelskiej byłby ktoś inny.

Jest pan bardzo krytyczny wobec propozycji przewodniczącego Budki. Pamiętam jednak, że PiS też równie krytycznie podchodził do złożonej przez Jarosława Gowina propozycji wydłużenia konstytucyjnie kadencji prezydenta o dwa lata, a nagle zgłosił bliźniaczy do niej projekt.

PiS poparł zaproponowany przez posła Gowina projekt zmiany konstytucji.

eprasa.pl 33dbceaddd

Zasadnicze pytanie jest bowiem takie: Kto po 6 sierpnia, kiedy to minie kadencja Andrzeja Dudy, będzie stał na czele państwa polskiego? Nie ma wskazanej przepisami takiej osoby. Będzie chaos prawny. 6 sierpnia wygasa kadencja urzędującego prezydenta. I co wtedy? Oczywiście jest druga osoba w państwie [marszałek Sejmu – przyp. red.], ale żeby ona mogła pełnić obowiązki prezydenta, muszą być spełnione konstytucyjne przesłanki, a dziś one nie zachodzą.

Dobrze, że wspomniał pan o chaosie. Ustawa wyjdzie pewnie z Senatu 5 maja, może tego samego dnia opuści Sejm, 6 maja, w dniu telewizyjnej debaty prezydenckiej, podpisze ją Andrzej Duda. Zostają cztery dni na zorganizowanie wyborów, przeprowadzenie szkoleń dla pracowników poczty, których np. dziś nie można przeprowadzić, bo nie ma stosownych przepisów.

Mało czasu, ale jesteśmy przygotowani do tego, by można było wybory przeprowadzić. Nawet jeśli będziemy mieli do czynienia z obstrukcją ze strony Senatu, na co niestety się zanosi. Mimo naszych apeli i próśb do marszałka Tomasza Grodzkiego, by potraktował tę sprawę poważnie i wyszedł ponad partykularny interes partyjny. Prawdopodobnie jednak będzie przeciągał w Senacie prace nad ustawą do ostatniego możliwego dnia. Ze swojej strony mogę tylko powiedzieć, że wszystko będzie przygotowane i ogłoszone w stosownym czasie. Wybory będą mogły być przeprowadzone w sposób zgodny z przepisami.

„Gazeta Wyborcza" informuje, że Państwowa Komisja Wyborcza przygotowuje dla Senatu i przedstawi prawdopodobnie pod koniec mijającego tygodnia negatywną ekspertyzę dotyczącą możliwości głosowania korespondencyjnego.

Z całym szacunkiem, ale dla mnie wymieniona przez pana gazeta nie jest źródłem rzetelnych informacji, którymi mógłbym się sugerować. Wiem, że ma być opinia PKW i że ma trafić do Senatu w związku z procedowaniem ustawy. Nie będę spekulował i wchodził w kompetencje PKW, poczekam, aż opinia się pojawi.

Pana klubowy kolega Jarosław Gowin w rozmowie z TVN24 zasugerował, że konsekwencją sporu o termin wyborów może być utrata większości sejmowej przez obóz rządzący. Czy to oznacza, że trwałość Zjednoczonej Prawicy wisi dzisiaj na włosku?

Trudno mi komentować słowa kolegi z klubu parlamentarnego. Większość rządząca, parlamentarna, wybrana w wyborach w październiku ubiegłego roku, jest i trwa. I mam nadzieję, że tak będzie także po 6 maja.

Do tego trwania może jednak zabraknąć PiS pięciu głosów parlamentarzystów z Porozumienia.

Z tego, co wiem, kilku posłów Porozumienia myślało, że tym wariantem alternatywnym będzie propozycja przedstawiona przez przewodniczącego PO Borysa Budkę, ale już wiem też, że to, co zaprezentował poseł Budka, całkowicie nie było tym, czego oni oczekiwali. Sytuacja się więc trochę zmieniła. Oczekiwania były takie, że ze strony PO wyjdzie coś, co będzie po myśli posłów Porozumienia, co będzie spełniać oczekiwania tych, od których „zależy" większość rządząca. I się mocno rozczarowali.

Widzi pan możliwość powrotu do rządu Jarosława Gowina? Czy pana zdaniem buduje on już przyszłość polityczną poza obozem Zjednoczonej Prawicy?

Nie mnie snuć takie dywagacje. To decyzja zależąca w pierwszej kolejności od samego Jarosława Gowina. To będzie jego wybór. Co do innych kwestii z tym związanych… mam bogatą wyobraźnię.

Stabilność obozu rządzącego za cenę kolejnych stanowisk wiceministerialnych dla ludzi Porozumienia?

Nic mi o takiej cenie nie wiadomo. Realizujemy program, z którym szliśmy do wyborów w 2019 r. To był program Zjednoczonej Prawicy, a więc także program Porozumienia Jarosława Gowina.

Powiedział pan wcześniej, że Koalicja Obywatelska szykuje się do tego, by zmienić kandydata na prezydenta. Myśli pan o wariancie: wspólny kandydat opozycji Władysław Kosiniak-Kamysz?

Gdybym miał sugerować się tym, co mówią politycy PO, a także medialne przekazy, to wariant, że będzie wspólny kandydat i będzie nim pan przewodniczący Kosiniak-Kamysz, raczej w mojej ocenie nie wchodzi w grę dla KO. Zresztą ona doskonale wie, że jeśli największa siła opozycyjna nie wystawia własnego kandydata, to kończy się to później jej marginalizacją polityczną. Obstawiałbym więc, że wymienią panią Kidawę-Błońską na kogoś innego, może na kogoś, kto kiedyś się przestraszył i nie stanął w szranki wyborcze z Andrzejem Dudą. Może teraz znajdzie on w sobie wystarczająco dużo odwagi, by stanąć z prezydentem do rywalizacji. To jednak rozważania hipotetyczne i bardzo przyszłościowe, począwszy od tego, że opozycja nie ma szans na realizację pomysłu wyborów w maju – za rok.

Mówi pan o Donaldzie Tusku?

Mam na myśli takiego hejtera internetowego, chyba piszącego z Brukseli.

Przedsiębiorcy „czują się zaopiekowani przez państwo"?

Trudno jest mi odpowiadać w imieniu przedsiębiorców. Z naszej strony robimy wszystko, by – oprócz wspomagania przedsiębiorców w tym ciężkim czasie – chronić także miejsca pracy. Stąd propozycje i przegłosowane już pakiety ustawowe: Tarczy Antykryzysowej jeden, dwa i tzw. bazooki, którą ogłosił pan premier w porozumieniu z Narodowym Bankiem Polskim i Polskim Funduszem Rozwoju. Oczywiste jest, że prawdopodobnie nie uda się obronić wszystkich miejsc pracy, bo sytuacja jest rzeczywiście ekstraordynaryjna, nie mierzyliśmy się z taką do tej pory. Natomiast staramy się zrobić wszystko, by przedsiębiorcy ponieśli jak najmniejszy koszt i by kryzys był jak najmniejszym kosztem dla pracowników.

Pytam, ponieważ pani minister Emilewicz dokładnie takiego zwrotu użyła w rozmowie z portalem WirtualnaPolska.pl. Tymczasem słyszę od polskich inwestorów, także działających w branży medycznej, że procedury są za wolne, że zapowiadany przez premiera Morawieckiego pakiet wsparcia polskich produktów naukowych, biotechnologicznych, medycznych nadal nie został uruchomiony.

Będą kolejne pakiety, które będą polegać bądź na nowelizacji Tarczy Antykryzysowej, bądź na wprowadzeniu nowych regulacji. Sytuacja jest nadzwyczajna, dlatego na bieżąco analizujemy jej rozwój i wprowadzamy nowe rozwiązania, które mogą zminimalizować negatywne skutki pandemii koronawirusa i w gospodarce, i w kulturze, i w inwestycjach. Nowelizacje, nowe propozycje według mojej wiedzy – ale nie chcę wchodzić w szczegóły, bo pracuje nad tym m.in. minister Emilewicz – mogą pojawić się już w najbliższych dniach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Krzysztof Sobolewski
– przewodniczący Komitetu Wykonawczego PiS, pełnomocnik Komitetu Wyborczego Andrzeja Dudy.

eprasa.pl 33dbceaddd

Łukasz Zboralski

Pijany? To wysiadasz

Okres pandemii pokazał, że żadne groźby nie powstrzymują pijanych kierowców. Może czas rozważyć w Polsce konfiskowanie im samochodów, przynajmniej na czas kary?

Pijani, bardzo często już z sądowymi zakazami jazdy, czasem dożywotnimi – tych w kronikach polskiej policji nigdy nie brakowało. Jednak teraz, gdy podczas pandemii ruch na polskich drogach zmalał nawet o połowę (pomiary GDDKiA) i wprowadzono ścisły nakaz izolacji społecznej, w policyjnych raportach doniesienia o pijanych kierowcach wzięły górę nad innymi informacjami o działaniach drogówki.

JADĄ MIMO WSZYSTKO

Piątek, 10 kwietnia. Drogówka z Kłobucka widzi podejrzanie jadącego kierowcę renault. Może być pijany, więc szybko zatrzymują go do kontroli. Za kierownicą siedzi 56-latka z gminy Opatów. Wydmuchuje blisko 2 promile. Jeszcze tego samego dnia wieczorem dzielnicowy w Opatowie też widzi prawdopodobnie pijanego za kółkiem. Zatrzymuje samochód. W środku… ta sama kobieta. Tym razem ma już ponad 2 promile. Dopiero wówczas trafia do aresztu i słyszy zarzuty. Wiadomo, że w przeszłości kobieta była już karana za jazdę w stanie nietrzeźwości (czyli mając w organizmie 0,5 promila lub więcej, bo alkohol w przedziale 0,2–0,5 klasyfikowany jest jako wykroczenie, tzw. jazda po spożyciu alkoholu).

15 kwietnia, Płońsk. 34-latek jadący z pijanymi pasażerami ma w organizmie blisko 3 promile. Ma też sądowy zakaz prowadzenia pojazdów mechanicznych.

19 kwietnia, Płońsk. 36-latek z powiatu łowickiego ma w organizmie 0,7 promila. I ma też dożywotni sądowy zakaz prowadzenia pojazdów.

20 kwietnia, Kowalewo Pomorskie. 49-latek ma prawie 2 promile alkoholu. Jechał, choć wciąż obowiązuje go wydany przez sąd czteroletni zakaz prowadzenia pojazdów.

W ubiegłym tygodniu dwa razy policjanci przypadkowo są też świadkami wypadnięcia z drogi i dachowania. W Byczynie policjant po służbie był przed domem i zauważył wypadek. Pobiegł udzielać pomocy. Z wraku wyciągnął 25-letniego kierowcę. Młody mężczyzna wydmuchał 3,5 promila alkoholu.

Z kolei w Andrychowie policjant jadący na służbę ruszył na pomoc kierowcy, który dachował w rowie. Okazało się, że miał 2,3 promila alkoholu w organizmie.

A to tylko wielki skrót wiadomości, które w ostatnich tygodniach przekazywała policja – zresztą w kronikach nie podaje ona każdego zatrzymania. Skala zatrzymywanych pijanych kierowców jest więc dużo większa.

TO NAS KOSZTUJE

Trzeba oczywiście zauważyć, że – co pisałem już wiele razy na łamach „Do Rzeczy" – w Polsce problem z pijanymi kierowcami nie jest większy niż w innych krajach UE i nie powinien być to priorytet w polityce dotyczącej bezpieczeństwa drogowego. To jednak nie znaczy, że należy go całkowicie bagatelizować. Jak bowiem wynika z raportu Komendy Głównej Policji za ubiegły rok, ludzie będący pod wpływem alkoholu (zwracam uwagę, że polska policja od lat niestety zalicza do tej kategorii ofiary, sprawców, a także osoby z ilością alkoholu w organizmie poniżej prawnie ustalonego progu – jakoś nikt nie potrafi wymóc poprawnego sporządzania statystyk) uczestniczyli w blisko 3 tys. wypadków drogowych. Życie straciło w nich 326 osób (to ponad 11 proc. wszystkich zabitych w wypadkach drogowych w Polsce w 2019 r.), a ponad 3 tys. osób zostało rannych.

W obniżaniu liczby wypadków „z udziałem użytkowników będących pod działaniem alkoholu" robiliśmy w Polsce widoczne postępy do 2015 r. Od nastania rządów dobrej zmiany poprawa jest minimalna – tak samo zresztą jak ogólnie w bezpieczeństwie na drogach, bo w ubiegłym roku znów zanotowaliśmy więcej zabitych w porównaniu z rokiem 2018. Ostatecznie rocznie wydarza się ostatnio od 2,7 tys. do 2,8 tys. takich wypadków w kraju.

eprasa.pl 33dbceaddd

W ubiegłym tygodniu policjant z Byczyny pobiegł ratować kierowcę, który dachował koło jego domu. 25-latek miał 3,5 promila alkoholu w organizmie

FOT. OPOLSKIE RATOWNICTWO KLUCZBORK 112/KWP W OPOLU/MW

Dzięki szacunkom Krajowej Rady Bezpieczeństwa Ruchu Drogowego możemy te osobiste tragedie przekładać także na straty finansowe dla kraju. 326 ofiar śmiertelnych to koszt 782,4 mln zł dla polskiej gospodarki, a 3 tys. rannych to strata rzędu 9,9 mld zł (jeśli liczyć także ciężko rannych). W sumie rocznie możemy tracić ponad 10 mld zł na wypadkach z udziałem ludzi po alkoholu.

Także dlatego warto się zastanowić, czy można zrobić coś z ludźmi, którzy mimo uprzednich kar, a nawet zakazów, ponownie siadają pijani za kierownicą.

W polskim systemie za czasów ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry kary dla pijanych na drogach zaostrzono. Tak zmuszono łaskawe do tej pory sądy do surowszych orzeczeń. Ziobro przeforsował w 2017 r. m.in. podwyższenie górnej granicy kary – do pięciu lat więzienia – dla nieprzestrzegających sądowych zakazów prowadzenia pojazdów oraz bezwzględne więzienie (do dwóch lat) dla kierowców, którzy po pijanemu kogoś zabiją lub ciężko ranią.

Ostateczne zamykanie w więzieniach ludzi, którzy mimo obostrzeń ignorują prawo, jest pomysłem dobrym. Jednakże wśród osadzonych dziś za przestępstwa na drogach blisko 90 proc. stanowią właśnie alkoholowi recydywiści.

A podczas pandemii wyraźnie widać, że groźba surowej kary często nie działa na ludzi, którzy mają problem z chorobą alkoholową.

Jest jednak rozwiązanie tego problemu, którego w Polsce nigdy nie wypróbowano. Uważano bowiem, że należy do dziwacznych i radykalnych środków. Dlatego m.in. po głośnym wypadku w Kamieniu Pomorskim w 2014 r. ten pomysł nie wszedł do pakietu rozwiązań dotyczących pijanych kierowców. Tymczasem to rozwiązanie jest normą w porządku prawnym kilkunastu krajów w Europie. Chodzi o odbieranie w ogóle możliwości wyjechania na drogę pijanym, czyli o odbieranie im samochodów.

JAK TO ROBIĄ W EUROPIE

Z danych zebranych w 2016 r. przez czasopismo Instytutu Wymiaru Sprawiedliwości „Prawo w Działaniu" wydawane w Ministerstwie Sprawiedliwości wynika, że wiele państw w ten sposób próbuje sobie radzić z ludźmi, którzy bez względu na wszystko wsiadaliby za kierownicę po pijanemu.

Nie chodzi tu wyłącznie o przepadek pojazdu – czyli jego ostateczną utratę – co wzbudza w Polsce najwięcej kontrowersji, lecz także o rozwiązania, które pozwalają skonfiskować i przetrzymać samochód pijanego kierowcy czy pijanego sprawcy wypadku tak długo, jak długo ma on zakaz prowadzenia pojazdów.

We Włoszech samochód pijanego kierowcy może przepaść, jeśli tak zdecyduje sąd, a samochód, który prowadził, był jego własnością. Możliwość przepadku pojazdu istnieje też w przepisach ogólnych dotyczących ruchu drogowego w Słowenii.

Taką możliwość dopuścili również przepisami nasi południowi sąsiedzi – Słowacy. Chociaż warto podkreślić, że sankcja stosowana jest w tym kraju niezwykle rzadko. Z kolei w Luksemburgu sąd może orzec przepadek pojazdu, gdy kierowca zostanie złapany po pijanemu za kierownicą więcej niż jeden raz w krótkich odstępach czasu – a więc można podejrzewać, że dalej będzie z premedytacją łamał prawo.

Finowie uważają, że przedmiot wykorzystany do przestępstwa umyślnego może przepadać. Na podstawie tej zasady orzekane są przepadki samochodów, które prowadzili nietrzeźwi kierowcy.

Duńczycy uznali, że można skonfiskować kierowcy pojazd, gdy poważnie narusza przepisy ruchu drogowego bądź narusza je wielokrotnie. Skonfiskować można jednak tylko auto, które należy do kierowcy. Konfiskata pojazdu jest obligatoryjna wówczas, gdy kierowca pozbawiany jest prawa jazdy.

Również w Estonii możliwa jest konfiskata pojazdu prowadzonego przez nietrzeźwego kierowcę, jeśli jest to jego auto. Estończycy zabezpieczyli się jednak prawnie też przed tym, gdyby sprawca – zanim zapadnie orzeczenie – szybko darował lub sprzedał takie auto po okazyjnej cenie. Wówczas konfiskata może też dotyczyć auta należącego do osoby trzeciej.

W Rumunii po wyroku za prowadzenie samochodu po pijanemu sąd może orzec unieruchomienie pojazdu na czas obowiązywania zakazu poruszania się przez kierowcę, ale wyłącznie wtedy, gdy z samochodu tego nie korzystają osoby trzecie.

We Francji w sprawie pijanych recydywistów przewidziano możliwość konfiskaty pojazdu lub zakaz jego używania przez rok, jeśli należy on do człowieka popełniającego przestępstwo.

W Belgii sąd orzekający tymczasowe pozbawienie kierowcy prawa jazdy może też unieruchomić jego pojazd na okres nie dłuższy niż czas tej kary. Także w Bułgarii można unieruchomić samochód pijanemu kierowcy na miesiąc (również wtedy, gdy właściciel pozwolił kierować komuś pijanemu).

Ciekawe – bo elastyczne – rozwiązanie mają Grecy. Sąd może tam orzec zabranie kierowcy tablic rejestracyjnych i dowodu rejestracyjnego (co automatycznie oznacza niedopuszczenie pojazdu do ruchu) na okres od 10 dni do pół roku.

Polskie władze powinny przejrzeć te rozwiązania i zastanowić się, czy któreś z nich można wdrożyć w Polsce i zatrzymać recydywistów jeżdżących po pijanemu. Tym bardziej że brak działań z pewnością wytknie NIK, która w drugiej połowie tego roku zacznie szczegółową kontrolę dotyczącą właśnie tego, jak w Polsce udaje się eliminować pijanych kierowców z dróg, aby poprawiać bezpieczeństwo. Przedstawienie wyników planowane jest na drugi kwartał przyszłego roku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 33dbceaddd

Krzysztof Masłoń

Wielka wyrobnica malarstwa

Najbardziej znana polska malarka ma tak bardzo zmitologizowaną biografię, że w życiorysie jej zakwestionować można niemal wszystko

20 kwietnia w warszawskim teatrze Studio miała się odbyć premiera sztuki „Powrót Tamary", nawiązującej do spektaklu pokazywanego na tej samej scenie 30 lat temu i uznanego za jedno z największych wydarzeń teatralnych w postkomunistycznej Polsce. Tym razem historię pobytu malarki Tamary Łempickiej w marionetkowym państwie faszystowskim wziął na warsztat Cezary Tomaszewski, a w spektaklu zapowiedział swój udział Jan Peszek. Wszystko diabli – pod postacią koronawirusa – wzięli.

W tamtym dawnym, legendarnym już przedstawieniu grali m.in. Dorota Kamińska i (genialnie) Marek Walczewski, a rzecz napisaną przez kanadyjskiego autora Johna Krizanca reżyserował Maciej Wojtyszko. Jeśli się nie mylę, to było to pierwsze po upadku PRL całkowicie prywatne przedsięwzięcie teatralne, a producentem „Tamary" był facet, który w kulturze polskiej w tamtym czasie robił wszystko, co chciał, czyli Waldemar Dąbrowski.

Bilety na spektakl kosztowały – przeliczając stare złotówki na nowe – od 400 do 500 zł, a i tak były nie do dostania. I to wcale nie z tego powodu, że przedstawienie reklamowano jako symultaniczne, czyli ukazujące 10 równolegle toczących się wątków w 10 różnych miejscach, ale przede wszystkim dlatego, że dla widzów kuchnia hotelu Holiday Inn serwowała w teatrze kolację z kawiorem i szampanem.

Znajomość twórczości Tamary Łempickiej przed rokiem 1990 była w Polsce śladowa. Poza historykami sztuki wiedzieli o niej co nieco jedynie koneserzy stylu art déco. Dzisiaj sytuacja jest zupełnie inna. Nie trzeba być znawcą XX-wiecznego malarstwa, by zainteresować się tym, że to właśnie dzieła zmarłej w 1980 r. w Meksyku artystki z Warszawy (chyba) rodem osiągają na aukcjach rekordowe ceny, że wspomnę tu tylko o lutowej sprzedaży w londyńskim Christie's jej „Portretu Marjorie Ferry" za ponad 16 mln funtów (82 mln zł). Wcześniej najdroższymi obrazami polskich artystów były też jej: „La Musicienne" (9 mln dol.) i „La Tunique rose" (13,3 mln dol.). W sumie ponad 20 dzieł Łempickiej sprzedanych zostało za ponad milion dolarów. Dla porównania: wcześniej najwyższą cenę – milion dolarów – osiągnęło „Macierzyństwo" Stanisława Wyspiańskiego.

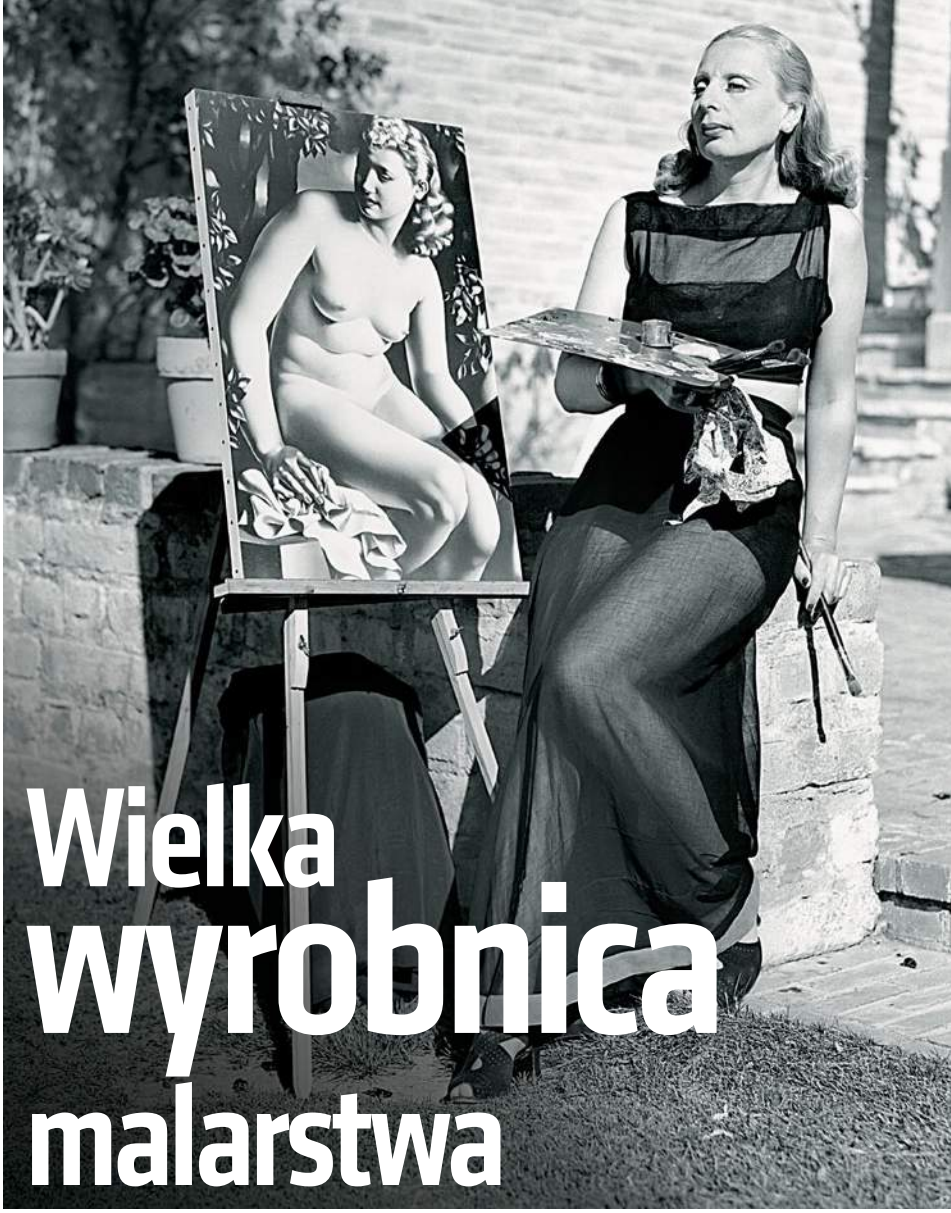

FOT. BETTMANN/GETTY IMAGES

EPATOWANIE BURŻUJÓW

Najbardziej znana polska malarka ma tak bardzo zmitologizowaną biografię, że w życiorysie jej zakwestionować można niemal wszystko. Z polskością na czele, była bowiem córką Borysa Gurwika-Górskiego, Żyda, rosyjskiego kupca czy przemysłowca – do końca nie wiadomo, któregoś pięknego dnia tatuś Tamary udał się bowiem w sobie znanym kierunku i z powrotem najwyraźniej się nie kwapił (istnieje też wersja, że popełnił samobójstwo). Matka malarki, Malwina z domu Dekler, też była Żydówką, tyle że zasymilowaną, z bardzo zamożnej rodziny, której familijny grobowiec znajduje się na cmentarzu żydowskim w Warszawie. Polakiem zaś, i to z niesłychanymi koligacjami, był za to mąż Tamary, Tadeusz Łempicki herbu Junosza, którego matka była bratanicą Cypriana Kamila Norwida.

Artystka urodziła się rzekomo w Warszawie w 1898 r., choć najprawdopodobniej chyba trzy lata wcześniej, i to w Moskwie. Z Warszawą jednak związani byli jej dziadkowie, a ona sama po ślubie z Tadeuszem Łempickim zawsze podkreślała swą polskość, pewnie i dlatego, że o Rosji od rewolucji bolszewickiej miała jak najgorsze zdanie.

Jeszcze jako dziecko zjeździła Europę ze swą babcią Klementyną, której zawdzięczała zainteresowanie malarstwem,

eprasa.pl 33dbceaddd

ta oprowadzała ją bowiem po włoskich galeriach i muzeach. W Rosji, w Petersburgu, wychowywali ją krewni, Stefa i Maurycy Stiferowie, dbając nie tylko o jej rozrywki, lecz także edukację artystyczną, kontynuowaną po latach, nieco dorywczo, w Paryżu.

To we Francji osiągnie sukces, głównie finansowy, a o jej portrety zabiegać będą w latach 20. XX w. znakomitości tamtej rozwichrzonej epoki. Malowała także martwe natury, no i akty, do których pozowały jej również postaci ze znanymi nazwiskami. To wtedy zaczęto ją nazywać propagatorką malarstwa perwersyjnego. Bo i tak właśnie, ewidentnie epatując burżujów homoerotyzmem, malowała Łempicka. Trochę też było to jej malarstwo sięganiem do tego, co głosiła awangarda, ale tylko powierzchownie, łącząc zdobycze impresjonizmu czy kubizmu z tradycją klasyczną, głównie ukochanego przez artystkę włoskiego renesansu.

W środowisku artystycznym Paryża kreowała się na polską arystokratkę o gustach – jakżeby inaczej! – zachowawczych. Taką też przedstawia ją w książce „Ja, Tamara" Grzegorz Musiał. Ta niezwykła powieść biograficzna, bo tak została określona, wydana została już w zeszłym roku, przemknęła jednak wtedy raczej niezauważona, by teraz ukazać się w wydaniu poznańskiej oficyny Zysk i S-ka.

JA JUŻ TO WIDZIAŁAM!

Wróćmy jednak do Tamary Łempickiej i jej poglądów na sztukę, które – jak to często bywa – z wiekiem radykalizowały się, choć i wcześniej były wyraziste. Ale zacytujmy książkę Grzegorza Musiała:

„Oto w galerii słynnego w świecie weneckiego Biennale, w mieście Tycjana, Tintoretta, Belliniego wystawiono […] kupę w słoiku…!

W czerwcu 1964 roku pewien drań narobił kupę do słoika, zakręcił ją i postawił przed obliczem jury, będącego stadem zaćpanych świń, nazywających siebie krytykami, recenzentami, znawcami sztuki. I oni zapiali z zachwytu, obsypali go deszczem nagród i do dziś eksponują to jako Grand Prix w Wenecji… choć co drugi z nich ma pewnie w swoim domu teki z rysunkami Hogartha, Dürera, a nad kominkiem oryginał del Sarto. […] Grand Prix Biennale w Wenecji otrzymała ludzka kupa w słoiku!".

Nie ma sensu przykładać większej wagi do nazwisk i dat pojawiających się w rzekomych wspomnieniach Łempickiej nagrywanych przez nią u schyłku życia i o to, za co np. Rauschenberg otrzymał wenecjańskie Grand Prix, bo może akurat chodzi o kogoś innego. Wszystko jedno… Chodzi o szarlatanów – powiada Łempicka – o spryciarzy, kłamców, bolszewików… niszczycieli świata. „Im chodzi o to – przekonuje – żeby na końcu było pusto. To są […] wydrążeni ludzie. Ci wasi Kinseye, Chomskie, Marcuse'y, Sartre'y…, a mówimy tylko o kapłanach, za którymi ciągnie armia ich wyznawców… miernot bez talentu, bez serca, bez Boga, która chce… jak tamci w Rosji… zniszczyć mój świat. […] Ja już to widziałam".

Rzeczywiście, nie tylko widziała rewolucję bolszewicką na własne oczy, lecz także osobiście doznała jej skutków, kiedy to aresztowany został mąż artystki, Tadeusz. Ale nie sprawy osobiste były tu decydujące, a raczej skala tego, co nastąpiło, bo to – czytamy – „co spadło na Rosję, przekraczało wszystkie miary. Piekielna szarańcza runęła na ten kraj, by wymordować najlepsze dzieci narodu, zrujnować jego świątynie, przetopić dzwony i połamać życiorysy niejednego pokolenia, w tym mój… Choć ja i tak miałam sporo szczęścia, bo nie nawleczono mnie na bagnet, nie przybito do wrót stodoły. W ostatniej chwili uciekłam. Potem cucił mnie Paryż… i sztuka… to prawda. No i, co tu kryć, finanse mojej rodziny… Gdy inni wciąż miotali się po Rosji, jak po krwawej klatce zatrzaskiwanej ze wszystkich stron, my spacerowaliśmy ulicami Sztokholmu, Kopenhagi…, a na końcu Champs… Elysees…".

W Paryżu trafiła Tamara na czas bardzo płodny artystycznie; stolica Francji była wtedy z całą pewnością stolicą kulturalną świata, ale też triumfy odnosiło wszystko co awangardowe, czytaj niestety: lewackie, prosowieckie, a w sferze obyczajowej – obrazoburcze, wulgarne, sodomickie. Afiszująca się z polskością i konserwatywnymi poglądami Łempicka byłaby w tym towarzystwie kompletnie obcym ciałem, gdyby nie… jej postępowanie, jakże sprzeczne z głoszonymi sądami. I nie dotyczy to wyłącznie jej homoerotyzmu.

SPALIĆ LUWR

W każdym razie nie kryła uczucia niesmaku, obserwując wyczyny szczególnie aktywnych, jak dziś chyba byśmy powiedzieli, performerów. Na przykład dadaistów, o których wciąż nasze dzieci uczą się na lekcjach literatury:

„– Śmierć Republice – wrzasnął Tzara.

– Śmierć Republice! – zawyli goście.

– Niech żyją zwieracze! Jakżeby inaczej! – zawołał Piecyk, ściągając spodnie i wypinając gołe pośladki. Odpowiedział mu ryk dziesiątków gardeł.

– Niech żyje Dada! – krzyczy Tzara.

– Niech żyje Dada! – krzyczą goście.

– Dada nie śmierdzi! Ale czasem pierdzi! – krzyczy Żelazny Piecyk i oddaje gazy. W tej chwili Tzara przystawia do nich zapalniczkę i z zadka Piecyka bucha płomień. Zapalają się też wąsy tekturowej Giocondy, której właściciel zbyt nisko pochylił się ku scenie.

– Spalić Luwr! – drze się Tzara. – Da-Da! Spalić Luwr!

– Spalić Luwr! Da-Da! Spalić Luwr!

Goście utworzyli korowód, który zaczął okrążać salę pod wodzą młodego mężczyzny z wysoko ufryzowanymi włosami, w białych szpongach i różowej spódnicy baleriny. Robiąc co chwilę pas, rozsyłał całusy, najgłośniej wołając: »Spalić Luwr!«, głosem będącym połączeniem tenora i sopranu. Gdy pod koniec okrążenia zbliżył się do nas, ujrzałam na jego głowie koronę cierniową". Ten obrzydliwy baletmistrz to nie kto inny jak Jean Cocteau (Powie jej potem: „Wy jesteście wpływowe lesby, my jesteśmy wpływowe pedały…").

Kogóż zresztą nie spotka Tamara w Paryżu! „Spotka" to zresztą niewłaściwe słowo; ją do tych wszystkich bluźnierców (oficjalnie podaje się za katoliczkę!), pornografów i agentów bolszewickich (bo nie tylko byli wśród nich „pożyteczni idioci", choć tych oczywiście – kochających Erenburga na równi z Leninem, a potem ze Stalinem – było najwięcej) ciągnie niczym ćmę do światła. Nic dziwnego, że siostra wygarnia jej: „Z jednej strony nimi pomiatasz, a z drugiej biegasz na ich przyjęcia. Gardzisz środowiskiem, do którego chcesz się dostać. To na dłuższą metę nie może funkcjonować".

Tak czy inaczej, kapitalny jest respons udzielony przez polską malarkę, która bolszewickich „dobrodziejstw" zaznała w Rosji na własnej skórze, André Bretonowi, apostołowi surrealizmu:

„– Zabić sztukę! – wrzasnął na całe gardło. – Zarżnąć świnie! Oto zadanie artysty! Na ruinach wznieść nowe! Zadanie dla proroka!

[…]

Nie mogłam mu pozwolić na ostatnie słowo.

– Polecam panu spacer po sowieckich więzieniach, monsieur. A na deser spotkanie z przemiłym Dzierżyńskim,

eprasa.pl 33dbceaddd

którego ulubionym sportem jest patroszenie ciężarnych kobiet oraz wbijanie wrogom klasowym igieł gramofonowych za paznokcie. Jeśli to pana nie otrzeźwi, to jest pan przypadkiem beznadziejnym".

Łempicka odrzuca rozpowszechnioną argumentację, jakoby sztuka w Sowietach przeżywała po rewolucji swój złoty okres. Wymienia nazwiska Cwietajewej, Mandelsztama, Gumilowa, przypominając, „jak buldożerami rozwalano cerkwie pełne ikon i fresków, na stacje kolejowe zaganiano w łańcuchach, do wywózki, udręczonych miesiącami przesłuchań profesorów, lekarzy, poetów".

GRZEGORZ MUSIAŁ „JA, TAMARA" ZYSK I S-KA 2020

BUGATTI TYPE 44 GRAND SPORT

Atutem książki „Ja, Tamara" jest udokumentowanie podobnych słów przedstawionymi obrazami i scenami niesłychanie sugestywnymi. To też są fragmenty prozy najwyższej próby. Generalnie rosyjska i francuska część powieści Grzegorza Musiała jest najlepsza. Zdecydowanie ustępują im rozdziały dziejące się we Włoszech czy w Polsce, choć obraz dawnej Warszawy budzi sentymenty. Część włoska zaciekawia zaś ze względu na osobę Gabriela D'Annunzia, kochanka Tamary, choć nigdy tego związku ze sporo starszym od siebie poetą, politykiem i awanturnikiem w jednej osobie nie potwierdziła. Książkowe sceny z jego udziałem są nieodparcie komiczne, jak ta, w której ów Il Comandante, przywódca najbardziej groteskowej w dziejach XX-wiecznej Europy regencji Carnaro powstałej we Fiume (Rijece), na przytyk odnoszący się do jego niskiego wzrostu odpowiada: „Mojej wielkości nie da się mierzyć wzrostem, a jedynie potęgą mego talentu i ducha!". Deklaruje również: „… Jestem żywym pomnikiem Włoch! Już teraz niczym się nie różnię od tego bohatera, który będzie stał na placach włoskich miast… choć ja, święty pierwowzór, legnę już wtedy po wiek wieków w kryształowej trumnie, na najwyższym Ołtarzu Ojczyzny".

I jeszcze jeden akcent włoski, jak się okaże, istotny. To w Italii otrzyma Tamara Łempicka, bynajmniej nie od D'Annunzia, zielony kabriolet Bugatti Type 44 Grand Sport. To ten sam samochód, który uwieczni w swoim najbardziej rozpoznawalnym obrazie – „Autoportrecie w zielonym bugatti", przeznaczonym na okładkę „Die Dame", z którym to czasopismem przez dłuższy czas związana była umową i często jej prace gościły na jego łamach. O „Autoportrecie…" czytamy te piękne słowa:

„Wiem, że to jest najlepszy obraz, jaki dotychczas namalowałam. Jest w nim mroczne światło, odbite od jeziora Garda, ale też święte światło jeziora Trasimeno. Jest moja twarz – ta, znaleziona na fresku kaplicy San Brizio – ale i twarze bersalierów, pochylonych nad lodami cassate – obojętnych i pięknych jak marmurowe rzeźby, które ocienia pęk lśniących czarnych piór głuszca; jest światło nocy, przez którą wędrowałam po ogrodach Il Vittoriale i podmuch śmierci, jaki poczułam na policzkach, zagubiona gdzieś w górach, w środku rozszalałego żywiołu, który jednak mnie nie zabił. Każdy ruch mego pędzla oświetlała teraz ta mała dziwna latarka: pierścień z topazem, który błyskał złotymi światełkami na mojej lewej dłoni, śledząc poczynania mojej prawej dłoni na desce. Oto nareszcie – powstaje prawda o mnie. Patrzy zmrużonymi, drwiącymi oczami automobilistka w pilotce, za kółkiem zielonego bugatti siedzi zuchwała, niezależna, samotna, pewna swej wygranej, ale też – zalękniona? Zgodnie z tym, co powiedziała mi tamta garbuska w kaplicy? Wszystko inne, tylko nie lęk. Jest gniew, który potrafię okiełznać. I wzgarda – subtelna maska rozpaczy. Ale nie lęk. Może więc Prawdy o mnie – też nie ma?".

W 1928 r. Tamara została kochanką, a sześć lat później żoną Raoula Kuffnera, żydowskiego barona będącego spadkobiercą austriackiego imperium browarniczego. Z Tadeuszem Łempickim, ojcem jej jedynego dziecka, córki zwanej Kizette, rozwiodła się w roku 1927. Ten niegdysiejszy bon vivant, z wykształcenia prawnik, wrócił do Polski, gdzie ożenił się z Ireną Spiess, córką zamożnego warszawskiego fabrykanta z branży farmaceutycznej.

W 1938 r. baron Kuffner spakował najcenniejsze rzeczy ze swego zamku w Diószegh, dokonał stosownych przelewów i niebawem – w obliczu nadchodzących wojny i Holokaustu – wyniósł się wraz z żoną do Ameryki. Tam Tamara Łempicka budziła jakiś czas zainteresowanie mediów, wkrótce jednak ekscentryczna baronowa znudziła się opinii publicznej, a jej próby zaistnienia na rynku sztuki zakończyły się niepowodzeniem. Ona sama mieszkała najpierw w Kalifornii, w Beverly Hills, potem w Nowym Jorku, w Houston, a w końcu wyjechała do Meksyku, gdzie też zmarła, a prochy jej rozsypane zostały nad wulkanem Popocatépetl.

TWARZ ART DÉCO

„Ja, Tamara" jest książką znakomitą, przy tym ukazującą się w idealnym, można by rzec, momencie. Jest dziś Tamara Łempicka najbardziej znaną w świecie polską malarką, czy się to komu podoba, czy nie. A jeśli się weźmie pod uwagę, że nazywana bywa mylnie artystką rosyjską, żydowską czy nawet amerykańsko-meksykańską, przypomnienie, skąd naprawdę się wzięła i jakie były jej korzenie, wydaje się tym bardziej potrzebne.

Powieść Grzegorza Musiała w istocie przedstawia życie malarki do roku 1939. Autor oddaje głos swojej bohaterce, która rzekomo zaczyna nagrywać swoje wspomnienia w roku 1976, a więc u schyłku życia, cztery lata przed śmiercią. Ten zabieg pisarski ułatwia zadanie twórcy, gdyż nie musi troszczyć się o weryfikację prawdziwości poszczególnych scen, a Łempicka stosunkowo często konfabulowała swoją biografię. Zastosowany wybieg zwalnia autora powieści od odpowiedzialności za prezentowane wydarzenia; w końcu malarka miała prawo widzieć je tak, a nie inaczej. Z drugiej strony czytelnika może odrzucać (i pewnie niejednego odrzuci) optyka Łempickiej, kobiety o bardzo bogatej osobowości, pod wieloma względami trudnej do zaakceptowania. Nieprzypadkowo w powieści Pablo Picasso powiada o niej, że „zabija wszystko to, co kocha".

Grzegorz Musiał bardzo wyraźnie chce uczynić Łempicką polską patriotką, zdeklarowaną antykomunistką, artystką o konserwatywnych gustach, przywiązaną do wielkiej sztuki z czasów przedimpresjonistycznych. Nieprzypadkowo jednak stała się ważną postacią paryskiej awangardy lat 20., twarzą art déco, stylu w swoim czasie traktowanego, najdelikatniej mówiąc, z przymrużeniem oka, raczej wyrobnicą malarstwa niż jego demiurgiem. Nie stwarzała świata, lecz odtwarzała go, na swój – przyznać trzeba – wysoce indywidualny sposób.

Autor, choć napisał ogromną rozmiarami powieść, pozostawia czytelnika z pewnym niedosytem wiedzy, wszak o drugiej połowie życia artystki nie dowiadujemy się niemal niczego. No, ale w tej materii innego rozwiązania niż napisanie tomu drugiego dzieła nie widzę. I taki, jak wieść niesie, będzie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 33dbceaddd

FOT. ADOBE STOCK

Jak zachować dobre zdrowie i stabilną gospodarkę w czasach koronawirusa?

Walka z pandemią to przede wszystkim profilaktyka. Zarówno jeżeli chodzi o nasze zdrowie, jak i o gospodarkę. W sferze zdrowotnej stosujemy się do różnorodnych ograniczeń, które mają zminimalizować rozprzestrzenianie się wirusa. A w gospodarczej? Tarcza Antykryzysowa przygotowana przez rząd już działa. To rozwiązania, które mają chronić przedsiębiorców i miejsca pracy

PROFILAKTYKA ZDROWOTNA

Polski rząd jako jeden z pierwszych w Europie wprowadził ograniczenia i obostrzenia, w celu walki z koronawirusem. Wprowadzone zasady bezpieczeństwa przyniosły rezultaty. Polska ma obecnie jeden z najniższych wskaźników liczby osób zarażonych na milion mieszkańców, biorąc pod uwagę kraje Unii Europejskiej. To efekt nie tylko szybkiej reakcji władz, lecz także naszej dyscypliny społecznej. Dzisiaj powoli znosimy ograniczenia i „odmrażamy" gospodarkę. Jednak wiele z obostrzeń zostanie z nami jeszcze na jakiś czas. Które działania pomogły (i pomagają!) zminimalizować liczbę zachorowań oraz uchronić się przed koronawirusem?

Zakaz zgromadzeń wszelakich!

Dystans, czyli zasada social distancing na co dzień (minimum 2 m odległości od siebie).

Ruch lotniczy – jako jeden z pierwszych krajów w UE Polska tymczasowo zamknęła granice.

Obowiązek zakrywania ust i nosa – szczególnie ważny przy powrocie do „normalności".

Wytyczne dla sklepów i usług – nowe zasady robienia zakupów weszły nam w krew.

Izolacja, czyli ograniczenie w poruszaniu się, słynne już: „Zostań w domu" i kwarantanna!

E-learning – zamknięcie szkół na bardzo wczesnym etapie i lekcje prowadzone zdalnie.

AKTYWNA POLITYKA GOSPODARCZA

A co zatem z gospodarką? Od początku kwietnia, pracownicy oraz pracodawcy mogą korzystać z konkretnych rozwiązań w ramach Tarczy Antykryzysowej. Mają one pomóc im przejść przez kryzys wywołany pandemią koronawirusa suchą nogą. Tym samym ograniczyć negatywne skutki dla gospodarki. Tarcza rozszerza się i zyskuje nowe rozwiązania w odpowiedzi na oczekiwania polskich przedsiębiorców. Trudno więc wypisać je wszystkie. Jedno jest jasne – korzystać mogą z niej zarówno samozatrudnieni, mikro-, małe, średnie firmy, jak i największe przedsiębiorstwa. Poza tym Tarcza to również zasiłek dla rolników objętych kwarantanną i ich rodzin, a także dostęp do Iinternetu dla chcących załatwiać sprawy urzędowe on-line. Co warto wiedzieć? Co oferuje Tarcza?

Tarcza Finansowa, czyli 100 mld zł w gotówce dla polskich firm, z czego 75 proc. może być bezzwrotne (mikrofirma może otrzymać ponad 300 tys. zł, MŚP – 3,5 mln zł).

Anulowanie przedsiębiorcom obowiązku płacenia składek za trzy miesiące (marzec-maj).

Rozszerzenie świadczeń ochrony miejsc pracy na NGO.

Czasowe zawieszenie składek ZUS dla firm.

Zawieszenie kredytu i rat leasingowych.

A gdzie szukać informacji o pozostałych usługach, które oferuje Tarcza? Odwiedź www.gov.pl/TarczaAntykryzysowa

O tym, że aktywna polityka gospodarcza to dobry pomysł, może świadczyć to, że po trzech tygodniach od czasu obowiązywania Tarczy Antykryzysowej przedsiębiorcy złożyli już 1,5 milion wniosków o wsparcie.

eprasa.pl 33dbceaddd

W „Kolorze z przestworzy" Nicolas Cage wypada jak za swych najlepszych lat

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Zmartwychwstanie utracjusza

Piotr Gociek

Nicolas Cage znów jest w szczytowej formie aktorskiej. Nie zaszkodziły mu długi, kiepskie filmy ani osobiste kłopoty

Nicolas Cage: dobry czy zły" to tytuł jednego z kursów oferowanych studentom Greendale w jednym z odcinków znanego z zabawnych nawiązań do popkultury serialu komediowego „Community". Kiedy jeden z bohaterów, zakręcony na punkcie filmu Abed Nadir, zapisuje się na zajęcia, kończy się to dla niego fatalnie. Wszystko przez to, że zamiast potraktować poważnie przestrogi profesora, popełnia błąd – ogląda zbyt wiele filmów z Cage'em. A przecież wykładowca mówił wyraźnie: nie więcej niż pięć, żadnych maratonów i poważne przerwy między tytułami. Ciekawski Nadir łamie wszystkie te zasady i w efekcie traci zmysły. Któż bowiem jest w stanie przetrzymać większą dawkę Nicolasa Cage'a i nie zwariować?

Żart jest przedni, a pytanie celne: Dobry czy zły? Mówimy o aktorze, który dostał Oscara za główną rolę w „Zostawić Las Vegas" (1995) i był nominowany za występ w „Adaptacji" (2002), a jednocześnie ma w dorobku filmy, których łączna ocena według uśrednionych recenzji w serwisie Rottentomatoes wynosi 0 (słownie: zero). „Aktor, który jest największą tajemnicą współczesnej popkultury" – mówi zaaferowany Abed Nadir w „Community". Oczywiście nie jest. Jest za to na pewno jedną z najbardziej ekscentrycznych postaci aktorskiego światka, który z osób spokojnych i zrównoważonych przecież nie słynie.

Wszystkiemu winna jest – jak zwykle – głupota. Nicolas Cage był na szczycie świata po dwóch świetnych dekadach, by potem upaść bardzo nisko. W latach 80. XX w. pokazał, że grać potrafi, i był chwalony za role w takich filmach jak „Rumble Fish" (1983), „Ptasiek" (1984), „Peggu Sue wyszła za mąż" (1986), „Arizona Junior" (1987). Potem były m.in.: „Dzikość serca" (1990), „Red Rock West" (1993) i wreszcie Oscar za wspomniany „Zostawić Las Vegas" (1995). Wtedy rozpoczął się nowy etap, Nicolas Cage wkroczył do świata hollywoodzkich superprodukcji i gigantycznych honorariów: „Twierdza", „Con Air: lot skazańców", „Face Off/Bez twarzy",

eprasa.pl 33dbceaddd

„Skarb narodów", nie zaniedbując filmów dla nieco innej publiki, takich jak „Miasto Aniołów", „Ciemna strona miasta", „Kapitan Corelli". Pracował z takimi reżyserami jak bracia Coen, Alan Parker, David Lynch, Mike Figgis, Brian De Palma, Martin Scorsese, John Woo czy Ridley Scott. Nie da się zrobić takiej kariery przez przypadek, nie da się jechać przez 20 lat na dobrej opinii, nawet jeśli jest się krewnym Francisa Forda Coppoli. Zresztą sam takiej rodzinnej pomocy nie chciał, szybko zmienił prawdziwe nazwisko Nicolas Kim Coppola na Nicolas Cage, żeby nikt mu nie zarzucał, że dostaje pracę tylko dzięki pochodzeniu z filmowej dynastii.

Wszystko zatem szło dla niego najlepiej na tym najlepszym ze światów dopóty, dopóki nie okazało się, że winien jest wielkie pieniądze amerykańskiej skarbówce z tytułu niezapłaconych podatków. Że wydawał fortunę, na prawo i lewo inwestując w kilkanaście rezydencji na całym świecie, kolekcjonując rolls-royce'y czy wdając się w licytację oryginalnej czaszki dinozaura (Tarbosaurus Bataar, bliski krewny T. Rexa). Aukcja odbyła się w Beverly Hills, konkurentem do zakupu był Leonardo DiCaprio, ale Cage dał więcej. Czaszka kosztowała 276 tys. dol. Okazało się później, że była kradziona (przemycono ją z pustyni Gobi). Po latach aktor oddał czaszkę władzom, a pieniędzy oczywiście nie odzyskał. Kto bogatemu zabroni? Czym zresztą są szczątki dinozaura w porównaniu z wydatkami na zamki albo limuzynę byłego szacha Iranu?

WYBÓR SIEROTY

Kiedy rząd upomniał się o niezapłacone podatki (wraz z odsetkami, grzywnami itp.), a bańka na rynku nieruchomości pękła (lata 2008–2009), Nicolas Cage nie tylko został bankrutem, lecz także wpadł po uszy w długi.

Gwiazdor „Dzikości serca" zamiast rozpaczać albo uciec na garnuszek rodziny, zabrał się do jedynej rzeczy, którą umie – wrócił do grania w filmach, przy czym stał się bardzo mało wybredny. Trzy, cztery, pięć filmów rocznie, sensacyjne, fantastyczne, horrory, mądre i głupie, wysokobudżetowe i taniutkie, byle tylko pracować i zarabiać. Żył Cage wedle wyboru sieroty – sieroty, jak wiadomo, nie mają wyboru.

Piszę o tym wszystkim przy okazji polskiej premiery dwóch filmów, które pokazują, że aktor tę długą batalię wygrał. Co prawda nadal pracuje zdecydowanie zbyt często (w ostatnich miesiącach do Polski trafiło tak naprawdę aż siedem nowyh filmów z jego udziałem), ale choć dla niektórych stał się człowiekiem memem, to talentu nie utracił.

„Kolor z przestworzy" („Color Out of Space", 2019), który trafił właśnie na platformę Cineman, jest tego najlepszym dowodem. Jego reżyser, Richard Stanley, to postać równie barwna jak Cage, choć miał kłopoty innego rodzaju. Zaczynał w latach 90. od filmów „Hardware" (techno-fantastyka) i „Dust Devil" (horror), pokazując, że może z niego wyrosnąć twórca wybitny. Biletem do sławy miał być jego wyśniony projekt, to znaczy współczesna ekranizacja słynnej, niepokojącej i wciąż aktualnej powieści H.G. Wellsa „Wyspa doktora Moreau".

O tym, jak ekscentrycznym człowiekiem jest Stanley, niech zaświadczy to, że żeby pokonać Romana Polańskiego w walce o reżyserię tego filmu, najął szamana, któremu kazał odprawić czary w tej sprawie. Zdjęcia ruszyły, ale czary nie zdały się na wiele, bo po trzech dniach Stanley został zwolniony i zastąpiony weteranem Johnem Frankenheimerem (film trafił ostatecznie do kin w 1996 r.). Stanley nie potrafił dogadać się ze strzelającymi fochy na planie Marlonem Brando i Valem Kilmerem. Sam normalny też nie był. Po nieudanym dniu pracy potrafił wejść na drzewo i oświadczyć, że już tam zostanie, a pod koniec kręcenia odebranej mu „Wyspy…" chciał sabotować produkcję w przebraniu szeregowego statysty. O kulisach powstawania filmu opowiada zresztą znakomity film dokumentalny „Lost Soul: The Doomed Journey of Richard Stanley's Island of Dr. Moreau" (2014).

WCIĄŻ TO MA

Richard Stanley wycofał się do swego wiejskiego domu we Francji i przez ćwierć wieku pracował głównie nad dokumentami i drobnymi formami filmowymi. Teraz wraca w imponującym stylu. „Kolor z przestworzy" to ekranizacja słynnego opowiadania H.P. Lovecrafta pod tym samym tytułem. Główni bohaterowie, zwyczajna amerykańska rodzina mieszkająca w domu na odludziu pośród dzikich lasów, stają w obliczu niepojętego zjawiska spoza naszej planety. Nie chcę zdradzać zbyt wiele, ale jest to nie tylko kapitalne ćwiczenie na temat znany z fantastyki (acz Lovecraft był tu prekursorem), emocje rodem trochę z „Inwazji porywaczy ciał", trochę z psychologicznych thrillerów i horrorów. Film jest świetnie opowiedziany, napisany i zagrany, a Nicolas Cage wypada w nim jak za swych najlepszych lat. On wciąż to ma: umiejętności, charyzmę, niezwykłą zdolność balansowania między normalnością a szaleństwem. Nie jest to film dla wszystkich, ale bez wątpienia mamy do czynienia z osiągnięciem wybitnym.

REŻ. RICHARD STANLEY „KOLOR Z PRZESTWORZY" PORTUGALIA, USA 2019

Zagrożenie jest u Stanleya także metaforą, i to dwojaką. Po pierwsze żona głównego bohatera choruje na raka. Pierwsza część filmu to w dużym stopniu studium bezradności rodziny w zetknięciu z nieodwracalnym cierpieniem. Odbiciem tej bezradności jest część druga, kiedy to Gardnerowie stają wobec innego niezrozumiałego zagrożenia. Po drugie „Kolor z przestworzy" przypomina nam – tak jak epidemia koronawirusa – że i na cały nasz świat, na gatunek ludzki, czyhają niebezpieczeństwa, z których istnienia nie zdajemy sobie sprawy, że nasza bańka bezpieczeństwa i normalności jest bardzo krucha.

Nicolas Cage, który zarobił w ubiegłym roku 25 mln dol., więc chyba dół finansowy ma już za sobą na dobre, w takich rolach czuje się doskonale. Niedawno równie dobrze wypadł w thrillerze „Mandy" (2019), onirycznej, surrealistycznej opowieści o zemście, sfilmowanej niczym podróż po LSD z lat 70. (produkcja właśnie trafia do Netflixa). Gdy dziennikarze pytają go, czy nie rozmienia się na drobne, odpowiada, że robi to, co lubi, i to, co chce robić – gra w filmach. A jeśli stworzy podczas seansu choć dwie sceny, które zapadną widzom w pamięć, to znaczy, że było warto. W rozmaitych serwisach wideo możecie zobaczyć go właśnie w takich filmach jak kryminał „Czas rozliczenia", thriller „Domino śmierci", thriller w duchu southern gothic „W środku burzy", przygodowy „Instynkt pierwotny" czy narkotykowy dramat „Podróże z diabłem". Wszystkie powstały w roku 2019. Wszystkie nie są godne uwagi i zapewne za kilka lat nikt nie będzie o nich pamiętał. Jednak „Mandy" i przede wszystkim „Kolor z przestworzy" zostanie w historii kina popularnego, tego jestem pewien. Może więc Nicolas Cage ma rację?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 33dbceaddd

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Wojna państwa Byrde'ów

★★★★☆☆
SEZON 3. „OZARK"
USA 2020
NETFLIX

wyst. Jason Bateman, Laura Linney, Julia Garner

W serialu „Breaking Bad" bardzo długo czekamy na chwilę, w której prawdziwe motywacje głównych bohaterów staną się jasne – dla nas i dla nich samych. Droga do prawdy prowadzi przez spiralę występku, przez piekło zbrodni. W „Ozark" jest odwrotnie. Chociaż jego twórcy – Bill Dubuque i Mark Williams – wiele z „Breaking Bad" pożyczyli, to zapraszają widzów w podróż bardziej dla amerykańskiej rozrywki typową. Postawieni w wyjątkowej sytuacji bohaterowie mają prosty cel: przetrwać. To, co ich czeka, jest torem coraz bardziej skomplikowanych przeszkód. W świecie, do którego trafili, kolejne wybory przynoszą efekty podobne do fal rozchodzących się w wodzie, gdy rzucisz kamieniem. Można, wrzucając kolejny, zahamować poprzednie, ale jednocześnie wywołuje się nowe.

Marty Byrde pierze pieniądze dla meksykańskiego kartelu narkotykowego. Jest w tym tak dobry, że okrutni klienci przymykają oko na to, że jego wspólnik ich okradał. Marty i jego rodzina trafiają na amerykańską prowincję, gdzie mają odpracowywać swoje winy. Liczba mnoga jak najbardziej uzasadniona, Marty szybko wtajemnicza w proceder swoją żonę, potem o nietypowej profesji Byrde'ów dowiaduje się także para ich nastoletnich dzieci. Od początku pierwszego sezonu przed nowymi lokatorami domu w Osage Beach, Missouri, piętrzą się nowe wyzwania. Po piętach depcze im FBI, miejscowi kryminaliści mają własne biznesy (małe i duże) i dużo łatwiej o nowego wroga niż sojusznika. Akcja pierwszych dwóch sezonów prowadziła przez niejedną krwawą konfrontację, ale i Byrde'owie działali z coraz większym rozmachem. U progu sezonu trzeciego są właścicielami kasyna, doskonałej przykrywki dla prania brudnej forsy.

Trzeci sezon dodaje nowy poziom do starej rozgrywki. Państwo Byrde'owie mają odmienne zdanie na temat przyszłości i próbują nawzajem sabotować swoje pomysły. Ryzykowna zabawa, kiedy ma się na głowie księgową kartelu, która sprowadziła się do sąsiedztwa, by pilnować interesów. W dodatku na scenie pojawia się brat pani Byrde, osobnik niestabilny psychicznie i gotowy eksplodować w każdej chwili. Jest to jedyny chybiony pomysł w nowym sezonie, bo i bez tego napięć mamy aż nadto. Wciąż show kradnie Julia Garner jako Ruth, córka lokalnego bandziora, która najpierw chciała Byrde'ów oskubać, a teraz dla nich pracuje. ©℗

NOWE SERIALE: „DOM GROZY: MIASTO ANIOŁÓW"

Pierwszy sezon był wybitny, drugi niezły, o trzecim można zapomnieć. Spin-off „Miasto Aniołów" ukazuje nowe czasy, nowych bohaterów i nowe potwory. Jest rok 1938, miastem Los Angeles wstrząsa makabryczne morderstwo. Detektywi Tiago Vega i Lewis Michener zostają uwikłani w tajemniczą sprawę, a scenarzyści sięgają po folklor meksykański i wątki szpiegowskie – wszak III Rzesza szykuje się do skoku na świat. ©℗ ***Piotr Gociek***

• ***„Dom grozy: Miasto Aniołów" („Penny Dreadful: City of Angels"), USA 2020, wyst. Daniel Zovatto, Nathan Lane, Natalie Dormer, HBO, premiera: 27.04***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• *reż. Richard Stanley* ***„Kolor z przestworzy" („Color Out of Space")****, USA 2019, Cineman VOD*

• *sezon 1.* ***„Outer Banks"****, USA 2020, Netflix*

• *sezon 4.* ***„Upadek królestwa" („The Last Kingdom")****, Wielka Brytania 2020, Netflix, premiera: 26.04*

eprasa.pl 33dbceaddd

Hektary szczęścia

CINEMAN

Zaczyna się od pożaru, a potem napięcie rośnie. John, kamerzysta filmów przyrodniczych, i Molly – blogerka kulinarna, chcąc nadać swemu życiu sens, kupują upadłe gospodarstwo. Ekologiczny katechizm każe stawiać na różnorodność, zatem w obejściu pojawiają się: kury, kaczki, stado owiec i świnka, a w sadzie 75 odmian drzew owocowych. Najpierw jednak – bagatelka! – trzeba sprawić, by martwa ziemia ożyła.

Uprawianie rolnictwa „w starym stylu" to harówka, nawet jeśli korzysta się z usług lekko nawiedzonego doradcy oraz gromady zwerbowanych w sieci pomocników-wolontariuszy. Młodzi zapaleńcy wciąż muszą zmagać się z kryzysami: Kalifornię nękają susze i huraganowe wiatry. Im bardziej farma Przy Morelowej Drodze rozkwita, tym chętniej atakują ją szkodniki: przegryzające druciane ogrodzenie kojoty, łakome na owoce ptaki, o pladze gryzoni i żarłocznych ślimaków nie wspominając. Na szczęście w sukurs przychodzi przyroda. Biedronki zjadają mszyce, jastrzębie polują na szpaki, gryzonie są przysmakiem sów i węży. „Nasze miejsce na Ziemi" nie sprawia wrażenia produkcji amatorskiej. Urozmaiceniem są dowcipne animacje, a gwiazdami – maciora Emma i pies Todd o przeszywającym spojrzeniu.

Wniosek? Życie w harmonii z naturą jest możliwe, ale z pewnymi elementami dysharmonii. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. JOHN CHESTER
„NASZE MIEJSCE NA ZIEMI", („THE BIGGEST LITTLE FARM")
USA 2018
MONOLITH FILMS

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

SZEPTY I KRZYKI

vod.pl

Blaski i cienie życia w komunistycznych Chinach, z dużą przewagą cieni. Partia i rząd wzywają do wytężonej pracy i „bezinteresownego patriotyzmu", walczą z rozpasaniem oraz nadmierną prokreacją (jedna rodzina – jedno dziecko!). Yaojun i Liyun mają przynajmniej to szczęście, że szalony Mao leży już w grobie i zaczęła się epoka towarzysza Denga. O niektórych sprawach wciąż jednak trzeba mówić szeptem. Kraj się rozwija, tylko ludzie – jak zwykle – są najsłabszym ogniwem. Bohaterowie filmu Xiaoshuaia im bardziej się starają, tym mocniej dostają po głowach. Znoszą jednak swój podły los ze spokojem, który może imponować albo przerażać. Tym właśnie Azjaci różnią się od Europejczyków. Są i podobieństwa. Nad Wisłą też pląsało się przy dźwiękach „Rivers of Babylon", a i lejtmotyw filmu – pieśń „Wieczna przyjaźń" – brzmi jakoś znajomo. Dałoby się to wszystko opowiedzieć żwawiej, lecz kto nie dotrwa do finału trzygodzinnej sagi, ten popełni błąd.

wyst. Liu Yaojun, Wang Liyun, Shen Moli

★★★★☆☆

REŻ. WANG XIAOSHUAI
„ŻEGNAJ, MÓJ SYNU" („DI JIU TIAN CHANG")
CHINY 2019, AURORA FILM

SKORUMPOWANI

HBO GO

Ręka rękę myje, nóżka nóżkę wspiera. Lewa kasa, płatna protekcja, dotacje wyłudzone od UE, ustawianie przetargów pozwalają na „życie po królewsku", a wtyki w mediach i wymiarze sprawiedliwości zapewniają bezkarność. Gdzie? Ma się rozumieć, że nie u nas, tylko w Hiszpanii. Manuel jest wschodzącą gwiazdą polityki, do gabinetu szefa może wchodzić bez pukania. Podstawowe narzędzia pracy – skaner i niszczarkę dokumentów – zawsze ma pod ręką. Przychodzi jednak moment, w którym masa krytyczna zostaje przekroczona. Gdy nie uda się zatuszować kolejnej afery, partia każe Manuelowi odegrać rolę kozła ofiarnego. „Królestwo" w atrakcyjnej formule dreszczowca nawiązuje do finansowych skandali, które jakiś czas temu przemeblowały hiszpańską scenę polityczną. Ma dobre tempo, a jego twórcy zdają się wierzyć w możliwość sanacji. Osobiście pozostaję sceptykiem. ©℗

recenzuje Wiesław Chełminiak

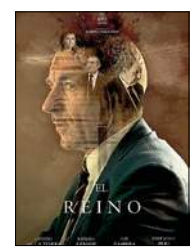

wyst. Antonio de la Torre, Mónicá López, Josep Maria Pou

★★★★☆☆

REŻ. RODRIGO SOROGOYEN
„KRÓLESTWO" („EL REINO")
HISZPANIA 2018

GRA TYGODNIA: „SPACE ENGINEERS"

★★★★☆☆

Produkcje oparte na mechanice wielkiej „piaskownicy", w której gracz swobodnie modyfikuje otaczający go świat – budując oraz walcząc o przetrwanie – przechodzą w ostatnich latach szczyt popularności. Co oczywiste, ze względu na stopień skomplikowania i konieczność poświęcenia im znacznej ilości czasu nie są dla każdego. Jeśli jednak trafią na odpowiednią osobę, to mogą się odwdzięczyć skalą projektów niedostępną nigdzie indziej. Taka właśnie jest gra „Space Engineers", gdzie jako pionier eksploracji kosmosu odpowiadamy za budowę bazy, zbieranie złóż, odpieranie ataków i sterowanie największymi nawet pojazdami. ©℗

Marcin Makowski

- ***Gatunek:*** *Symulacja*
- ***Platforma:*** *PC/XONE*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Keen Software House*
- ***PEGI:*** *12+*

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 33dbceaddd

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Nim przyjdzie dzień

Debiutancka sensacyjna powieść Aleksandry Borowiec przywodzi na myśl znany film Jerzego Hoffmana i Edwarda Skórzewskiego „Prawo i pięść" – według „Toastu" Józefa Hena, ze świetną balladą Komedy i Osieckiej wykonywaną przez Edmunda Fettinga – i postać jego bohatera, byłego więźnia kacetów hitlerowskich, Andrzeja Keniga, który tuż po wojnie w miasteczku Siwowo (wcześniej Graustadt) niczym samotny szeryf walczył z bandą złodziejów i szabrowników. W powieści Borowiec mamy powojenny Olsztynek (Hohenstein) i Stefana Malewskiego, milicjanta po nieukończonych studiach prawniczych i robotach w Niemczech.

Znany Malewskiemu jeszcze z przedwojennej Warszawy, nieoczekiwanie spotkany w Olsztynku doktor Królikowski nie może pojąć – kuriozalnej, jego zdaniem – decyzji Stefana o wstąpieniu do milicji: „– Dlaczego pan do nich przystał? Czym takim pana skusili? Zastanawiałem się nad tym i nie rozumiem.

A więc znowu, pomyślał ze znużeniem. Do końca życia będzie tłumaczył się Królikowskim tego świata ze swoich wyborów. Przypomniała mu się wykrzywiona ze wściekłości twarz matki.

Znał ich dobrze, tych Królikowskich, poznał ich na wylot. Małe dzieci przekonane, że da się wskrzesić stary świat, posklejać go jak ulubiony wazon matki, stłuczony przez przypadek piłką. Wystarczy tylko posmarować klejem, przytknąć do siebie co większe kawałki i już. I gotowy. Będzie po staremu.

A gówno prawda, pomyślał nawet nie ze złością, ale z pewnym politowaniem.

Gardził komunistami tak samo, jak gardził ludźmi pokroju Królikowskiego, kurczowo trzymającymi się przeszłości. Ale tamci

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

przynajmniej nie próbowali niczego sklejać. Skorupy zmieniały się w pył miażdżone podeszwami ich butów, nikt nie żałował delikatnej porcelany, bo zawsze w jej miejsce można było postawić gliniane barachło, brzydkie jak cholera, ale za to w jakiś sposób użyteczne. Była w ich działaniu przewrotna logika: dopełnić destrukcji świata, który runął przecież już w trzydziestym dziewiątym".

Doktor do nowych „porządków" nie mógł się jednak przekonać, także – a może przede wszystkim – dlatego, że naocznie poznał, co potrafią realnie sprawujący władzę w Olsztynku Sowieci, którzy na przykład w szpitalu urządzili sobie koszary: „Kabinę aparatu rentgenowskiego zamienili w ustęp. […] A leki? A morfina? Wszystko na podłodze! Rozdeptane! […] Hunowie. Barbarzyńcy. Gdyby jeszcze rozkradli, wzięli dla siebie, zrozumiałbym. Ale to niszczenie dla samego niszczenia…".

Wszystkim było tam pod górę, ale tradycyjnie najgorzej działo się Warmiakom i Mazurom, zbyt niemieckim dla Rosjan i Polaków, a zbyt polskim dla Niemców. Przybyszów nazywano pionierami. Przyjeżdżali tutaj, marząc o pięknych domach, świetnie płatnej pracy, dostatnim życiu, a zastawali „nędzę i głód, i morze ruin aż po horyzont". Oraz chaos, dezorganizację, bezprawie. Milicjanci tak opisywali kolejne dni: „Splądrowali ze dwa czy trzy niemieckie mieszkania, poturbowali jakiegoś dziadeczka, ogolili ze dwie szwabskie kurwy i napisali na ścianie ratusza »Żydy WON«. Czyli nie tak źle, dzień jak co dzień".

A „szwabskie kurwy" golono przed kościołem, „a raczej pustą bryłą, która z niego została. Ruscy mieli przykaz oszczędzić budynek, co oznaczało tyle, że nie podłożyli ognia po tym, jak go okradli. Zabrali za to ze środka wszystko, co było do zabrania. Ktoś połasił się nawet na mosiężne dzwonki ministrantów. Wyniesiono też wszystkie drewniane ławki dla wiernych. Pewnie porąbali je na deski lub na opał".

„To miasteczko musi przetrwać – zaklinał jednak rzeczywistość ustanowiony przez nową władzę komendant milicji – bo jeśli mam wreszcie być kimś, to przecież tylko tutaj".

Ale większość przybyszów nie mogła się przemóc ani oswoić z nową rzeczywistością: „To jak chodzenie w cudzych butach – opowiadał jeden z zupełnie nowych obywateli Olsztynka. – Czuję się jak gość w domu, który podobno ma być mój".

Podobno. Na razie szalała cenzura (także korespondencji), brak informacji rekompensowały najdziksze plotki, a sprawcy makabrycznych zabójstw popełnianych w okolicy pozostawali bezkarni. Czy w tym budzącym się na nowo do życia miasteczku, wśród szabrowników, pospolitych bandytów, ubeków i Sowietów, znajdzie swoje miejsce Stefan Malewski, „mężczyzna po przejściach", który na Dzikim Zachodzie byłby szeryfem, w powojennej Polsce zostanie zaś, no właśnie, kim? I komu przyjdzie do głowy, że ścigać będzie nie tylko złych ludzi, lecz także… strzygi!

Ta „Gwiazda szeryfa" jest bardzo ciekawa, dłuuuga i zaskakująca. ©℗

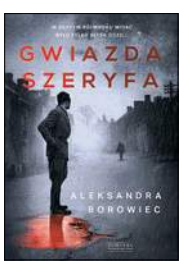

★★★★☆

ALEKSANDRA BOROWIEC „GWIAZDA SZERYFA"
ZYSK I S-KA, POZNAŃ 2020

eprasa.pl 33dbceaddd

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Gorzkie miłości

Na pierwszym planie opowiadań Josefa Škvorecký'ego widzimy dość zwyczajnych bohaterów i ich często raczej zwyczajne kłopoty. Ktoś się zakochuje, czasem szczęśliwie, częściej nie. Ktoś wspomina dawnego kumpla albo piękność, do której kiedyś wzdychał. Ktoś wraca pamięcią do malowniczego mordobicia albo chwili, kiedy w nostalgię wprawił go kawałek zagrany przez dawno nieistniejący już jazz-band. W tle zaś dzieje się historia – wielka, okrutna, żarłoczna, bezlitosna, niesprawiedliwa.

Najbardziej widać to w pierwszej części zbioru zestawionego przez Andrzeja S. Jagodzińskiego, gdzie pojawiają się opowiadania z wczesnego okresu twórczości Škvorecký'ego, z czasów jego powieściowego debiutu, gorzkiej i wybitnej powieści „Tchórze". Raz jeszcze pcha mi się pod pióro słowo „bezlitosny" – choć Škvorecký nie moralizuje na siłę, nie oskarża wprost, tylko odnotowuje, jego spostrzeżenia są przerażające. Drobne podłości, małe tchórzostwa, śmieszne urazy prowadzą do fatalnych skutków. Z pejzażu kolejno wypadają więc jak nie nauczyciel, to lekarz, jak nie oni, to cała rodzina smutnej Rebeki cudem ocalałej z Terezina. Naziści uznali ich za podludzi, a czescy sąsiedzi się od nich odwrócili.

Czytamy kolejne opowiadania i szybko odkrywamy, że nie chodzi tylko o relacje czesko-żydowskie. Po prostu taka jest natura kolejnego systemu, który dusi Europę Wschodnią: komunizmu. Zmiażdżone życiorysy, fatalne wybory i drobne występki, które prowadzą do wielkich tragedii. Jedni próbują pływać i toną, inni zamieniają się w uwikłanych w dwuznaczne moralne wybory konformistów, jeszcze inni szukają ucieczki: w literaturze, alkoholu, miłostkach, ale przede wszystkim w muzyce.

Jest bowiem także proza Škvorecký'ego wielkim hymnem ku czci tego, co czyni życie znośnym, nawet gdy rzeczywistość jest obrzydliwa. Pocałunek dziewczyny, kiedy światła zgasły, a potańcówka rozkręciła się na dobre. Improwizacja amatorskiego zespołu. Kręcące się spódniczki. Kilka palących podniebienie głębszych wychylonych podczas tzw. poważnej rozmowy o życiu z przyjacielem. Sekretem geniuszu czeskiego pisarza jest to, że będąc dla swych bohaterów okrutnym (to znaczy wiernym prawdzie), znajduje dla nich miejsce w swoim sercu i nas nakłania do tego samego. Pokpiwa z nich, napomina, surowo ocenia, ale nigdy nie szydzi, nie obraża, nie pogardza. Tak, to „Gorzki świat", jak głosi tytuł, ale warto w nim żyć. Mimo wszystko. ©℗

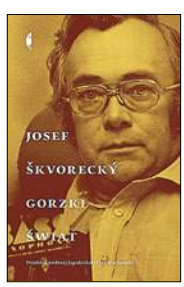

★★★★★☆
JOSEF ŠKVORECKÝ „GORZKI ŚWIAT" CZARNE 2020

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Zbiór szkiców o prasie PRL lat 1955–1958. Szczególnie ciekawe są teksty o gazetach lokalnych, na łamach których „odwilż" wyglądała zdecydowanie inaczej niż w Warszawie. Także rzecz o relacjach władza – dziennikarze.

AUTORZY RÓŻNI „NIE TYLKO »PO PROSTU«" IPN

Nowe wydanie jednej z najgłośniejszych książek noblisty i najważniejszych powieści XX w. Opisane z kilku punktów widzenia dzieje rodziny Compsonów to bezlitosny portret psychologiczny i majstersztyk literacki.

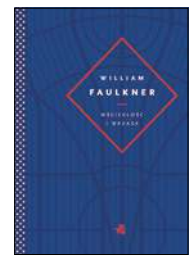

WILLIAM FAULKNER „WŚCIEKŁOŚĆ I WRZASK" GW FOKSAL

Pasjonująca podróż do czasów II RP, a potem do niemieckiej i sowieckiej opresji. Wśród bohaterów Stanisław Marusarz, Bronisław Czech i inni, którzy zapisali wspaniałą patriotyczną kartę w dziejach polskich sportów zimowych.

DARIUSZ JAROŃ „SKOCZKOWIE. PRZERWANY LOT" MARGINESY

Nowy tom cyklu przygodowo-historycznego, którego bohaterem jest przyszły cesarz Wespazjan. W tomie pierwszym obserwowaliśmy schyłek Tyberiusza, w tomie najnowszym (siódmym) mamy już czasy Nerona. ©℗

poleca Piotr Gociek

ROBERT FABBRI „RZYMSKIE FURIE" REBIS

KOMIKS TYGODNIA: „JIM CUTLASS"

Seria „Jim Cutlass" przywodzi na myśl cykl o poruczniku Blueberrym. Nie tylko dlatego, że ma tych samych autorów. Główny bohater jest postacią przypominającą Blueberry'ego – szybki do bitki, wrażliwy na krzywdę i choć nosi mundur, to bardzo niechętnie słucha rozkazów. Dostajemy więc klasyczny komiks przygodowy z charakterystyczną kreską Moebiusa (Jean Giraud znany jest głównie pod tym pseudo) oraz ładunek politycznej poprawności, gdyż Cutlass to oficer z Północy, a działać musi na wstrętnym Południu szykującym się do wojny secesyjnej. Tom pierwszy wydania zbiorczego zawiera trzy albumy. ©℗

poleca Piotr Gociek

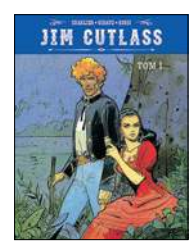

JEAN-MICHEL CHARLIER, JEAN GIRAUD, CHRISTIAN ROSSI „JIM CUTLASS. TOM 1" EGMONT 2020

eprasa.pl 33dbceaddd

Tęskno w pojedynkę

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

„Kiedy bliski koniec świata, do zabawy jest okazja" – śpiewa na wydanym w szczycie pandemii drugim albumie Tęskno Joanna Longić. „Założenie było takie, żeby cały ten utwór był z lekkim przymrużeniem oka. Chodzi o to, żeby niezależnie od okoliczności potrafić znaleźć w swoim życiu radość i nie być smutasem. We mnie jednak jest pewna walka, bo najlepiej mi się komponuje w nocy. W związku w tym mam tendencję do bycia tym smutasem i do tego, żeby się izolować, nawet kiedy ta izolacja nie jest wymagana" – mówiła Joanna w wywiadzie dla portalu Rytmy.pl. Na nowym albumie wyraźnie tego „smutasa" słychać.

Projekt pod nazwą Tęskno oprócz wokalistki Joanny Longić powoływała przed dwoma laty do życia również pianistka i kompozytorka Hania Rani, a ciepło przyjęty debiutancki album „Mi" otwierał przed duetem ciekawe perspektywy. Życie napisało inny scenariusz, Hania Rani opuściła Tęskno (jej druga od rozstania solowa płyta ma ukazać się w maju), a Joanna stanęła przed dylematem – czy pozwolić, by ta historia skończyła się na jednym albumie, czy próbować poradzić sobie bez Hani. „Nie byłam w stanie zrezygnować z tego projektu. Okazał się zbyt ważny i zbyt bliski dla mnie" – opowiada we wspomnianym wywiadzie.

Zamiast szukać nowego kompozytora, Joanna wzięła ten ciężar na siebie. („Na studiach, oprócz kształcenia wokalnego, miałam takie przedmioty jak kompozycja, aranżacja na instrumenty, elementy produkcji muzycznej"). Podstawą niemal każdej kompozycji na płycie jest kwartet smyczkowy, któremu towarzyszą klasyczne instrumentarium i nienachalna elektronika. Są na nowej płycie utwory wyłącznie instrumentalne oraz jeden a cappella.

Co dalej z Tęskno? „Chwilę przed zamknięciem się w domach udało nam się spotkać z kwartetem jeszcze raz na nagraniach i mamy już trzy następne utwory, oczywiście poza płytą. Jest we mnie teraz taki zapał i pasja do dalszego pisania muzyki" – zdradza Joanna. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Piosenka

Ukazała się rozszerzona reedycja świetnego debiutanckiego albumu Roberty Flack z 1969 r. Jest na nim piosenka „Gdy pierwszy raz zobaczyłem twoją twarz".

Zanim Roberta wkroczyła do studia, a było to, gdy miała już 32 lata, występowała w klubach, wykonując mieszankę piosenek jazzowych, folkowych i soulowych. W repertuarze miała balladę „The First Time Ever I Saw Your Face", którą w 1957 r. napisał szkocki komunista Ewan MacColl. Nie była to pieśń protestu, ale wyznanie miłości. Ron Carter, kontrabasista Milesa Davisa, nagrał wstęp i przekonał Robertę, by zaśpiewała utwór w wolniejszym tempie. Album zawierający nowatorsko zaangażowane i wykonane utwory m.in. Leonarda Cohena dostał świetne recenzje, ale słuchacze byli obojętni.

Dwa lata później Clint Eastwood zamieścił „The First Time…" w swym debiucie reżyserskim „Zagraj dla mnie, Misty". Ballada, pierwszy raz wydana na singlu, dotarła na szczyt amerykańskiej listy przebojów. Co więcej, Roberta zdobyła dwie nagrody Grammy za piosenkę i album roku 1972. Od tego czasu „The First Time…" stała się jednym z najbardziej rozpoznawalnych standardów muzyki popularnej, a do dziś nagrało ją ponad 120 wykonawców, w tym Elvis Presley, Céline Dion i José Carreras.

Okładkę do albumu zaprojektował Stanisław Zagórski, artysta plastyk wywodzący się ze Szkoły Polskiego Plakatu, który od 1965 r. pracował dla wytwórni Atlantic. ©℗

★★★★★☆

ROBERTA FLACK „FIRST TAKE 50TH ANNIVERSARY" ATLANTIC

★★★★★☆

ANDRZEJ KORZYŃSKI „80" GAD

80 minut tematów filmowych na 80. urodziny kompozytora. „Człowiek z marmuru", „Pan Kleks", „07 zgłoś się"… Fantastyczna, doskonale ułożona składanka, której słucha się jako spójnej całości, a przecież nagrania powstały na przestrzeni 34 lat.

★★★★☆☆

IGOR HERBUT „CHRUST" AGORA

Wokalista zespołu Lemon debiutuje osobistym albumem. To płyta-notes, na której każda kolejna piosenka opowiada o coraz dalszych przeżyciach z przeszłości. Emocjonalny głos, długie kompozycje o oszczędnych aranżacjach, jesienne teksty, Leopold Staff i Maanam. Dla wrażliwych. ©℗

eprasa.pl 33dbceaddd

DODATEK SPECJALNY – część 1

Od wojny klas do wojny płci

- Gender po amerykańsku – rozmowa z ks. prof. Pawłem Bortkiewiczem
- Chadecja – chrześcijańska homodemokracja?
- Samorządy kontra dyktatura LGBT

PARTNERZY:

WSPÓŁFINANSOWANE ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

eprasa.pl 33dbceaddd

Obrona przed tęczową rewolucją

PAWEŁ LISICKI

Jeszcze nigdy zmiany społeczne i obyczajowe nie przebiegały na świecie w takim tempie. Polacy mogą tego doświadczać ze szczególną mocą od kilku lat. W tym to czasie nieśmiałe jeszcze i mające niewielkie poparcie środowiska LGBT przekształciły się w silny i politycznie coraz bardziej wpływowy ruch. Jego główny cel jest w Polsce dokładnie taki sam jak na całym świecie. Aktywiści LGBT stosują zawsze taką samą taktykę. Próbują przedstawiać siebie jako ofiary społecznych prześladowań i następnie, dzięki zdobytej w ten sposób sympatii, dokonują prawdziwego przewrotu obyczajowego.

Zaangażowani ideowo homoseksualiści i lesbijki (nie należy ich mylić po prostu z homoseksualistami i lesbijkami) początkowo domagają się tolerancji. Twierdzą, że jedyne, czego chcą, to równych praw ze wszystkimi. Bardzo szybko okazuje się, że nie o żadne równe prawa im chodzi, ale o dominację. O zdobycie tych przywilejów i tej ochrony prawnej, którą zawsze we wszystkich społeczeństwach cieszyły się naturalne związki małżeńskie, związki mężczyzn i kobiet, jedyne, z których mogły przyjść na świat dzieci. Następnie zaś, kiedy już owe przywileje zdobędą, ideolodzy LGBT próbują zamknąć usta swoim krytykom i oponentom. Z zaciekłością i brutalnością tępią każdy przejaw innego, wolnego, niepoprawnościowego myślenia. Wprowadzają surowe prawa, ustanawiają przepisy i kary. Korzystają ze wsparcia potężnych liberalnych mediów, mają za sobą bogate instytucje, wielkie globalne firmy. Coraz trudniej się bronić przed ich naporem. Coraz trudniej walczyć o zachowanie kulturowej i narodowej tożsamości. W stosunku do przeciwników stosują bowiem wypróbowane w walce ideologicznej metody. Oczerniają ich, urządzają na nich nagonki, próbują zastraszyć i zmusić do milczenia. Społeczna norma i prawo naturalne mają ustąpić przed arbitralną wolą pewnej siebie, dążącej do zaspokojenia jednostki. W imię wyimaginowanej, totalnej równości zabrania się oceniać i, w ostateczności, nazywać.

Metamorfozie i mutacji muszą ulec nawet najgłębiej zakorzenione w tradycji ludzkości wartości i słowa. To logiczne. Chociaż, trzeba od razu dodać, jest to logika szaleńca. Zgodnie z nią jeśli związki dwóch panów lub dwóch pań mają taką samą wartość moralną jak związki mężczyzny i kobiety, to należy je nazywać małżeństwami. Punktem odniesienia ma przestać być to, co obiektywne – fakt, że małżeństwem jest związek, z którego co do zasady mogą przyjść na świat dzieci – ale subiektywne samopoczucie jednostek. Obopólna przyjemność dwojga dorosłych (w skrajnej postaci nawet dorosłość nie jest wymagana) ma stać się podstawą dokonania rewolucji w języku. Po prostu skoro dwie osoby chcą, by ich relację określano mianem małżeństwa, to państwo ma obowiązek to uznać. Kryterium oceny przestaje być rzeczywistość, staje się nim wola. Oczywiście jest tylko kwestią czasu, kiedy to związki par jednopłciowych zostaną zastąpione związkami trójkątów lub czworokątów. Nienasycone pożądanie nie ma granic.

Pierwszymi ofiarami rewolucji LGBT muszą stać się dzieci. Znowu działa tu ta sama szalona logika. Skoro państwo raz uzna, że o tym, czym jest małżeństwo, nie decyduje prawo naturalne, ale arbitralna wola dwóch (może kiedyś więcej) jednostek, to podobnie musi przyjąć, że ta sama wola ma wyznaczać prawo do adopcji. „Matka" i „ojciec" okazują się konstruktami kulturowymi. To prawda, że w obecnym społeczeństwie w większości rodzin są matka i ojciec. Jednak skoro państwo zgodziło się na rodziny dwóch ojców lub dwóch matek i na to, że również takie pary mają prawo do posiadania dzieci, to w rezultacie określeń „matka" i ojciec" należy zakazać. Dlaczego? To oczywiste – żeby nikogo nie dyskryminować, nikomu nie sprawiać przykrości. Dlatego zamiast „matki" i „ojca" niektóre liberalne państwa wprowadzają określenia neutralne: „rodzic 1" lub „rodzic 2". A skoro to się wprowadzi, to trzeba – jakżeby inaczej – wymusić na obywatelach posłuszeństwo temu prawu. I tak powstaje system represji, którego celem ma być zmiana natury i zapewnienie władzy rewolucji.

Wielu ludzi na początku nie zdaje sobie sprawy, do czego musi ich zaprowadzić zwycięstwo ruchu LGBT. Naiwnie i dziecinnie myślą, że chodzi tu o walkę o równe prawa i obronę przed uciskiem. Nie dostrzegają, że za fasadą pięknych haseł skrywa się dążenie do zamordyzmu i stłamszenia najbardziej naturalnych ludzkich instynktów. Nie rozumieją, że od samego początku, kiedy to w latach 50. i 60. XX w. homoseksualiści przejęli ideologię marksistowską i ogłosili, że są dyskryminowaną mniejszością, rozpoczęła się wojna kulturowa. Jej stawką jest natura.

Polska, na szczęście, do tej pory skutecznie opiera się przychodzącej z Zachodu rewolucji. Wynika to z konserwatyzmu samego społeczeństwa, tak bardzo doświadczonego przez opresję komunistyczną. Polacy, tak jak Węgrzy czy Słowacy, wiedzą doskonale – bo poznali to na własnej skórze – czym kończą się inżynieria społeczna i walka z rzeczywistością. Nie znaczy to jednak, że ta świadomość nie może ulec zmianie. Że za pomocą gigantycznych pieniędzy oraz nacisków politycznych liberalne i lewicowe elity unijne, które próbują realizować projekt nowego, niechrześcijańskiego, nietradycyjnego superpaństwa, nie odniosą zwycięstwa. Ta niewielka seria dodatków w tygodniku „Do Rzeczy" ma przyczynić się do poznania zagrożenia. A także do wskazania właściwych – zarówno prawnych, jak i politycznych – sposobów walki z nim. Do, po prostu, obrony normalności i polskości. ©℗

eprasa.pl 33dbceaddd

Z mec. Jerzym Kwaśniewskim, prezesem Ordo Iuris
rozmawia Tomasz D. Kolanek

LGBT tak jak każda rewolucja ogranicza wolności

TOMASZ D. KOLANEK: Kiedy i w jakim celu powstał skrót LGBT?

JERZY KWAŚNIEWSKI: Co za zachowawcze pytanie!

?

Dwa lata temu „The New York Times" wprost nazwał ten skrót ograniczającym i wyłączającym, a polityczny ruch LGBT śmiało przepoczwarzył się w LGBTQIA+ i sięga po kolejne litery alfabetu. Nie miejmy jednak złudzeń, każda z nich ma z zachowaniami seksualnymi tyle wspólnego co „R" w PZPR z robotnikami. Powstanie akronimu, czyli przełom lat 80.–90., to czas wejścia w amerykańską politykę nowego pokolenia społecznych aktywistów, którzy z czasem uczynią z polityki tożsamościowej nową oś podziałów w debacie publicznej i polityce. A skoro dawne identyfikacje tożsamościowe, klasowa i rasowa, stały się przeżytkiem, to nowym wehikułem stają się wykreowana w aulach akademickich identyfikacja genderowa oraz stworzona na paradach i w klubach subkultury gejowskiej identyfikacja seksualna.

Skrót LGBT był pierwszym, który połączył te dwa nurty – lesbijki, gejów, biseksualistów jako preferencje seksualne oraz transpłciowość jako bunt przeciwko gender, czyli biologicznie i społecznie narzuconej roli płciowej.

Czy istnieje coś takiego jak ideologia LGBT?

Jeżeli za ideologię uznamy spójny system przekonań, który w przystępny sposób tłumaczy ukryty sens procesów dziejowych i oferuje proste metody zaprowadzenia utopijnego pokoju społecznego, to wypaczona antropologia promowana przez aktywistów LGBT i upatrywanie źródeł wszelkich konfliktów społecznych w odwiecznym konflikcie męskich oraz żeńskich ról płciowych przez politykę gender spełniają z pewnością to kryterium.

Wypaczona antropologia LGBT?

Antropologia to między innymi pytanie o to, kim jest człowiek. Nasza cywilizacja na to pytanie odpowiada poprzez wskazanie roli ludzkiego rozumu, społecznej natury człowieka i kulturotwórczego charakteru społeczeństwa, odwołanie do religii i nieśmiertelnej duszy. Spójnie z tymi obiektywnymi, antropologicznymi spostrzeżeniami przez lata rozwijały się cały system kultury i prawa, wszystkie procesy społeczne, w których uczestniczymy. Tymczasem ideologia LGBT oferuje odpowiedź prostszą i z pewnością mniej wymagającą.

W Deklaracji praw seksualnych Planned Parenthood, przywołanej chociażby w słynnych „Standardach edukacji seksualnej WHO", czytamy, że „centralnym aspektem bycia człowiekiem jest seksualność i przyjemność z niej wynikająca". Cała polityka gender i postulaty LGBT to tylko logiczne konsekwencje tego podstawienia. W miejsce obserwacji o złożonej naturze ludzkiej nowa ideologia oferuje założenie o wyłącznie seksualnym pochodzeniu wszelkich impulsów społecznych, kulturowych, cywilizacyjnych. I obietnicę, że od powszechnego szczęścia dzieli nas tylko usunięcie opresyjnych struktur, które dławią swobodne samookreślenie seksualne i nieograniczone czerpanie seksualnej przyjemności.

Dlaczego w związku z tym tak często ze strony szeroko pojmowanej lewicy słyszymy, że nie ma czegoś takiego jak ideologia LGBT?

Nazwanie tego nowego systemu politycznych roszczeń i antropologicznych założeń „ideologią LGBT" obnaża bezpodstawność i czystą spekulatywność utopijnych wizji roztaczanych przez polityków gender czy aktywistów LGBT. A przecież ich obietnica to świat bez przemocy, który ma nastać po usunięciu jej źródeł upatrywanych we wszystkich instytucjach starego ładu, począwszy od rodziny, która w oczach ideologów gender i LGBT jest szkołą przemocy kształtującą dwubiegunowy świat męskich i żeńskich ról społecznych, a skończywszy na państwie narodowym i Kościele jako strażnikach patriarchalnej kultury.

Kogo nie pociąga wizja świata pełnego pokoju? Kto, a w szczególności który demokratyczny polityk, ośmieli się wystąpić przeciwko takiej obietnicy?

Jak widać, nawet doświadczenie wielkich ideologii XX w. – które uzasadniały głębokie przeobrażenia społeczne, a nie przynosiły zapowiadanego wyzwolenia – wciąż nie jest dostateczną przestrogą.

Kiedy rozpoczęła się ofensywa kulturowo-polityczna środowisk LGBT? Kiedy zaczęto

eprasa.pl 33dbceaddd

wmawiać światu, że wszystko, co nie jest heteroseksualne, jest tak naprawdę lepsze?

W tym schemacie nie ma nic nowego. Bolszewicy przez 20 lat wyprzedawali burżuazyjne zbiory Ermitażu, kształtując jednocześnie nową sztukę zaangażowaną. Ideologia buduje się poprzez polaryzację, każdy owoc i instytucja ancien régime'u jest odrzucona, każda społeczna konstrukcja rewolucji ma stać się uniwersalnym wzorcem postępu. I, jak zwykle, prawda oraz empiryczne badania nie mają tu żadnego znaczenia.

„The Washington Post" napisze, że dzieci wychowane przez jednopłciowe pary lepiej radzą sobie w szkole, chociaż długotrwałe i pogłębione badania prof. Marka Regnerusa dowiodły, że dzieci z homoseksualnym rodzicem uzyskiwały niższe wykształcenie, częściej podejmowały próby samobójcze i częściej popadały w konflikt z prawem. Nawet w polskiej prasie codziennej przeczytamy o badaniach Davida Fredericka z Chapman University, według którego praktykowany homoseksualizm prowadzi do lepszego spełnienia seksualnego, ale zdecydowanie trudniejsze będzie dotarcie do kanadyjskiego rocznika statystycznego, który za wiarygodne uznał badania dr. Camerona dowodzące wielokrotnie wyższych wskaźników przemocy w domostwach jednopłciowych par.

Dlaczego w tak wielu krajach środowiskom LGBT udało się narzucić swoją wizję świata, miłości, życia etc.?

Polityka gender i LGBT zaczęła się wraz z dojściem do władzy nowych pokoleń polityków, uformowanych doświadczeniem rewolucji seksualnej. Zanim jednak gender i LGBT stały się kategoriami politycznymi, odbył się wieloletni marsz przez instytucje szeroko rozumianej kultury, która wedle założeń neomarksistów ma jednak charakter pierwotny i warunkujący przemiany podstawowych struktur społecznych.

Skoro kino, sztuka, język kultury, a nawet religia przyjęły nowy, psychoanalityczny paradygmat człowieka, oparty na seksualizacji relacji, psychologizujący i unikający obiektywnych kategorii dobra i zła, to przemiany w demokratycznej polityce były naturalnym następstwem. Innymi słowy – zbieramy owoce dziesiątków lat zaniechań w kulturotwórczej roli państw narodowych, ale także Kościoła.

FOT. ORDO IURIS

eprasa.pl 33dbceaddd

Postępowe ośrodki medialne wmawiają nam, że małżeństwo to przeżytek i zamiast składać sobie jakiekolwiek przysięgi, powinniśmy żyć w tzw. wolnych związkach. Jednakże te same ośrodki walczą o „małżeństwa homoseksualne". Nie wolne związki, nie konkubinaty, nie spółki cywilne, tylko właśnie „małżeństwa". Dlaczego?

Ten postulat to wypadkowa dwóch czynników. Z jednej strony mamy ideologiczne postulaty polityki gender i queer, wyrażone w Polsce przez prof. Jacka Kochanowskiego słowami „polityka wiążąca się z wiedzą wypracowywaną w ramach queer studies umożliwia osiągnięcie celu strategicznego: dekonstrukcję i destabilizację kategorii płci i seksualności, a co za tym idzie, destrukcję opartego na tych kategoriach systemu stratyfikacji społecznej, z jego wkluczeniami i jego przemocą". Z drugiej strony to efekt niedostatecznego przyswojenia ideologii przez szeregowych członków politycznego ruchu LGBT, którzy zwyczajnie tęsknią za stabilizacją płynącą z niszczonego przez ich ruch ładu społecznego.

Jest jednak oczywiste, że rozszerzenie przywilejów gwarantowanych małżeństwu w związku z jego funkcjami prokreacyjnymi, inkulturacyjnymi, wychowawczymi na wszelkie inne konstelacje międzyludzkie oparte na dowolnej relacji seksualnej to całkowite przekreślenie prawnego i kulturowego impulsu wspierającego stabilizację rodzin. Za tym idą całkowite przeobrażenie społeczeństwa, jego atomizacja, przekreślenie rodziny jako naturalnej i podstawowej komórki społecznej, wzrost roli państwa w regulacji stosunków międzyludzkich.

Jak do ideologii LGBT podchodzą struktury ONZ i UE? Czy organizacje te mogą narzucić innym krajom podjęcie jakichkolwiek kroków w tej kwestii?

Marsz ideologów gender i LGBT przez instytucje międzynarodowe jest właściwie zakończony. I to zakończony sukcesem. Na drodze stoi już tylko niezwykle tradycyjny system prawa międzynarodowego, który wciąż podmiotowość międzynarodową zastrzega przede wszystkim dla państw narodowych. Bez ich zgody nic w prawie międzynarodowym teoretycznie zmienić nie można. A większość narodów świata pozostaje przywiązana do podstawowych wartości.

W efekcie nawet najbardziej śmiałe uchwały i rezolucje ONZ, WHO czy kolejnych szczytów organizowanych z udziałem Funduszu Ludnościowego ONZ mają jedynie charakter „miękkiego prawa", czyli pozbawione są mocy wiążącej. Jednak sprawdzają się jako narzędzie międzynarodowego nacisku i gry politycznej. Tak trzeba odczytywać batalię o uznanie w prawie międzynarodowym tzw. praw seksualnych i reprodukcyjnych, a wśród nich powszechnego dostępu do aborcji i obowiązkowej edukacji seksualnej w jej permisywnym, wulgarnym wydaniu.

Tak samo trzeba odczytywać działania niektórych agend Unii Europejskiej, takich jak Europejski Instytut ds. Równości Genderowej „EUROGENDER", który rekomenduje powszechne przyjęcie „genderowej perspektywy" np. w zmaganiach rządów państw członkowskich z koronawirusem.

Marsz ideologów gender i LGBT przez instytucje międzynarodowe jest właściwie zakończony

Jednak inne działania UE mogą mieć poważniejsze skutki dla Polski i naszych rodzin. Chociażby postulowana przez komisarz UE Helenę Dalli ratyfikacja przez Unię kontrowersyjnej genderowej konwencji stambulskiej pozbawi nas szans skutecznego jej wypowiedzenia, a propozycja większościowego przyjmowania stanowisk Unii w sprawach praw człowieka odbierze nam i innym państwom regionu w tym zakresie podmiotowość na wielu forach ONZ.

Można powiedzieć, że trwa jeszcze walka o przywrócenie porządkowi międzynarodowemu właściwego szacunku dla roli państw narodowych i o ograniczenie roli wspólnoty międzynarodowej w kwestiach cywilizacyjnych i kulturowych. Jednak silna pozycja radykalnej lewicy prowadzi, w oparciu o oś podziału wyznaczoną wedle wsparcia dla postulatów gender i LGBT, do coraz głębszej polaryzacji i próby podporządkowania konserwatywnych narodów ideologicznemu dyktatowi.

eprasa.pl 33dbceaddd

Od powodzenia tego projektu zależą indywidualny sukces polityczny zaangażowanych w niego polityków lewicy oraz byt finansujących go gigantów, takich jak dostawca aborcji i edukacji seksualnej Planned Parenthood.

Czym jest „mowa nienawiści"? Dlaczego środowiska LGBT tak walczą o jej wpisanie do kodeksu karnego?

Gdy tylko polaryzacja kreowana wokół politycznych roszczeń ideologów LGBT i gender doprowadza do przewagi opcji rewolucyjnej, dają o sobie znać typowe dla rewolucyjnej lewicy koncepcje wymuszania zmian społecznych, sterowanego przewrotu cywilizacyjnego. W tym celu ograniczane są kolejne wolności, które w swym pierwotnym kształcie były przecież oświeceniowym instrumentem ataku na organiczny, monarchiczny ład społeczny. Wśród nich ofiarą pada właśnie wolność słowa, a wraz z nią wolność sumienia czy nawet wolność niezależnego zrzeszania się.

W ten sposób mowa nienawiści staje się w imię ochrony mniejszości kluczem do kontroli prasy i Internetu, a zniekształcona tolerancja prowadzi do zakazu wieszania krzyży. W szkołach wdraża się edukację seksualną sprzeczną z wolą rodziców. Prywatne zrzeszenia, takie jak Skauci Ameryki, zmuszane są przez państwo do akceptowania aktywistów LGBT wśród instruktorów. Co z tego, że upada autorytet rodziców, a pozbawiony charakteru skauting traci swych członków – to konieczne ofiary na ścieżce tworzenia nowego człowieka, wyzwalanego do korzystania z seksualnej istoty swego człowieczeństwa.

W Szwajcarii w roku 2020 przyjęto prawo zakazujące krytyki środowisk LGBT oraz srogie kary za mowę oraz… gesty nienawiści. Nad podobnymi rozwiązaniami pracują również inne państwa. Czy w związku z tym można powiedzieć, że mamy do czynienia z pełzającą dyktaturą LGBT?

Wolę mówić o nawrocie radykalnej lewicy do instrumentów właściwych państwom totalnym. Pamiętajmy, że skrót LGBT ma skupić naszą krytykę na wąskich mniejszościach, gdy rzeczywistą siłą sięgającą po naszą wolność są cyniczni politycy radykalnej lewicy, wykorzystujący preferencje seksualne czy genderową krytykę rodziny jako taran służący do wyważenia ładu społecznego i urządzenia go na nowo w sposób gwarantujący polityczną i kulturową dominację nowej ideologii. Jednak każda ze swej natury sprzeczna z rozumem i dociekaniem prawdy ideologia dla utrzymania się przy władzy musi sięgać po instrumenty cenzury. Długofalowo to warunek niezbędny do utrwalenia rewolucyjnego ładu. Raz jeszcze powiem: nic nowego…

Mowa nienawiści staje się w imię ochrony mniejszości kluczem do kontroli prasy i Internetu

W Polsce od pięciu lat obowiązuje tzw. konwencja stambulska, która daje ogromne możliwości w promowaniu ideologii LGBT zarówno na szczeblu lokalnym, jak i centralnym. Dlaczego rząd Zjednoczonej Prawicy, mimo posiadania odpowiednich i potrzebnych instrumentów, nie wypowiedział tego dokumentu, tak jak zrobili to chociażby Słowacy?

Konwencja nie tylko obowiązuje, lecz także jest gorliwie realizowana. Pod koniec ubiegłego roku nasz rząd złożył międzynarodowemu komitetowi GREVIO ponad stustronicowy raport z jej wdrażania. Rzeczywiście podejmowane działania nie stanowią agresywnego ataku na rodzinę i ład społeczny, jednak oswojenie aparatu państwa z groźną konwencją otwiera drogę do jej pełnego wykorzystania w przyszłości. A przecież drzemie w niej zobowiązanie do wdrożenia agresywnej edukacji seksualnej na każdym poziomie edukacji, a także innych instrumentów inżynierii społecznej, nawet ograniczenia tajemnicy zawodowej lekarskiej czy adwokackiej.

W tym samym czasie kolejne państwa naszego regionu sprzeciwiały się jej ratyfikacji. Szczególnie ciekawy jest przykład Bułgarii, gdzie trybunał konstytucyjny orzekł o sprzeczności deklarowanej przez konwencję ideologii gender i zakwestionowaniu biologicznego charakteru płci z konstytucją Bułgarii. Niestety, polski rząd nie stanął na czele tego regionalnego ruchu sprzeciwu. Instytut Ordo Iuris, jako ośrodek analityczny, przygotował w tej sytuacji projekt alternatywnej Konwencji praw rodziny, która stanowi pozytywną gwarancję praw rodziny, skuteczną blokadę przeciwko wdrażaniu szkodliwych instrumentów konwencji stambulskiej.

Jak zatrzymać to ogólnoświatowe szaleństwo? Czy Polska jest w stanie obronić się przed napierającą ofensywą ideologiczną, czy to tylko kwestia czasu, aż nasz kraj pójdzie drogą „postępowego Zachodu"?

Nasze doświadczenie, chociażby sukces w zablokowaniu szczytu w Nairobi, gdzie próbowano forsować obowiązkową edukację seksualną i powszechną aborcję, wskazuje skuteczność międzynarodowych koalicji państw narodowych ze wsparciem organizacji społecznych.

Również silna koalicja regionalna państw Międzymorza może wywierać skuteczny wpływ na ideologiczne inicjatywy Unii Europejskiej, a nawet podejmować pozytywne inicjatywy wspierające rodzinę i małżeństwo, które w tej części naszego kontynentu wciąż są punktami odniesienia dla ambicji i indywidualnych celów obywateli. Zaostrzająca się polaryzacja, która – jak wspominałem – jest instrumentem ideologii gender i LGBT, zarazem prowadzi do przebudzenia aktywności społecznej i obywatelskiej milczącej dotychczas większości, przywiązanej do naturalnego ładu społecznego, do bezpieczeństwa autonomicznej rodziny, do prawa rodziców do wychowania ich dzieci, do swobodnego kultu religijnego.

Często podkreślamy, że żaden proces dziejowy nie ma charakteru nieuchronnego. Zwycięstwo radykalnej ideologii jest bliskie, a nasze dotychczasowe życie i świat wartości leżący u jego podstaw są rzeczywiście zagrożone. Jednak aktywność i skoordynowany opór mogą nie tylko powstrzymać inwazję zdeterminowanej mniejszości radykałów, lecz także – co nawet ważniejsze – mogą zaoferować na poziomie krajowym i międzynarodowym nowy ład, oparty na afirmacji podstawowych wartości. Każdy, kto będzie gotów wziąć udział w tym wielkim projekcie, może liczyć na wsparcie Instytutu Ordo Iuris.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 33dbceaddd

Kalendarium LGBT

FOT. TSIMUR KHASANAU/ADOBE STOCK

Tomasz Rowiński

1969

Huczne obchody Dumy Gejowskiej czy Parady Równości swój początek biorą w wydarzeniach, które potem zostały określone jako powstanie Stonewall.

Rankiem 27 czerwca 1969 r. odbył się w Nowym Jorku pogrzeb Judy Garland, aktorki zapamiętanej przede wszystkim jako Dorotka z „Czarnoksiężnika z Krainy Oz", a szczególnie z wykonania piosenki „Somewhere over the Rainbow", która stała się czymś w rodzaju hymnu subkultur homoseksualnych. To ten film umieścił tęczę w centrum gejowskiego imaginarium. Równocześnie pytanie: „Czy jesteś przyjacielem Dorotki?" było hasłem wywoławczym chcących się rozpoznać homoseksualistów. Sytuacja ta podgrzewała atmosferę społeczną.

W nocy z 27 na 28 czerwca 1969 r. doszło do wydarzeń, które symbolicznie stanowią początek homoseksualnego ruchu politycznego. To wówczas w nowojorskim pubie Stonewall Inn w dzielnicy Greenwich Village, na dolnym Manhattanie, policja przeprowadziła nalot na bar dla homoseksualistów nieposiadający koncesji na sprzedaż alkoholu. Zwykle takie akcje kończyły się pacyfikacją i zatrzymaniami. Tym razem sprawy potoczyły się jednak inaczej, ponieważ bywalcy klubu zaczęli stawiać opór.

Zgromadzeni w barze homoseksualiści nie rozeszli się zgodnie z nakazem władz, ale podjęli próbę odbicia zatrzymanych osób. Gromadzący się tłum zaczął skandować hasło, które jest jednym z rozpoznawalnych zawołań politycznego ruchu homoseksualnego, czyli „Gay power" (Siła gejów). Ponieważ policjanci wewnątrz Stonewall Inn prowadzili przesłuchania, z czasem znaleźli się w oblężeniu. Tłum napierał. Napastników powstrzymała groźba użycia broni, ale równocześnie doszło do licznych podpaleń w całej okolicy. Tragedii zapobiegła policyjna odsiecz. W efekcie starcia rannych zostało wiele osób po obu stronach. Napastników ostatecznie rozpędzono.

Przez kolejne dni przed Stonewall Inn odbywały się coraz liczniejsze demonstracje. Z czasem część prasy zaczęła opisywać zamieszki jako powstanie w Stonewall, tworząc legendę tego wydarzenia.

Miesiąc po tych zajściach zawiązał się Ruch Wyzwolenia Gejów (Gay Liberation Movement) i nastąpiły pierwsze „akcje afirmatywne" politycznego ruchu homoseksualnego.

2015

26 czerwca 2015 r. Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych stosunkiem głosów sędziowskich 5 do 4 zalegalizował tzw. małżeństwa osób tej samej płci. Od tej pory poszczególne stany utraciły wolność obrony naturalnej rodziny. Tym aktem w pewnym zakresie zakończyła się akcja polityczna ruchu homoseksualnego rozpoczęta w roku 1968. Chociaż wciąż nie ma federalnego prawa zezwalającego na adopcję dzieci przez homoseksualistów, to jego wprowadzenie należałoby traktować jako osiągnięcie symboliczne, a nie praktyczne. Faktycznie w każdym stanie pojedyncza osoba może się ubiegać o adopcję dziecka, a wiele z nich już ustaliło udogodnienia w tej sprawie. Patrząc globalnie, Europa jest w obszarze uprzywilejowania prawnego homoseksualistów bardziej konserwatywna, podczas gdy w Stanach Zjednoczonych silniejsza jest opozycja obywatelska, a także polityczna wobec ekspansji politycznego ruchu homoseksualnego. W Europie zresztą także przesuwają się granice uprzywilejowania, czego przykładem jest katolicka jeszcze niedawno Irlandia. W ciągu jednej dekady stała się państwem wzorcowym, które ideologię politycznego ruchu homoseksualnego przyjęło jako ideologię państwową, swego rodzaju quasi-religię państwową.

W 2015 r. decyzję sądu w stanowczych słowach krytykowali politycy Partii Republikańskiej biorący udział w prawyborach prezydenckich. Scott Walker najtrafniej określił zaistniałą sytuację: „Pięciu przypadkowych sędziów postanowiło na własną rękę zredefiniować instytucję małżeństwa". Czy jednak faktycznie można zmienić istotę rzeczywistości, którą jest małżeństwo, dopisując do niej inne rodzaje związków? Można raczej sądzić, że mamy do czynienia z kulturową specyfiką – czy aberracją – współczesnej kultury zachodniej. Związki jednopłciowe nie niosą ze sobą przynajmniej jednej funkcji, która dla małżeństwa jest zasadnicza – jest nią wspólnota i zradzanie kolejnych pokoleń. Agresywna propaganda polityczna ruchu homoseksualnego przyczyniła się w ostatnich latach do wzrostu niechęci młodego pokolenia Amerykanów do osób homoseksualnych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 33dbceaddd

FOT. MATERIAŁY PRASOWE CDU

Chadecja – chrześcijańska homodemokracja?

Grzegorz Kucharczyk

Za czasów Angeli Merkel niemieckim CDU rządził „pragmatyzm", który pozwolił homoseksualnemu lobby wewnątrz partii pokonywać kolejne etapy w osiągnięciu celu – wprowadzenia „małżeństw" osób jednej płci

Historia gubienia przez niemiecką CDU literki „C" (jak chrześcijaństwo) jest dłuższa niż rządy Angeli Merkel jako przewodniczącej (od 2000 r.) i kanclerza rządu federalnego (nieprzerwanie od 2005 r.) z ramienia Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej (Christlich-Demokratische Union). Już u schyłku rządów Helmuta Kohla ujawniły się w gronie niemieckich chadeków środowiska jawnie przyznające się do homoseksualizmu i w związku z tym wpisujące do swojej politycznej agendy postulat „walki o równouprawnienie osób o odmiennych skłonnościach seksualnych".

W listopadzie 1997 r. w ramach CDU ujawniła się grupa pod nazwą Schwule Christdemokraten (Homoseksualni Chadecy). To był pierwszy zwiastun nadciągających zmian. W ciągu dwóch kolejnych dekad partia Adenauera i Erharda nie tylko uzna „homoseksualną platformę" we własnym gronie, lecz także jako partia rządząca w Niemczech doprowadzi do uchwalenia prawa legalizującego na obszarze RFN tzw. małżeństwa jednopłciowe.

Rządy Angeli Merkel w CDU były pod tym względem kluczowe. Obowiązującym hasłem stał się „pragmatyzm". Od 2000 r. coraz rzadziej w oficjalnych dokumentach partyjnych CDU odwoływała się do „chrześcijańskich wartości". Zamiast tego artykułowano chęć przekształcenia ugrupowania „w masową partię środka" (Volkspartei der Mitte), co oznaczało w praktyce licytowanie się na lewicowe projekty z Zielonymi oraz socjaldemokracją, z którą Merkel dwa razy weszła w tzw. wielką koalicję na poziomie federalnym i w wiele porozumień na poziomie landów (krajów związkowych). Przejmowanie postulatów programowych partii lewicowych przynosiło doraźne korzyści w postaci przejmowania części jej elektoratu, ale całkowicie wypłukiwało CDU z resztek jej chrześcijańskiej tożsamości.

Pod rządami Merkel jako przewodniczącej CDU homoseksualne lobby wewnątrz tego ugrupowania pokonywało kolejne etapy na drodze do osiągnięcia swojego najważniejszego celu, czyli wprowadzenia „małżeństw jednopłciowych" wraz z prawem do adopcji dzieci oraz reedukacji społeczeństwa niemieckiego poprzez „odpowiednią" modyfikację programów szkolnych w duchu „tolerancji i otwarcia na prawa osób o odmiennych skłonnościach seksualnych".

ETAPY „OSWAJANIA"

Od 2003 r. Homoseksualni Chadecy, teraz funkcjonujący pod nazwą Związek Lesbijek i Homoseksualistów w CDU (Bundesverband der Lesben und Schwulen in CDU, w skrócie: LSU), zyskali prawo organizowania własnych stoisk z materiałami propagandowymi w czasie ogólnoniemieckich partyjnych zjazdów.

Potem nastąpiły coming outy prominentnych polityków CDU. Do homoseksualizmu przyznał się m.in. chadecki burmistrz Hamburga (w latach 2001–2010) Ole von Beust.

eprasa.pl 33dbceaddd

W czasie odbytego w grudniu 2012 r. zjazdu CDU podczas głosowania nad wnioskiem o poparcie rozciągnięcia ulg podatkowych do tej pory przysługujących tylko małżeństwom na tzw. jednopłciowe związki partnerskie za tym postulatem opowiedziało się aż 40 proc. delegatów. Wniosek przepadł (przeciw była sama pani kanclerz), ale widać było, że „kula śniegowa" zaczęła swój bieg.

Nabrała prędkości w 2013 r. Zwolennicy „otwarcia się na osoby homoseksualne" w CDU zyskali bowiem dwa kolejne argumenty: referendum w Irlandii, które dało zielone światło dla legalizacji tam „małżeństw jednopłciowych", oraz wyroki federalnego Trybunału Konstytucyjnego w Karlsruhe, który wiosną 2013 r. zezwolił na tzw. sukcesyjną adopcję w „jednopłciowych związkach partnerskich" (jeśli jedna strona miała już wcześniej prawa adopcyjne, wówczas mogła je rozciągnąć na drugiego partnera, w nowym jednopłciowym związku).

„DZIKA TRZYNASTKA" W AKCJI

Decyzje podjęte na Zielonej Wyspie i w Karlsruhe dodały wiatru w żagle „dzikiej trzynastce (wilde 13), czyli grupie posłów CDU do Bundestagu, którzy nie kryjąc swojej homoseksualnej skłonności (był w tej grupie m.in. Jens Spahn – obecnie minister zdrowia w gabinecie Merkel), od 2012 r. jawnie wspierali wysiłki na rzecz zmiany kursu CDU w sprawie legalizacji w Niemczech „małżeństw jednopłciowych". Wyłom został zrobiony w 2001 r. przez „czerwono-zielony" rząd (koalicja SPD i Zielonych) Gerharda Schrödera (SPD), gdy zalegalizowano w RFN jednopłciowe związki partnerskie. Do 2013 r. jeszcze bez prawa adopcji dzieci, ale wspomniane orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego de facto zniosło także to ograniczenie.

Do 2015 r. wypowiedzi czołowych przedstawicieli CDU wyrażały dystans do postulatów składanych przez „dziką trzynastkę", które wpisywały się w szerszą akcję ugrupowań lewicowych pod hasłem: „Małżeństwo dla każdego" (Ehe für Alle). Przeciw legalizacji „małżeństw jednopłciowych" wypowiadali się zarówno szef frakcji CDU/CSU w Bundestagu Volker Kauder (uchodzący za „prawą rękę" Merkel), jak i wielu ważnych polityków CDU na poziomie związkowym – w tym premier Kraju Saary Annegret Kramp-Karrenbauer, która stwierdziła, że legalizacja „małżeństw jednopłciowych" otworzy drzwi przed legalizacją w przyszłości kazirodztwa czy bigamii.

SUMIENIE KANCLERZ

Sama Angela Merkel, jak przystało na polityka „pragmatycznego" od lat szukającego „centrowego, umiarkowanego elektoratu", unikała jednoznacznych deklaracji. Sprawdzała, skąd i z jaką mocą wieją polityczne wiatry, przede wszystkim w jej macierzystej partii. Symptomatyczne pod tym względem było wewnętrzne głosowanie w ramach berlińskiej organizacji CDU w 2015 r. nad kwestią legalizacji „małżeństw jednopłciowych". Przeciwnicy zyskali tylko 10-procentową przewagę nad zwolennikami. A jeszcze w 2012 r. na ogólnokrajowym zjeździe CDU proporcje te były znacznie wyraźniejsze na korzyść zwolenników utrzymania prawnego status quo w kwestii definicji małżeństwa (60 proc. do 40 proc.).

Rok 2015 przyniósł ze sobą kryzys imigracyjny, który po krótkim zachłyśnięciu się „Willkommenspolitik" oznaczał znaczne osłabienie CDU na poziomie federalnym. A czymś trzeba było nęcić „umiarkowany, centrowy elektorat" (ten zaś był już odpowiednio „sformatowany" przez mainstreamowe media). Poza tym „dzika trzynastka" – realnie znacznie bardziej liczebna – zyskała dodatkowy argument w postaci decyzji amerykańskiego Sądu Najwyższego z czerwca 2015 r. legalizującego „małżeństwa jednopłciowe" w Stanach Zjednoczonych.

Kanclerz Merkel zaczęła więc coraz częściej mówić, że decyzja w tej sprawie musi być podjęta „w zgodzie z sumieniem", przy czym chodziło o sumienie polityka „pragmatycznego", doskonale zdającego sobie sprawę z tego, że rok 2017 jest rokiem wyborów do Bundestagu. Te były planowane na jesień. A wiosną, gdy w Szlezwiku-Holsztynie doszło do zawarcia „jamajskiej koalicji" między CDU, FDP i Zielonymi, w umowie koalicyjnej partnerzy zobowiązali się do zgodnego występowania na poziomie federalnym na rzecz legalizacji „homomałżeństw".

„NOWOCZESNY KONSERWATYZM"

Tak rozumiany „pragmatyzm" zyskał nawet teoretyczne uzasadnienie, z którego wynikało, że „małżeństwa jednopłciowe" są wyrazem… konserwatyzmu. Ingo Senftleben, szef struktur CDU w Brandenburgii, tak tłumaczył nadchodzącą zmianę stanowiska chadeków w tej kwestii: „Również homoseksualne i lesbijskie związki partnerskie opierają się na miłości dwojga ludzi, którzy przyjmują odpowiedzialność za siebie. Są to więc w najlepszym tego słowa rozumieniu związki konserwatywne".

30 czerwca 2017 r. Bundestag uchwalił legalizację w Niemczech „małżeństw jednopłciowych" wraz z pełnią praw adopcyjnych. Bez wsparcia ze strony chadeków taka decyzja nie byłaby możliwa. Merkel wraz z kilkudziesięcioma innymi posłami CDU i CSU głosowała przeciw, wcześniej jednak upewniwszy się, że potrzebna większość jest zapewniona. Także pani kanclerz przeszła przemianę. Jak przyznała w czasie kampanii wyborczej przed jesiennymi wyborami do Bundestagu, odwiedzając „małżeństwo lesbijek" w swoim okręgu wyborczym, przekonała się, że pozostające pod opieką dwóch pań (jako rodziny zastępczej) ośmioro dzieci „jest bardzo dobrze zaopiekowanych". Sumienie polityka „pragmatycznego" wreszcie pozwoliło spojrzeć z wdzięcznością w twarz nieuchronnego postępu.

Nic dziwnego, że już w nowej kadencji parlamentu chadecy zgodzili się na uchwalenie ustawy o „trzeciej płci" i pilotowanej przez ministra Jensa Spahna ustawy zakazującej terapii wyjścia z homoseksualizmu dla osób poniżej 18. roku życia. Systematycznie na znaczeniu zyskuje w ramach CDU homoseksualne lobby. 12 września 2019 r. w berlińskiej siedzibie partii (Konrad-Adenauer-Haus) odbyło się już trzecie spotkanie LSU, w czasie którego odchodząca przewodnicząca CDU Kramp-Karrenbauer publicznie zadeklarowała, że traktuje to środowisko jako „integralną część" CDU.

Na internetowej stronie LSU czytamy, że „obok występowania na zewnątrz na rzecz chrześcijańsko-demokratycznych i chrześcijańsko-społecznych przekonań przede wszystkim działamy wewnątrz naszych partii [CDU i CSU] na rzecz dalszego wyostrzenia świadomości konieczności równouprawnienia ludzi LGBT, ich trosk i potrzeb". Na zewnątrz – jedno, na potrzeby wewnętrzne – coś innego. Prawdziwy „pragmatyzm" à la Angela Merkel.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 33dbceaddd

Gender po amerykańsku. Rzeczywistość czy halucynacja?

ks. prof. Paweł Bortkiewicz

Kalki poglądów Engelsa włożone do amerykańskich ruchów feministycznych sprawiły, że celem wyzwolenia kobiet z ucisku stało się nie tylko przeciwstawienie ich mężczyznom, lecz także zatarcie różnic między mężczyznami a kobietami

O ile Faust Goethego zawierał pakt z Mefistofelesem, który był realnym bytem, kuszącym poprzez panowanie nad naturą i życiem, o tyle Tomasz Mann w „Doktorze Faustusie" wystawia Adriana Leverkühna na kuszenie przez demona, który jest zdecydowanie dwuznaczny i nie wiadomo, czy jest to byt rzeczywisty, czy wytwór halucynacji.

Właśnie owa dwuznaczność stanowi bodaj podstawową cechę współczesnej kultury, która generuje skłonność do niejasności, nieokreśloności. Efektem tego są: „słabość" myśli, „zaciemnienie" percepcji rzeczywistości i nade wszystko istotne trudności w rozpoznaniu przez człowieka własnej prawdy wewnętrznej.

Przyłóżmy tę matrycę kulturową do sytuacji amerykańskiej.

RADYKALIZACJA RUCHU FEMINISTYCZNEGO

Najpierw zauważmy, co działo się tam w ruchu feministycznym. W latach 70. XX w. do ruchu feministycznego przeniknęli radykałowie. Obwieścili, że kobiety to prototyp „klasy uciskanej", a małżeństwo i „obowiązkowy heteroseksualizm" stanowią narzędzia ucisku. Była to zwykła kalka poglądów Fryderyka Engelsa i jego analiz powstania rodziny: „W historii za pierwszorzędny antagonizm należy uznać antagonizm między mężczyzną i kobietą w monogamicznym małżeństwie, a za pierwszorzędny ucisk – ucisk kobiety przez mężczyznę". Podjęcie tej równie mocnej, co absurdalnej tezy sprawiło, że celem rewolucji feministycznej stało się usunięcie przywilejów mężczyzn, a zatem wystąpienie przeciw mężczyznom, ale też w równej mierze wyeliminowanie różnicy między płciami, co oznaczało wystąpienie przeciw macierzyństwu, a zatem kwintesencji kobiecości.

Istotą ucisku kobiet miały być bowiem macierzyństwo i wychowywanie dzieci. Stąd pojawiły się postulaty i aborcja na żądanie, antykoncepcji, całkowitej wolności seksualnej, ale także zatrudnienia kobiet i przetrzymywania dzieci we wspomaganych przez państwo żłobkach. Wszystkie te czynniki były proklamowane jako ewidentne i niezbywalne wyzwolenie kobiet.

I tak w latach 70. teoria Engelsa spopularyzowana została przez amerykańską feministkę Shulamith Firestone w jej książce „The Dialectic of Sex". Postulowała w niej upublicznienie sfery reproduk-

eprasa.pl 33dbceaddd

FOT. ADOBE STOCK

cji, odejście od modelu monogamicznej heteroseksualnej rodziny, udostępnienie kobietom dostępu do najnowszych technologii reprodukcyjnych.

W nurcie psychologii feministycznej Carol Gilligan na przełomie lat 70. i 80. dowodziła, że odmienne orientacje psychologiczne kobiet i mężczyzn nie zależą od natury czy biologii, ale kształtują się w ramach indywidualnego rozwoju jednostek.

Z kolei na gruncie teorii prawa i państwa Catherine MacKinnon podkreślała, że relacje nierówności płci w sferze publicznej wynikają niezbicie z prywatnych relacji (hetero)seksualnych opartych na przemocy i dominacji seksualnej mężczyzn wobec kobiet, a aparat państwowy, instytucje społeczne i prawo legitymizują wynikające z prywatnych relacji seksualnych hierarchie płci (nierówność płci) i nadają im status publiczny. Konsekwentnie osiągnięcie równości wymaga zburzenia istniejącego porządku seksualnego i instytucjonalnego.

Nancy Chodorow w „The Reproduction of Mothering" nie ukrywała jednoznaczności poglądów, pisząc, że radykalne feministki chcą, aby dzieci żyły bez rodziny, a nowy feminizm chce znieść rodzinę biologiczną. Dzięki temu „ludzkość będzie mogła wreszcie powrócić do swej naturalnej, wielopostaciowej i perwersyjnej seksualności".

Wszystkie osoby promujące rewolucję przeciwko rodzinie w gruncie rzeczy były dość monotematyczne. Obsesyjnie wręcz debatowały o tym, jak wyeliminować „klasy płciowe" (sex classes) – uwarunkowane biologicznymi różnicami między kobietą a mężczyzną.

W sukurs tym dywagacjom przyszły niewątpliwie tezy dr. Johna Moneya z Hopkins University w Baltimore (USA), który już wprowadził termin „gender identity" określający, czy dana osoba czuje się mężczyzną czy kobietą. Jego zdaniem gender identity wynika wyłącznie z tego, jak dziecko było wychowywane, czasami różni się od płci biologicznej. Money słuszności swoich tez dowodził poprzez osławiony eksperyment na braciach Reimerach. Eksperyment dość skrzętnie przemilczany w narracji zwolenników gender. Czyż nie dlatego, że skończył się ostatecznie samobójczą śmiercią obu bliźniaków – Bruce'a vel Brendy vel Davida Reimera, który był poddawany zmianom swojej tożsamości płciowej, i Briana Reimera, bezradnie przyglądającego się eksperymentom na bracie?

Poglądy Moneya, nowozelandzkiego seksuologa, miały jednak wielkie znaczenie. Jak bowiem nie widzieć paraleli jego „badań naukowych" z tezami Kate Millet, która w „Sexual Politics" pisała: „[…] nie ma różnicy między płciami w chwili urodzin. Osobowość psychoseksualna jest więc czymś wyuczonym po narodzeniu".

Idea płci jako gender, czyli wytworu społecznego, przeniknęła do teorii feministycznych, co sprawiło, że priorytetem ruchu feministycznego stała się nie walka z polityką, ale z ideami ukazującymi różnice między kobietą a mężczyzną oraz akcentującymi szczególną rolę kobiety w sferze wychowawczo-opiekuńczej.

Jak stwierdza Guy Bouchard, feminizm jako teoria utopijna dysponuje jedynym „wspólnym mianownikiem", a jest nim „[...] przekonanie, że kobiety, jako zbiorowość, w społeczeństwach patriarchalnych zawsze były traktowane niesprawiedliwie. To pierwotne przekonanie tkwi u źródeł bardzo złożonego pola semantycznego, ideologicznego i prakseologicznego, które obejmuje przynajmniej sześćset trzydzieści różnych kierunków".

Ta wielość kierunków, nurtów oznacza chaos i zagubienie, możliwość wypierania się poglądów, zaprzeczania, stwarza wrażenie pluralizmu. Jest to zjawisko typowe dla postmodernizmu, który w całym swoim chaosmosie ma jednak stałe wyznaczniki. Podstawowymi są negacja prawdy i walka z prawdą.

STRATEGIA GENDER

Przy chaosie poglądów, wielości niespójnych teorii, a przede wszystkim przy – oględnie ujmując – uwłaczającym racjonalności poglądom trzeba się zastanowić, w jaki sposób ideologia gender zdobywa popularność. Wydaje się, że pomocą w zrozumieniu tego fenomenu może być artykuł Marshalla Kirka opublikowany w 1987 r. w gejowskim piśmie „Guide Magazine". Zawierał on program oswajania społeczeństwa z „równouprawnioną" orientacją seksualną.

To sześć kroków, które dotyczą promocji homoseksualizmu. Niemniej gdyby tak zamienić słowo „homoseksualizm" na „genderyzm", taki zabieg nie byłby bez sensu. Czy jednak nie należy patrzeć na ideologię gender jako na przede wszystkim usprawiedliwienie homoseksualizmu i ruch mający na celu utrwalenie zdobytych przez niego roszczeń?

Oto sześć kroków:

Krok 1. Mówcie o homoseksualistach i homoseksualizmie tak często i tak głośno, jak to możliwe.

Krok 2. Przedstawiajcie gejów jako ofiary, nie jako agresywnych rywali.

Krok 3. Dajcie obrońcom poczucie, że działają w dobrej sprawie.

Krok 4. Zadbajcie, żeby geje dobrze wypadali.

Krok 5. Sprawcie, aby wrogowie wypadli źle.

Krok 6. Szukajcie funduszy.

Warto spojrzeć na choćby kilka z tych kroków. Oto pierwszy z nich. Jak wyjaśnia Marshall Kirk: „Stoi za tym prosta zasada: niemal każde zachowanie zaczyna wyglądać normalnie, jeśli stykasz się z nim dość często w swoim bliskim otoczeniu. […] Ważne jest, gdzie zabieramy głos. Media wizualne – film i telewizja – to oczywiście najpotężniejsze środki budowy wizerunku w cywilizacji zachodniej". Te słowa raczej nie wymagają komentarza.

Prezentacja „normalności" osób o zaburzeniach tożsamości płciowej dokonuje się obecnie coraz szerzej w przestrzeni

eprasa.pl 33dbceaddd

uznawanej za szczególnie wiarygodną – w przestrzeni nauki. W badaniu opublikowanym w październiku 2019 r. w „American Journal of Psychiatry" stwierdzono, że operacja „afirmująca płeć" (co w istocie oznacza zmianę płci) obniża zapotrzebowanie na późniejsze leczenie zdrowia psychicznego w grupie osób, u których zdiagnozowano „niestabilność płci". Takie informacje spotykają się zazwyczaj z dużym zainteresowaniem mediów. Utwierdzają też przekonanie o istniejącym status quo tego, co było tradycyjnie uznawane za patologię, wyjątek, odstępstwo od normy, a teraz zyskuje status normalności. Jednak – jak wykazywał miesiąc po publikacji prof. Mark Regnerus – nawet pobieżna lektura raportu z tego badania przedstawia o wiele mniej optymistyczną wizję, niż prezentują to narracje medialne, a także samo niczym nieuzasadnione przekonanie autorów owej publikacji.

Powiedzmy, że sprawa jest dyskusyjna. Czy jednak dyskusyjne są rewelacje opublikowane w innym szacownym piśmie naukowym „International Journal of Sexual Health"? W artykule z listopada 2018 r. „Childhood Gender Nonconformity and Children's Past-Life Memories" czworo naukowców z University of Virginia School of Medicine stawia tezę, że dziewczęta, które aktualnie czują się chłopcami, i chłopcy, którzy obecnie czują się dziewczętami, wspominają po prostu swoje przeszłe, minione życie we wcieleniu innej płci!

MEDIA, NAUKA, MOŻE JESZCZE KOŚCIÓŁ?

Kirk zwraca uwagę na dość ciekawy element: „Skoro konserwatywne Kościoły potępiają gejów, możemy zrobić tylko dwie rzeczy, aby osłabić homofobię głęboko wierzących. Po pierwsze, możemy zamącić wody moralności przez akcentowanie poparcia dla gejów ze strony bardziej umiarkowanych Kościołów. […] Po drugie, możemy podkopać moralny autorytet homofobicznych Kościołów, przedstawiając je jako przestarzały zaścianek, nienadążający za czasami oraz najnowszymi osiągnięciami psychologii".

W Stanach Zjednoczonych ikoniczną wręcz postacią, która zmienia wizerunek „homofobicznego" Kościoła katolickiego, jest o. James Martin, jezuita. W 2019 r. ks. James Martin, znany jako propagator tzw. osób LGBT, napisał w mediach społecznościowych, że jego prywatne spotkanie z papieżem Franciszkiem we wrześniu było „publicznym znakiem" „poparcia" przez papieża jego pracy, którą opisał jako „posługę katolikom LGBT". Problem polega na tym, że Biuro Stolicy Apostolskiej nie dementuje takich sensacji (podobnie jak wielu innych z różnych dziedzin, choćby rewelacji przekazywanych przez red. Scalfariego). Taki brak dementi stanowi bardzo ważny element w procesie nazwanym przez Kirka „osłabieniem homofobii głęboko wierzących".

Ważny od strony psychologicznej jest krok drugi, czyli przedstawianie gejów, a szerzej osób o zaburzonej tożsamości seksualnej, jako ofiar, nie jako agresywnych rywali. Kirk pisał: „Zwykli widzowie muszą móc utożsamić się z gejami jako ofiarami. Nie wolno dawać przeciętnemu człowiekowi okazji, by powiedział: »Oni nie są jak my«".

W nocy z 27 na 28 czerwca 1969 r. do nowojorskiego pubu Stonewall Inn w dzielnicy Greenwich Village na dolnym Manhattanie wkroczyła policja i dokonała rutynowego nalotu na bar dla homoseksualistów, który nie miał koncesji na sprzedaż alkoholu. Rutynowe naloty miały zazwyczaj ten sam scenariusz – były demonstracją siły policji. Jednak tamtej nocy bywalcy pubu byli bardziej solidarni. Rano, 27 czerwca, odbył się pogrzeb Judy Garland, która dość nieoczekiwanie (także dla niej samej) stała się ikoną gejów, gdy jako Dorotka z „Czarnoksiężnika z Krainy Oz" wykonała piosenkę „Somewhere over the Rainbow". Tamtej nocy obolali geje mimo interwencji nie rozchodzili się. W barze jedna z lesbijek rzuciła butelką w lustro, krzycząc po raz pierwszy w historii: „Gay power". Doszło do burdy. Napastników ostatecznie rozpędzono. W kolejne dni przed Stonewall Inn odbywały się jednak coraz liczniejsze demonstracje, a część prasy zaczęła opisywać te zamieszki jako powstanie (uprising) w Stonewall. Dziś Stonewall jest obiektem wpisanym na listę pomników narodowych USA, data „powstania" stała się zaś datą światowych celebracji gay pride.

Współczucie dla tej martyrologii zapiera dech w piersiach. Jeśli złapie się jednak dech, wówczas można postąpić zgodnie z tym, co sugeruje Kirk: „Krok 3. Dajcie obrońcom poczucie, że działają w dobrej sprawie". Autor stwierdza jasno i czytelnie: „Kampania medialna, która określa gejów jako ofiary społeczeństwa i zachęca heteroseksualistów, aby ich chronili, musi ułatwić adresatom wytłumaczenie sobie ich nowo nabytej opiekuńczości. […] Nasza kampania nie może domagać się bezpośredniego wsparcia dla praktyk homoseksualnych; powinna natomiast obrać za główny wątek walkę z dyskryminacją. Wolność słowa, wolność wyznania, wolność zrzeszania się, prawo do sprawiedliwego procesu i powszechna ochrona prawna – takie problemy powinna uwypuklać nasza kampania".

Tak, istotnie, kampanie na rzecz tzw. osób LGBT mają wolność na sztandarach. Joseph Ratzinger pisał kiedyś: „Możemy też powiedzieć, że miernikiem, którym mierzy się dziś ogólnie ideologie wyzwoleńcze, jest anarchia. W myśl tego ujęcia wolność byłaby całkowicie wtedy, gdyby w ogóle nie było żadnej władzy, żadnej więzi z innymi, lecz jedynie nieograniczona dowolność każdej jednostki, która ma zawsze do dyspozycji wszystko, czego chce, i która zawsze może czynić wszystko, do czego ma chęć. Wyzwolenie polega według tego poglądu na odrzuceniu więzi. Wszelka więź wydaje się więzami, zacieśniającymi wolność; usunięta więź staje się postępem na drodze do wolności. Jest jasne, że w tym świetle rodzina, Kościół, moralność, Bóg muszą się jawić jako przeciwieństwa wolności".

Krok 4. nakazuje: „Zadbajcie, żeby geje dobrze wypadali". Oczywiście dotyczy to wszystkich tzw. osób LGBT. Jak bowiem pisze Kirk: „Honorowy poczet gejów i biseksualistów zapiera dech. Od Sokratesa do Szekspira, od Aleksandra Wielkiego do Aleksandra Hamiltona, od Michała Anioła do Walta Whitmana, od Safony do Gertrudy Stein – lista jest stara, ale wciąż szokuje heteroseksualną Amerykę". Zatem Amerykanin, ale przecież w ogóle obywatel globalnej wioski, winien budzić się z poczuciem wdzięczności, ale i długu wobec tych „nieheteronormatywnych". I nie powinni mieć czasu na to, by szukać choćby jednego wiarygodnego świadectwa historycznego, które pozwalałoby poprawnie wnioskować, że Sokrates praktykował lub akceptował homoseksualizm.

Skoro zostanie nakreślony portret pięknych, mądrych i szlachetnych, to w kolejnym kroku trzeba sprawić, aby wrogowie wypadli źle. Żeby przeprowadzić tę kampanię w sposób skuteczny, potrzeba jeszcze jednego – poszukać funduszy. To może najbardziej intrygująca sprawa, ale zarazem domagająca się wnikliwego opracowania.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest członkiem Towarzystwa Chrystusowego dla Polonii Zagranicznej (TChr.), profesorem nauk teologicznych specjalizującym się w zakresie teologii moralnej.

eprasa.pl 33dbceaddd

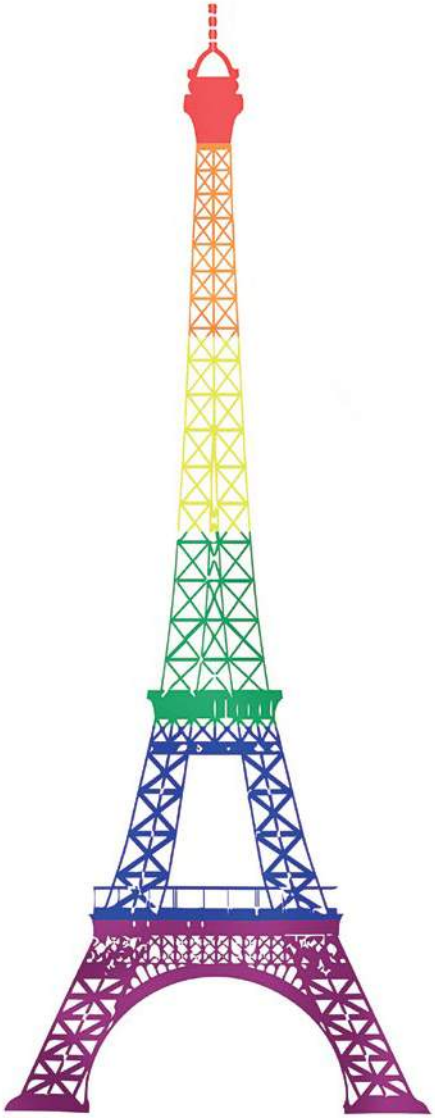

FOT. ADOBE STOCK

Tęcza nad Sekwaną

Bogdan Dobosz

We Francji zaczęło się od niewinnych postulatów, np. prawa do odwiedzin partnera w szpitalu. Dzisiaj ideologia LGBT jest obowiązkowym elementem państwa, specjalne komórki powstają nawet w firmach

Lobby LGBT w ciągu ostatnich 20 lat, dzięki przemyślanej strategii, osiągnęło nad Sekwaną pozycję nieproporcjonalną do swojej rzeczywistej społecznej reprezentacji. Wszystko to jako rzekomo „prześladowana mniejszość", która domaga się tylko realizacji rewolucyjnego hasła: „Wolność, równość, braterstwo". Z czasem ten „tęczowy lud ziemi" z prześladowanej mniejszości stał się prześladowcą, który w imię politycznej poprawności narzuca cenzurę i knebluje wszelką krytykę swojej ideologii.

„Tęczowe" lobby stosuje we Francji tzw. metodę salami, czyli osiągania po kolei pewnych celów. Ta sama taktyka występuje w innych krajach.

OD KONKUBINATU DO POSIADANIA DZIECI

Zaczyna się od „niewinnych" postulatów prawa do odwiedzin partnera w szpitalu, prawa do dziedziczenia, posiadania wspólnego konta w banku itp. Takie postulaty dały alibi do wprowadzenia we Francji za rządów socjalisty Lionela Jospina w 1999 r. tzw. związków

eprasa.pl 33dbceaddd

cywilnych solidarności (PACS). Był to rodzaj konkubinatu otwartego także dla par jednopłciowych. Miało to spełnić postulaty „tęczowego" środowiska raz na zawsze.

Efekt był jednak przeciwny do zamierzonego. PACS zdemolował przede wszystkim instytucję małżeństwa. Parom heteroseksualnym zastąpił on z wielu względów normalne śluby, których liczba zaczęła od tego czasu maleć. Parom homoseksualnym, po pierwszym boomie „pacsowania się", konkubinat przestał wystarczać.

Nastąpił etap drugi. Kolejnym plasterkiem salami był skok na udostępnienie homoseksualistom instytucji małżeństwa. Żądanie ślubów cywilnych zrealizowano za rządów kolejnego socjalisty, prezydenta François Hollande'a, w roku 2013. Ustawa miała ładną i „równościową" nazwę „małżeństw dla wszystkich". Na tym miało się skończyć, bo znaczna większość Francuzów jako barierę nie do przekroczenia widziała zakaz posiadania przez „homomałżeństwa" dzieci.

„Etapowanie" trwało jednak dalej. I tak za rządów Macrona lobby LGBT załatwia sobie jeszcze prawo do posiadania dzieci, na razie przez pary lesbijskie. Udostępnia im „in vitro dla wszystkich", zwane we Francji PMA. Ustawa jest w parlamencie, zabiegi mają być refundowane z kasy chorych.

Powoli szykuje się już kolejny front „walki o prawa LGBT", czyli wynajmowanie sobie do rodzenia dzieci surogatek przez pary homoseksualne (tzw. GPA). To tylko kwestia kolejnego „etapowania" i odwołania się do idei „egalité". Skoro mogą lesbijki, to dlaczego nie geje? Ta droga nie ma końca…

FINANSOWE WSPARCIE – PRZYKŁAD BERGÉGO

Siła lobby LGBT opiera się na dużych pieniądzach i sponsorach. Tutaj jeden konkretny przykład. W 2017 r. w wieku 86 lat zmarł znany biznesmen Pierre Bergé. W Polsce jego śmierć przeszła prawie bez echa, a w informacjach pojawiało się co najwyżej wspomnienie, że był długoletnim partnerem biznesowym i życiowym znanego dyktatora mody Yves'a Saint Laurenta. Tymczasem to Bergé był w tym związku ważniejszy, a całe jego życie to historia walki z francuską tożsamością, wartościami i tradycją. Był przyjacielem kilku prezydentów, wspierał też Emmanuela Macrona. Miał olbrzymie wpływy w świecie mediów i kształtowania francuskiej opinii. Były francuski minister kultury Jack Lang na wieść o śmierci Bergégo nazwał go „cudownym przyjacielem" i nie chodziło tu tylko o homoseksualne powinowactwo, ale pewien związek ideologiczny.

Z Saint Laurentem wspólnie założyli dom mody, który odsprzedali bardzo korzystnie w 1992 r. państwu. Bergé był milionerem i postacią paskudną. W jego willi w Marrakeszu, według różnych pogłosek, miały się m.in. odbywać orgie z udziałem nieletnich. Był też magnatem medialnym, wspierał lobby LGBT, lewackich antyrasistów, komunistów, Mitterranda. Jako mason zwalczał wszelkie odniesienia do chrześcijańskiej historii Francji. Chciał nawet zmieniać kalendarz, bo wolna od pracy i poświęcana Bogu niedziela to „reakcyjne wymysły chrześcijańskiej koncepcji Boga i potrzeby modlitwy". Pisał o sobie: „Jestem Europejczykiem, dlatego że Europa oddala nas od obskuranckiej idei (narodowych) korzeni".

Wspierał PMA i GPA. W 2013 r., kiedy trwały milionowe manifestacje przeciw ustawie o małżeństwie dla wszystkich, Bergé pisał: „Jeśli bomba wybuchnie na Polach Elizejskich z powodu »Manify dla wszystkich« (organizatora protestów), to ja płakać nie będę". Tuż po ogłoszeniu wyników pierwszej tury i wygranej Macrona Pierre Bergé skomentował je wpisem: „Reakcja się aktywizuje, ale już przegrała. GPA wejdzie w życie".

Pierre Bergé był prekursorem powstawania mediów LGBT. Jego poglądy nie były bynajmniej nad Sekwaną rodzajem jakiegoś politycznego folkloru. Ta mieszanka płytkiego ateizmu, globalizmu i wielokulturowości była i jest podzielana w szerokich kręgach francuskiej lewicy.

Bergé był prekursorem. Współcześnie ideologia LGBT jest już obowiązkowym elementem polityki państwa czy dużych państwowych spółek. Rozmaite „kolektywy" LGBT działają w każdej większej firmie, co trochę przypomina obecność tzw. POP (podstawowych komórek partyjnych) PZPR w zakładach pracy w czasach PRL. Francuskie koleje SNCF oświetlają na „tęczowo" dworce, Air France zaoferuje „tęczowe" karty VIP, PSA i Renault wystawią platformy na gejowskiej paradzie. Także partie polityczne mają swoje „kolektywy gejowskie" i dotyczy to wszystkich ugrupowań. Nawet Zgromadzenie Narodowe Marine Le Pen ma pokaźną grupę „zadeklarowanych gejów".

Są też konkretne działania. Ministerstwo ds. równości płci powołało tzw. Brygady Antydyskryminacyjne, w skrócie BADI. Uwagę zwraca militarna terminologia. Do niedawna ideologię postmarksizmu narzucano w rękawiczkach. Zdaje się, że w miarę zaostrzania się „walki klasowej" następuje przejście do ofensywy. O powstaniu BADI poinformowała minister Marlène Schiappa. W skład „brygad" weszły instytucje publiczne, takie jak DILCRAH (Delegatura do Walki z Rasizmem, Antysemityzmem i Przeciwnikami LGBT) oraz podmioty społeczne takie jak SOS Rasizm, Licra, MRAP, SOS Homophobie, Centrum LGBT, Inter-LGBT itd. Pierwsze zadanie BADI to stworzenie „platformy ostrzegawczej" do walki z dyskryminacją; „uwrażliwianie społeczeństwa" i ocena poszczególnych „polityk publicznych". Widać, że kończy się etap lewicowej „pedagogiki", a w jego miejsce przychodzą już działania dyscyplinujące.

PACS – rodzaj konkubinatu otwartego także dla par jednopłciowych – zdemolował przede wszystkim instytucję małżeństwa

W POLITYCE BEZ POPARCIA LGBT ANI RUSZ

Podobnie jest na szczeblu lokalnym. Informacje o zrywaniu „partnerskiej współpracy" francuskich samorządów z polskimi, które oskarżono o „homofobię", nie powinny tu nikogo dziwić. „Tęczowa międzynarodówka" jest po prostu we Francji faktem.

„Prawicowy" mer Nicei Christian Estrosi, który ubiega się o reelekcję, w ramach kampanii wyborczej pomalował w centrum miasta pasy na przejściach dla pieszych na kolory tęczy. W Paryżu zrobiono to jeszcze wcześniej. Kandydaci na mera Paryża niemal się prześcigali w obietnicach składanych temu środowisku. Dotychczasowa mer, czyli socjalistka Anne Hidalgo, chwali się, że uczyniła stolicę Francji miastem „gay-friendly". Były to dotacje i subwencje na „walkę o równe prawa"

eprasa.pl 33dbceaddd

i potrzebę większej „widzialności LGBT", a także na cały zestaw działań „oduraczających" ideologicznie ludzi. Przykład Paryża pozwala prześledzić ewolucję wpływów lobby LGBT we Francji.

PARYŻ W KOLORACH TĘCZY

Gejowska przygoda stolicy Francji zaczęła się wraz z objęciem rządów w mieście w 2001 r. przez socjalistę i zadeklarowanego geja Bertranda Delanoë. Bywał dyskretny, chociaż przygotował pewien grunt i ściągnął do merostwa wielu przedstawicieli swojej orientacji seksualnej. Od jego czasów zaczęto mówić wprost o lobby gejowskim, „lawendowej mafii" czy „Hominternie". Kiedy owa mafia usadowiła się w ratuszu na dobre i zaczęła wprowadzać swoistą cenzurę politycznej poprawności, pojawiły się też złośliwe określenia: „różowi Khmerzy" czy „Gaystapo".

Hidalgo poszła dalej. Tęczowe kolory zawieszano po raz pierwszy po objęciu przez nią urzędu w 2014 r. na budynku Hôtel de Ville. W 2019 r. na gmachu dworca Gare Du Nord tęczowa flaga zastąpiła już nawet trójkolorową flagę Republiki. Były też tęczowe tabliczki z nazwami ulic czy wymalowanie w 2019 r. w takich kolorach pasów na przejściach dla pieszych.

Paryż stał się też w czasie kadencji mer Anne Hidalgo miejscem tzw. olimpiady gejowskiej w roku 2018, czyli X Igrzysk LGBT Gay Games, po raz pierwszy w tak okazałej oprawie. Głównym celem igrzysk nie jest rywalizacja sportowa, ale przede wszystkim „walka z homofobią". W tym samym roku w merostwie urządzono europejską konferencję gejów-policjantów. Od 2018 r. Paryż zaczął przyznawać nagrodę Paris Prize for LGBT Rights, a Hidalgo postanowiła uczynić z miasta „światową stolicę LGBTQ+". Placom i ulicom Paryża coraz częściej zaczęto nadawać imiona „osobowości ruchu LGBT". Socjalistyczna mer zapowiadała w kampanii wyborczej otwarcie „miejsca pamięci, archiwów i kultury LGBT w dzielnicy Marais.

Mer Hidalgo ma całą grupę współpracowników feministek i ideologów LGBT. Zadeklarowanym gejem jest m.in. zastępca mera, młody komunista Ian Brossat. To ciekawy przypadek. Jego rodzicami są Alain Brossat, profesor filozofii na University Paris8, oraz Sylvia Klingberg, socjolog w INSERM, była działaczka komunistyczna skrajnie lewicowej partii izraelskiej Matzpen (Busola). Jeszcze ciekawsza postać to dziadek Iana Brossata. Chodzi o Marka Klingberga, polskiego Żyda i słynnego szpiega KGB. W Izraelu został skazany za zdradę stanu w 1983 r. na 20 lat więzienia. Był zastępcą dyrektora naukowego Izraelskiego Instytutu Badań Biologicznych. Wnuk dołączył już do „międzynarodówki tęczowej". Był jednym z „wychowanków" mera Delanoë.

WYCHOWYWANIE FRANCUZÓW

Proces tego „oduraczania" zaczyna się od kołyski. We Francji przeforsowano np. tzw. kartę mieszanej reprezentacji zabawek. Chodzi o „walkę ze stereotypami związanymi z płcią w dziecięcym świecie". Dokument zawiera konkretne wytyczne dla producentów zabawek. Chodzi o zamianę „społecznych ról" kobiet i mężczyzn. Dziewczynki otrzymają zestawy „młodych naukowców", a chłopcy choćby „zestawy sprzątające", czyli mopy i kuchenki. Dalsza „obróbka" dzieci trwa w szkołach, gdzie ideologia gender została wpuszczona już głównymi drzwiami.

Dorośli też są wychowywani. Jednym z najbardziej absurdalnych pomysłów była np. likwidacja pisuarów w toalecie dworcowej w Brest, bo zdaniem jakiejś pasażerki promowała stereotypy i nierówność płciową.

Francuska sekretarz stanu ds. równości płci Marlène Schiappa forsuje tymczasem kolejny „parytet" w postaci osiągnięcia celu, by 50 proc. transmisji sportowych w telewizji było transmisjami sportu kobiecego. Do tego udziela wsparcia w walce ze „stereotypami" kobiecości i takich jej atrybutów jak macierzyństwo, wychowywanie dzieci czy nawet idee kobiecego piękna (np. krytyka konkursów wyboru Miss Francji). Po drugiej stronie odbywa się niemal „sakralizacja" całego środowiska LGBTQ+.

Ideologiczne przesłanki bywają już ważniejsze od zdrowego rozsądku. Sekretarz stanu Schiappa w imię „walki z dyskryminacją" postanowiła zająć się np. kwestią krwiodawstwa. Zapowiedziała, że wprowadzi oddawanie krwi bez żadnych ograniczeń dla homoseksualistów. To grupa dużego ryzyka, jeśli chodzi o wirus HIV, i dotychczas stosowano pewne zabezpieczenia, wymagając np. czasowej abstynencji w kontaktach płciowych. Afera z zarażoną HIV krwią doprowadziła wcześniej we Francji do kilkuset zgonów.

Kibice to grupa dość oporna wobec ideologii. Tutaj lobby LGBT zaatakowało dwie „męskie" dyscypliny. Popularne we Francji rugby i piłkę nożną. Zmuszano np. trenerów i kapitanów do zakładania „tęczowych opasek" z okazji „dni walki z homofobią", karano kluby za przyśpiewki kibiców. Skoro nie udało się „wychować" kibiców, to postawiono na politykę represji. Nowe przepisy nakazują sędziom przerywanie meczów w przypadku pojawiania się „homofobicznych" haseł na stadionach.

Z kolei Krajowa Liga Rugby (LNR) ogłosiła w lutym 2020 r. „plan walki z homofobią". Zabieg celowy, bo rugby uznano za sport będący „nośnikiem stereotypów na temat męskości". Nowy i „postępowy" projekt LNR nosi tytuł „Celebracja różnorodności". Przewiduje cztery priorytety działań federacji rugby na najbliższe cztery lata. Są to „niepełnosprawni", „równość kobiet i mężczyzn", „walka z rasizmem" i „walka z homofobią". Włączenie do tego typu propagandy społeczności niepełnosprawnych to „listek figowy" i działanie dość typowe dla propagandy LGBT. Teraz zawodników czekają „warsztaty" prowadzone przez „specjalistów" z gejowskiego pisma „Têtu". Będą oni szkolić graczy z 30 klubów ekstraklasy Top 14 i drugoligowej Pro D2. W „warsztatach" mają brać udział także prezesi, działacze i trenerzy. Zajęcia będą poświęcone tematowi walki z homofobią.

O przyszłość sportu można się poważnie obawiać. Nie tak dawno francuska minister sportu Roxana Maracineanu przy okazji kobiecego piłkarskiego mundialu, wespół z socjalistką Ségolène Royal, zastanawiały się, czy np. nie ciekawsze byłyby rozgrywki... piłkarskiego miksta.

Epoka postpolityki spowodowała, że tradycyjne podziały na prawicę, centrum i lewicę zeszły na drugi plan. Bardziej od decyzji biur politycznych partii liczą się dziś powiązania z grupami biznesu, wpływy think tanków i różnych fundacji. W XXI w. nowością stało się pojawienie we Francji silnych lobby feministek i LGBT. Wpływ powiązań homoseksualnych rośnie. Jednak aktywiści rozmaitych Inter-LGBT, Act Up czy SOS Homophobie są tylko jednym z elementów homolobbingu. Sieć powiązań jest tu znacznie szersza i niekoniecznie ujawniana w powiązaniach politycznych, towarzyskich i biznesowych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 33dbceaddd

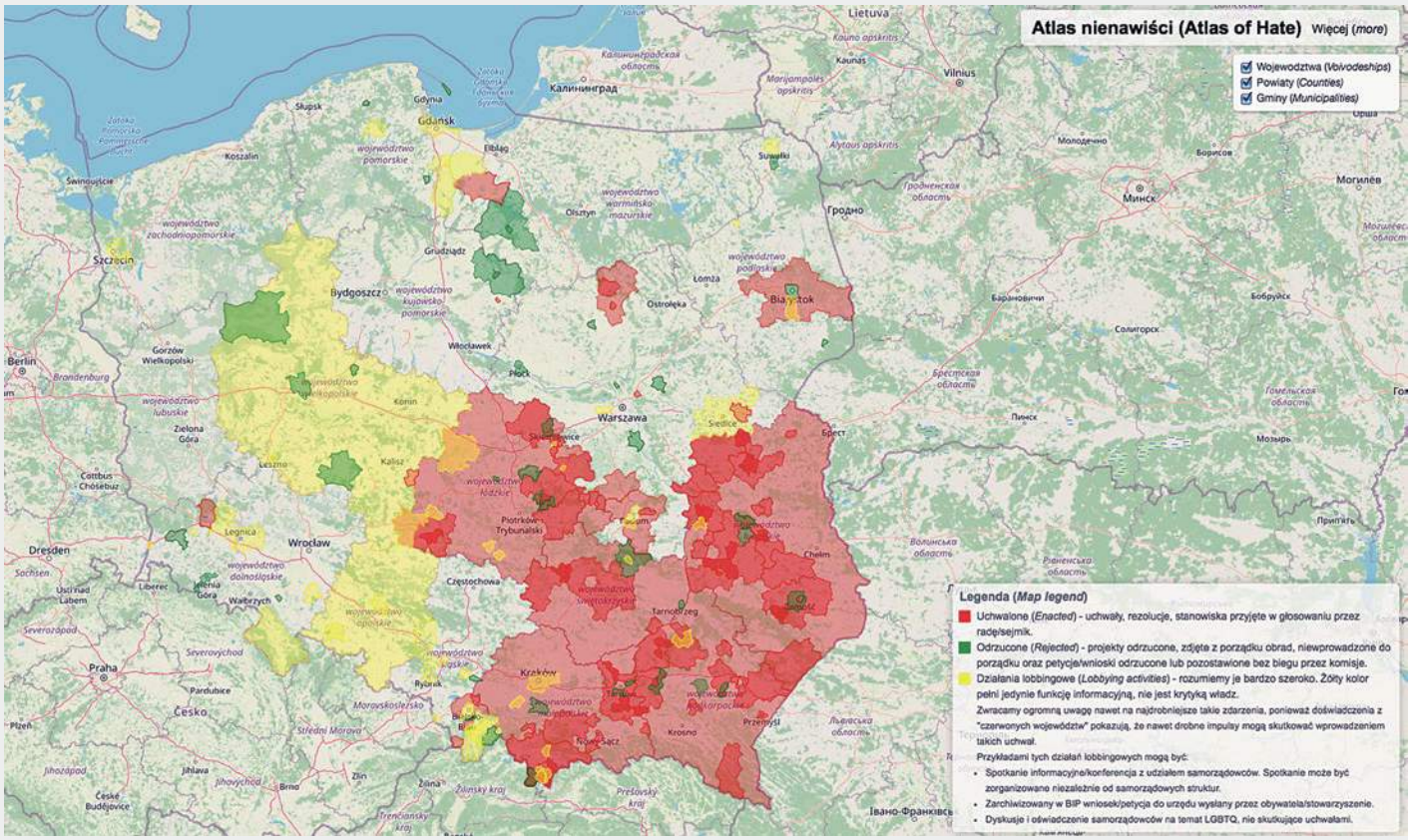

Samorządy kontra dyktatura LGBT

Paweł Kwaśniak

Im gwałtowniej przyspieszać chce rewolucja obyczajowa w kraju, tym bardziej lokalna Polska, wierna naturalnemu porządkowi, zwiera szeregi i skutecznie się broni

Lata rządów obecnej większości parlamentarnej w Polsce niewątpliwie utrudniły życie rodzimym rewolucjonistom LGBT. Marsz przez instytucje, już dawno zrealizowany w wielu krajach Zachodu, w Polsce zwolnił. Nie oznacza to jednak, że się zatrzymał. Niezrozumiała niechęć większości rządzącej do wypowiedzenia tzw. konwencji stambulskiej przy zmianie władzy może doprowadzić do wprowadzenia planowej demoralizacji. Dopóki jednak na szczeblu rządowym jest trudniej, dopóty uwaga organizatorów przeróżnych parad równości skupia się na Polsce samorządowej. W poprzednim roku marsze aktywistów LGBT zawitały w regiony, które dotychczas trudno było kojarzyć z rewolucją obyczajową. Co więcej, przebieg tych wydarzeń nabrał charakteru prowokacji uderzających w to, co związane z wiarą katolicką. A to wszystko zasilane funduszami międzynarodowych korporacji, zagranicznych przedstawicielstw i „postępowych" samorządów.

Homoparady to najwyraźniej część większego planu. Od kilku lat władze Gdańska z uporem wartym lepszej sprawy wprowadzają genderowy Model na rzecz Równego Traktowania. Z kolei w lutym Rada Miasta Poznania przegłosowała Europejską kartę równości kobiet i mężczyzn. Największym echem w kraju odbiło się zaś ubiegłoroczne wprowadzenie przez Rafała Trzaskowskiego Karty LGBT+ w Warszawie. W jej ramach uczniowie stołecznych szkół mają pobierać naukę o najbardziej intymnych sprawach życia ludzkiego w zgodzie z tzw. standardami WHO, które można nazwać ordynarnym instruktarzem przygotowującym pedofilom kolejne ofiary.

Takie działania spowodowały reakcję rodziców przerażonych wizją seksualnej indoktrynacji ich pociech. Stowarzyszenie Odpowiedzialny Gdańsk prężnie działa na rzecz rezygnacji ratusza z wdrażania

eprasa.pl 33dbceaddd

deprawacyjnych programów. W Warszawie zorganizowany przez Centrum Życia i Rodziny protest rodziców zgromadził pod urzędem miasta tysiące ludzi. Na skutek nacisków organizacji prorodzinnych w ubiegłym miesiącu wojewoda wielkopolski uchylił wprowadzenie równościowej karty w Poznaniu.

(NIE)SPODZIEWANY OPÓR

Lewicowi ideolodzy, którzy liczyli na stopniowe rozmiękczanie kolejnych wspólnot samorządowych, natrafili – dla siebie chyba niespodziewanie – na opór. Okazało się bowiem, że nie tylko społecznicy, lecz także wiele samorządów, wzorem Rady Powiatu w Świdniku, zaczęło przyjmować deklaracje przeciw szerzeniu ideologii LGBT. Te słuszne działania zbiegły się z zaprezentowaniem w kwietniu ubiegłego roku Samorządowej karty praw rodzin. Projekt przygotowany przez blisko 20 organizacji prorodzinnych z Instytutem Ordo Iuris na czele wyszedł naprzeciw oczekiwaniom wielu rodziców, aby już na poziomie samorządowym otrzymać skuteczne narzędzia ochrony rodziny. Co ważne, karta odwołuje się wprost do konstytucji i zawartych w niej artykułów określających i chroniących małżeństwo, rodzinę, prawo rodziców do wychowania dzieci w zgodzie z przekonaniami, a także zapewniających ochronę dzieci m.in. przed demoralizacją.

W dokumencie, który ma charakter programowy i kierunkujący, jednocześnie proponuje się samorządom kilka konkretnych rozwiązań, chociażby ułatwienie rodzicom weryfikacji działań organizacji zewnętrznych i realizowanych przez nie w szkołach działań wychowawczych. Poza tym według zapisów SKPR programy współpracy z organizacjami pozarządowymi powinny wykluczać finansowanie projektów podważających autonomię rodziny czy tożsamość małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny. W obszarze gospodarczym w karcie postuluje się wyróżnianie przedsiębiorców przyjaznych rodzinie, a „family mainstreaming" to postulowana zasada, według której uchwalenie aktu prawa miejscowego powinno być poprzedzone określeniem jego wpływu na życie rodzin.

Jako pierwszy w Polsce kartę przyjął powiat łowicki. W ślad za nim poszły kolejne samorządy z: Lubelszczyzny, Podkarpacia, Małopolski, Mazowsza, Dolnego Śląska, Pomorza, Kujaw i ziemi łódzkiej.

Jak się można było spodziewać, deklaracje samorządów przeciw szerzeniu ideologii LGBT spotkały się z gwałtownym atakiem ideologów LGBT, choć wbrew ich oskarżeniom dokumenty te nie piętnują osób, lecz działania publiczne inspirowane wywrotowymi ideami. Natomiast atak na Samorządową kartę praw rodzin, która nie zajmuje się skłonnościami seksualnymi, jest bardziej zaskakujący. Zarówno deklaracje, jak i samorządowa karta zostały potępione jako dokumenty podsycające nienawiść do osób o homoseksualnych skłonnościach. W sieci pojawił się tzw. Atlas Nienawiści – strona służąca grupom LGBT do piętnowania prorodzinnych samorządów. Atlas posłużył też do przeniesienia kłamliwych ataków na forum europejskie. W listopadzie zeszłego roku w Parlamencie Europejskim troje działaczy z Polski zaalarmowało o tworzonych rzekomo w Polsce tzw. strefach wolnych od LGBT. Wkrótce potem europosłowie przyjęli rezolucję, w której m.in. umieszczono stwierdzenie, jakoby Samorządowa karta praw rodzin przyczyniała się do dyskryminacji „rodzin niepełnych oraz rodzin LGBTI". Rezolucja PE posłużyła rodzimym tęczowym działaczom do straszenia prorodzinnych gmin, powiatów i województw wizją utraty europejskich funduszy. Jak jednak wykazał w swojej analizie Instytut Ordo Iuris, rezolucja PE nie wywołuje żadnych skutków prawnych, a tym bardziej nie grozi wspólnotom samorządowym utratą unijnych pieniędzy.

Fala oszczerstw jednak nie ustawała. Na perfidny pomysł wpadł inny aktywista, który pod tablicami informacyjnymi przy wjazdach do kilku miejscowości umieścił łudząco podobne do prawdziwych tablice z napisem: „Strefa wolna od LGBT". Zdjęcia trafiły do Internetu, a Guy Verhofstadt, szczególnie niechętny Polsce europoseł, wezwał Komisję Europejską do „podjęcia natychmiastowych działań przeciwko obrzydliwym praktykom oraz polskim władzom, które wystawiły te znaki przeciw LGBT".

Wkrótce po tym wydarzeniu aktywiści LGBT rozpoczęli kolejną akcję. Tym razem nakłaniali zagraniczne miasta i regiony do zrywania współpracy z polskimi samorządami, które przyjęły prorodzinne uchwały. Ofiarą takich działań padł m.in. małopolski Tuchów.

NERWOWOŚĆ AKTYWISTÓW

W sukurs tęczowym działaczom przyszedł rzecznik praw obywatelskich, pozywając do sądów administracyjnych kolejne gminy przyjmujące uchwały przeciw ideologii LGBT. W tej sytuacji Instytut Ordo Iuris udzielił im pomocy poprzez przyłączenie się do postępowań. Jednocześnie pierwsze samorządy, które przyjęły SKPR i w wyniku czego zostały umieszczone w tzw. Atlasie Nienawiści, przekazały już prawnikom instytutu pierwsze pełnomocnictwa do wniesienia pozwów sądowych w obronie reputacji i dobrego imienia.

Zastanawiająca jest nerwowość, z jaką na prorodzinną aktywność samorządową zareagowali aktywiści politycznego ruchu homoseksualnego. Być może uznali, że przyjęcie przez Polskę samorządową prorodzinnego oblicza może jeszcze bardziej utrudnić im marsz przez rodzime instytucje. Jakiekolwiek jednak są ich motywacje, wyraźnie widać, że nie cofną się przed najbardziej oszczerczymi i kłamliwymi działaniami. To zaś oznacza jedno – konieczna jest stała współpraca rodzin, organizacji działających na rzecz ich praw oraz władz samorządowych. Budowane zaufanie owocuje poczuciem solidarności, a solidarność przynosi skuteczność działań. I nie może w tym przeszkodzić pandemia powodująca poczucie zerwania z dotychczasowymi wyzwaniami. Dlatego gminy, powiaty i województwa, które przyjęły na przestrzeni ostatniego roku deklaracje przeciw szerzeniu ideologii LGBT, powinny zrobić kolejny krok i wdrożyć Samorządową kartę praw rodzin.

Warto przekonywać kolejnych włodarzy do podjęcia prorodzinnych działań, samemu inicjować obywatelskie inicjatywy uchwałodawcze, a także w miarę możliwości organizować wydarzenia publiczne takie jak Marsze dla Życia i Rodziny. Odbudowanie w Polsce kultury, w której rodzina będzie zajmowała pierwszorzędne miejsce, jest możliwe tylko poprzez stałą współpracę i wdrażanie konkretnych rozwiązań. A w dobie rozkładu więzi społecznych i zapaści demograficznej powinniśmy o to usilnie zabiegać.

Centralne programy wspierające rodzinę finansowo są potrzebne i być może wystarczą do wygrania tych czy kolejnych wyborów, jednak nie przyczynią się do budowania trwałej wspólnoty – rodziny rodzin. O to musimy zadbać sami, zaczynając od siebie i najbliższego otoczenia. Epidemia kiedyś minie. O prawa rodzin trzeba będzie dbać również w nowej rzeczywistości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest koordynatorem projektu Samorządowej karty praw rodzin.

eprasa.pl 33dbceaddd

FOT. ALEKSANDRA SZMIGIEL/REPORTER

Z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem, liderem PSL i kandydatem na prezydenta
rozmawia Marcin Makowski

Pucze źle się kończą

MARCIN MAKOWSKI: Jest pan za wyborami w maju czy przeciw nim?

WŁADYSŁAW KOSINIAK-KAMYSZ: Uważam, że majowe wybory należy przełożyć ze względu na zdrowie i życie Polaków. I przestać zajmować się kampanią, a zacząć pomagać przedsiębiorcom, pracownikom i rolnikom dotkniętym suszą.

W niedawnym wystąpieniu mówił pan jednak, że w wyborach wystartuje, ponieważ „Polski nie można oddać walkowerem". Czyli uważa pan, że zagrażają one życiu Polaków, ale weźmie w nich udział?

Jeśli wybory się odbędą, to jako kandydat wezmę w nich udział. Jednak najpierw zrobię wszystko, żeby przesunąć je na bezpieczny termin. Moje zdanie podziela nie tylko większość opozycji, lecz także niektórzy politycy Zjednoczonej Prawicy. Przecież Jarosław Gowin stwierdził nawet, że to wybór między życiem a śmiercią – ja wybieram życie.

Ale skoro tak pan stawia sprawę, to nie należy partycypować w narażaniu Polaków?

Mam poczucie, że nieodpowiedzialnością byłoby wycofanie się z placu boju, nawet jeśli walka jest nieczysta. Przypominam, że nie przyłożyłem w Sejmie ręki do głosowania korespondencyjnego w żadnej jego wersji. Całą odpowiedzialność za przeprowadzenie wyborów bierze na siebie PiS – nie my. Jarosław Kaczyński na pewno by chciał, aby wszyscy kontrkandydaci Andrzeja Dudy się wycofali, ale nie zamierzam tego zadania ułatwiać. Wybory nie są po to, aby urzędujący prezydent czuł się komfortowo.

I nawet przez chwilę nie zaświtał panu w głowie pomysł, żeby uczynić z siebie Rejtana czasów pandemii?

Nasza historia zna romantyczne bojkoty wyborów, które nic nie dały. Tak było przed drugą wojną światową. Opozycja wycofała się z wyborów do Senatu, nie brała udziału w głosowaniu, a nie uchroniło to Polski przed klęską wrześniową. Nikt o tych politykach dzisiaj nie pamięta. Mamy natomiast inny punkt odniesienia. W 1947 r., gdy Stanisław Mikołajczyk czuł, że wybory mogą być sfałszowane, i tak w nich wystartował,

eprasa.pl 33dbceaddd

aby dać Polakom nadzieję. Oczywiście zachowując proporcję miejsca i czasu, wolę postawę Mikołajczyka.

Część środowiska „Gazety Wyborczej" uważa, że udział w wyborach je legitymizuje. Jeśli pan wystartuje i przegra, to nie będzie można z czystym sumieniem powiedzieć, że nie były legalne.

Nie zgadzam się z takim postawieniem sprawy. Startując w wyborach, będę miał znacznie lepsze instrumenty, żeby sprawdzić, czy zostały sfałszowane, niż gdybym stał z boku. To jest przecież miecz obosieczny. Przy bojkocie ktoś mógłby powiedzieć: „Ależ proszę pana, nie startował pan, a teraz chce nas rozliczać z rzetelności?". Każde wybory podlegają post factum ocenie ich legalności. Zwłaszcza teraz będziemy się przyglądać każdej procedurze i każdemu liczącemu głosy patrzeć na ręce. To również rola Sądu Najwyższego i opinii publicznej.

A może wcielić w życie plan Romana Giertycha, który zakłada, że jeżeli zwycięży Duda, to opozycja gremialnie uznaje, iż wybory były nielegalne, a jeśli kandydat opozycji, to że wszystko odbyło się lege artis?

Lubię stawiać sprawy jasno. Wybory, jeżeli dojdzie do udowodnionego fałszerstwa – niezależnie od tego, kto wygra – są nieważne. Jeśli nie da się tego udowodnić, to nawet po przegranej trzeba zacisnąć zęby i iść dalej.

Wróćmy w takim razie do idei przesunięcia wyborów. Jak należałoby to zrobić? Borys Budka przedstawił niedawno plan Platformy, zakładający utrzymywanie stanu klęski żywiołowej do przyszłego roku, zmianę ordynacji wyborczej i przeprowadzenie głosowania w maju 2021 r. To sensowna alternatywa?

Zawsze odnoszę się z szacunkiem do osób szukających rozwiązania w trudnej sytuacji. Robi to od pewnego czasu Jarosław Gowin, zrobił to Borys Budka, ale to ja jako pierwszy mówiłem, że wybory trzeba przenieść i że nie będę kwestionował mandatu Andrzeja Dudy, gdyby rządził nawet rok dłużej, niż trwa jego kadencja. W Sejmie leży uchwała Koalicji Polskiej, wzywająca rząd do ustanowienia stanu klęski żywiołowej. I to jest najlepsze rozwiązanie, bo opisane w prawie. Rozprzestrzenianie się choroby zakaźnej jest jedną z podstaw ogłoszenia takiego stanu i należy to zrobić.

Problem polega na tym, że nie można korzystać z tego narzędzia do przesuwania wyborów.

Owszem. Tyle że tu nie chodzi w pierwszej kolejności o wybory, ale o odzwierciedlenie stanu faktycznego, w którym od kilku tygodni wszyscy funkcjonujemy.

Tymczasem przewodniczący Budka chciałby wprowadzić stan klęski żywiołowej niejako „na sztywno", co ociera się o rozwiązanie niekonstytucyjne. Ktoś je z panem z Platformy konsultował?

Nie. Mam swoje pomysły, z nikim z PO na temat ich planu nie rozmawiałem. Na pewno wybory za rok byłyby jednak bezpieczniejsze niż przeprowadzone w tej chwili. Nie zakładam scenariusza równie fatalnego, co minister Łukasz Szumowski, że do głosowania tradycyjnego moglibyśmy pójść dopiero za dwa lata. Sądzę, że poradzimy sobie z epidemią wcześniej. Moim zdaniem, gdyby we wrześniu nie było zachorowań i nie mielibyśmy drugiej fali koronawirusa, stan klęski należałoby odwołać i głosować tak szybko, jak to możliwe.

Tak mówi rozdział XI, art. 228, ust. 5 konstytucji – stan klęski żywiołowej powinien trwać możliwie najkrócej, a nie – na wszelki wypadek – rok. Zapytam w takim razie raz jeszcze, czy plan Budki jest niekonstytucyjny?

Nie oceniałbym tego tak radykalnie. Zwłaszcza że za chwilę możemy mieć drugą klęskę żywiołową – pożarów i suszy. To wszystko nałożone na koronawirusa byłoby katastrofalne dla państwa i uzasadniało utrzymywanie stanu klęski żywiołowej. Owszem, żyjemy w takich czasach, że projektowanie czegokolwiek na dłuższą metę jest wróżeniem z fusów, ale nie czepiałbym się terminu za rok. Podobnie zrobiła przecież Wielka Brytania, przesuwając wybory samorządowe.

Nie rozmawiał pan o scenariuszu wyborczym z Borysem Budką, ale czy rozmawia pan z liderem Porozumienia? Może należałoby zmienić konstytucję i przedłużyć kadencję prezydenta – oraz wszystkich następnych – o dwa lata bez możliwości reelekcji?

Jako Koalicja Polska spotykamy się z Jarosławem Gowinem, w rozmowach uczestniczy również Paweł Kukiz. Mamy nadzieję, że politycy Porozumienia podtrzymają swoje zdanie, że nie ma możliwości przeprowadzenia wyborów w maju. My wyciągamy rękę, mówiąc, że jesteśmy w stanie negocjować nawet zmianę konstytucji odnośnie do kadencji prezydenta, ale maksymalnie o rok, nie dłużej.

A ile jest prawdy w plotkach, że dzisiaj bliżej Porozumieniu do PSL niż do PiS?

Uważam, że w tej chwili podział na formacje polityczne nie jest tak ważny jak podział na frakcje „zdrowego rozsądku" oraz „utrwalenia władzy za wszelką cenę". W tej pierwszej grupie znajduje się większość opozycji i część Zjednoczonej Prawicy. Liczę, że nasze szeregi będą rosły. Mówiąc jednak na przekór temu, co niektórzy mogliby chcieć usłyszeć, moim zdaniem upadek czy destabilizacja rządu nie byłyby w tej chwili dobre. PiS wygrał wybory, ma prawo rządzić, a ciągłość władzy w czasach pandemii jest potrzebna.

Czyli nie doradzałby pan swojemu koledze z Krakowa, żeby rozpoczął pucz?

Jako ludowiec będę ostatnim, który doradzałby komukolwiek pucz. W maju 1926 r. już raz źle się to dla Polski skończyło.

Może to całe dzielenie włosa na czworo na nic, bo minister Jacek Sasin stwierdził, że kto nie chce wyborów w ustawowym terminie, ten „nawołuje do łamania konstytucji". Poza tym karty do głosowania są już drukowane, więc klamka zapadła.

Pytanie, na jakiej podstawie drukarnie drukują pakiety wyborcze, skoro Państwowa Komisja Wyborcza została pozbawiona tych praw? Dlaczego zajmuje się tym wicepremier Jacek Sasin, który dodatkowo chce orzekać jak jednoosobowy Trybunał Konstytucyjny? Nie wiem. Ale na miejscu rządu nie byłbym tak pewny swego. Ustawa o wyborach korespondencyjnych musi przecież wrócić z Senatu do Sejmu i tam być przegłosowana. Dopiero od tego zależy, czy to rozwiązanie wejdzie w życie. Na teraz ono nie funkcjonuje. Podejmując dzisiaj działania organizujące wybory kopertowe, władza działa w próżni prawnej.

A co, gdyby przestać się tak szarpać z wyborami? Bukmacherzy dają panu po raz pierwszy większe szanse na zajęcie drugiego miejsca w maju niż Małgorzacie Kidawie-Błońskiej. Czy to nie kusi?

Gdybym zaczął tak kalkulować, przełożenie wyborów o rok nie byłoby moim głównym postulatem. O bukmacherach nawet nie wiedziałem (śmiech). A na poważnie, nie będę się zachłystywać dobrymi sondażami. Nie rozpaczałem, kiedy były gorsze, szampana nie otwieram, gdy idą w górę. Jedyny prawdziwy sondaż poparcia, który mnie interesuje, to wybory.

eprasa.pl 33dbceaddd

Może o bukmacherach po prostu nie chciał pan słyszeć, bo ci sami analitycy – gdyby znalazł się pan w drugiej turze z Andrzejem Dudą – złotówkę postawioną na Kosiniaka-Kamysza mnożą razy osiem. Czyli raczej w pana nie wierzą.

Jeśli o to chodzi, to Andrzej Duda jest najlepszym przykładem, że wszelkie przewidywania mogą spełznąć na niczym, gdy daje się wyborcom szansę wybrać tak, jak myślą. Ja również mogę niektórych zaskoczyć. A jeśli się nie uda? Przed nami ciężkie lata kryzysu gospodarczego, jako poseł i szef klubu będę miał co robić i komu pomagać.

Myśli pan również o tym, kto jest dzisiaj liderem opozycji?

Znamy wielu takich, którzy samodzielnie obwoływali się liderami. Większość z nich źle politycznie skończyła. Ja skupiam się na moich zadaniach, dzisiaj to wyścig wyborczy o pałac prezydencki.

Nie wierzę, że Polaków nadal będzie interesować wojna Platformy Obywatelskiej z PiS. To jest przestrzeń dla nas

Przecież widzi pan, jak Platforma potyka się o własne sznurówki, a Małgorzata Kidawa-Błońska o własny język. Nie ma pan ochoty tej słabości wykorzystać?

Widzę dziś wielką szansę dla Koalicji Polskiej na zdobycie silnej pozycji w polityce. Czuję, że jest zapotrzebowanie na formację racjonalną, dającą poczucie stabilizacji, przewidywalności, stawiającą na dialog.

Po co ta asekuracja? Może trzeba skończyć z mentalnym zapóźnieniem polskiej polityki, odmłodzić szeregi i zerwać z wizerunkiem wiecznego koalicjanta?

Jeśli chodzi o młode pokolenie, to wierzę, że to czas na jego rewolucję. Koronawirus zredefiniował cele polityczne, unieważnił spory o to, kto jest betonem, a kto styropianem, zmienił spojrzenie na gospodarkę i państwo. Niedługo zaprezentuję nowy program wyborczy, uwzględniający te zmiany. Mówiąc wprost: nie wierzę, że Polaków nadal będzie interesować wojna PO z PiS. To jest przestrzeń dla nas.

A jak pan, jako lekarz, ocenia rządową skuteczność walki z koronawirusem? Zacznijmy od testów – czy należy radykalnie zwiększyć ich liczbę?

Wzorowałbym się na doświadczeniach niemieckich, gdzie testów przeprowadza się bardzo dużo. Musimy je robić punktowo wśród grup ryzyka i pracowników służby zdrowia, ale na masową skalę. Uważam, że 50 tys. testów dziennie to poziom, który dawałby gwarancję całkowitego odmrożenia gospodarki.

A maseczki – pana zdaniem będziemy je nosić aż do wynalezienia szczepionki, jak stwierdził Łukasz Szumowski?

Uważam, że to było usprawiedliwienie dla konferencji, która odbyła się nieco później, gdzie minister przedstawił swoje rekomendacje wyborcze z wyborami tradycyjnymi za dwa lata na czele. Niestety, widać, jak minister zdrowia, którego w wielu kwestiach szanuję, rzuca się od ściany do ściany. Przecież pod koniec lutego wypowiadał się kpiącym tonem o konieczności noszenia maseczek, a dzisiaj chce je nam założyć na kilkanaście miesięcy. W tej sprawie jestem większym optymistą. A dlaczego w lutym twierdził inaczej? Bo nie było maseczek dla szpitali. Pytanie, dlaczego Agencja Rezerw Materiałowych kupowała wtedy miał węglowy, a sprzedawała sprzęt ochrony medycznej, to osobna kwestia.

W rekomendacji Łukasza Szumowskiego więcej było polityki czy głosu profesora medycyny?

Łukasz Szumowski nie jest ministrem i politykiem od wczoraj i to nie jego pierwszy resort. Nie oszukujmy się zatem, że da się te dwie rzeczy rozdzielić. Niestety, rekomendacja, którą przedstawił, była podyktowana bardziej interesem własnej formacji niż kwestiami zdrowotnymi.

Wielu polityków opozycji uważa, że dzisiaj wielkie inwestycje infrastrukturalne, takie jak Centralny Port Komunikacyjny czy przekop Mierzei Wiślanej, należy zawiesić na kołku. Rząd argumentuje, że to błąd, ponieważ należy finansować przedsięwzięcia infrastrukturalne, myśląc o czasie po kryzysie. A pan?

Jeśli chodzi o CPK, to krytykowałem ten projekt już w fazie pierwszych planów, bez względu na sytuację na rynku lotniczym i koronawirusa. Uważam, że powinniśmy rozwijać porty regionalne, zamiast pompować miliardy w molocha, który utrudni życie lotnisk poza Warszawą. Podobnie z przekopem Mierzei – pytanie, na jakim etapie jest ten projekt? Czy są już zabezpieczone środki na utrzymanie głębokości przepływu statków do Elbląga, który uzasadniałby jego rentowność? Z tego, co wiem, obecnie nie ma pewnych pieniędzy na ten cel, a bez nich sam przekop nic nie da. Zamiast tego powinniśmy się krótkoterminowo skupić na uruchomieniu funduszu płynnościowego dla firm w Polsce oraz ułatwieniu inwestycji. To najlepszy pomysł i gwarancja stabilności gospodarki oraz utrzymania retencji żywnościowej w kraju.

Dlaczego głosował pan przeciwko społecznemu projektowi zaostrzenia prawa aborcyjnego oraz przeciw umożliwieniu dzieciom uczestnictwa w polowaniach pod opieką dorosłych? Oberwało się panu od działaczy pro-life (że „fałszywy katolik") i od myśliwych (że „fałszywy ludowiec") jednocześnie.

Głosowałem przeciw, ponieważ uważam, że to najgorszy moment na kolejną wojnę światopoglądową. Są ważniejsze sprawy, a kolejne spory nie pomogą w wychodzeniu z koronawirusa. Jeśli chodzi o aborcję, to jestem zwolennikiem kompromisu wypracowanego w 1993 r. Obłudne są zapowiedzi PiS, że w końcu zaostrzy ustawę. Wszystkie wnioski są po kolei zamrażane. Ja w tym udziału brać nie będę.

A polowania?

Wie pan, jeśli się ma swoje zdanie, to nie zawsze się wszystkim spodoba. Ale najbardziej ludziom nie podoba się, jak polityk nie ma żadnego zdania. Uważam, że nie należy wprowadzać takich regulacji. Myślistwo i łowiectwo są potrzebne, ale mogą się obyć bez udziału dzieci.

No i po co panu ta prezydentura? Będzie miał pan na głowie podobnych galimatiasów więcej.

Po to, aby traktować Polaków tak samo i pokazać im, że mogą mieć wsparcie w prezydencie, nawet jeśli na niego nie głosowali.

Zupełnie jak Andrzej Duda w 2015 r.

Tyle że Andrzej Duda miał być prezydentem wszystkich Polaków, a został prezydentem Jarosława Kaczyńskiego.

I pana historia oczywiście będzie inna?

Gdybym w to nie wierzył, tobym nie startował.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 33dbceaddd

Proces niemieckiego przedsiębiorcy Hansa G. ws. mowy nienawiści wobec Polaków, Gdańsk

FOT. ŁUKASZ DEJNAROWICZ/FORUM

Polonofobia gospodarcza

Antypolonizm przejawia się nie tylko w próbach zakłamywania historii drugiej wojny światowej. Elementami polonofobii są również dyskryminacja i wrogość wobec pracujących Polaków. W kraju i poza jego granicami

SZEF: ZABIŁBYM WSZYSTKICH POLAKÓW

– Nienawidzę Polaków, nienawidzę ich coraz bardziej. Nie to, że ich nie lubię, nienawidzę ich. Oni wszyscy są cwelami i idiotami. Lepiej jest w Afryce. Jesteście gównem – tak w publicznie wygłaszanych monologach miał mówić o Polakach Hans G., działający na Pomorzu niemiecki pracodawca. – Tak, jestem! Jestem hitlerowcem! Ale to wina tego kraju, że taki jestem. [...] Zabiłbym wszystkich Polaków – takie słowa niemieckiego biznesmena też słychać było na zarejestrowanych nagraniach, których fragmenty wyemitowała TV Republika.

W 2019 r., po kilkuletnim procesie, Sąd Okręgowy w Gdańsku uznał Hansa G. za winnego mowy nienawiści wobec Polaków. Nakazał mu przeprosiny powódki i wpłatę 50 tys. zł zadośćuczynienia na rzecz Muzeum Piaśnickiego w Wejherowie. Piaśnica – po obozie koncentracyjnym i zagłady Stutthof – była największym miejscem kaźni ludności polskiej na Pomorzu w okresie drugiej wojny światowej. W pobliskich lasach Niemcy rozstrzelali ponad 12 tys. przedstawicieli inteligencji.

Dowodem w procesie cywilnym oraz karnym było m.in. kilka godzin nagrań o podobnej, polakożerczej wymowie. Podczas procesu, który swojemu niemieckiemu pracodawcy wytoczyła Natalia Nitek-Płażyńska, niemiecki biznesmen nie kwestionował prawdziwości nagrań. Tłumaczył się, że jest cholerykiem, a w tak ostrych słowach o Polakach wypowiadał się pod wpływem stresu.

W apelacji Hans G. zażądał przeprosin od Nitek-Płażyńskiej za naruszenie jego dóbr osobistych i wygrał. Gdańska sędzia Małgorzata Zwierzyńska zmniejszyła kwotę, którą Hans G. ma wpłacić na rzecz Muzeum Piaśnickiego z 50 tys. do 10 tys. zł, a jednocześnie nakazała Nitek-Płażyńskiej przeproszenie dawnego niemieckiego pracodawcy oraz wpłatę 10 tys. zł na konto Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy za to, że przez kilka miesięcy z ukrycia nagrywała Hansa G. Nitek-Płażyńska została też przez gdański sąd obciążona kosztami procesu w wysokości ok. 6 tys. zł. „Jestem zbulwersowana, ale nie poddaję się! Będzie kasacja, będę dalej walczyła. Tu chodzi o NASZĄ POLSKĄ GODNOŚĆ" – napisała po wyroku Natalia Nitek-Płażyńska.

W tej samej sprawie w procesie karnym przeciwko Hansowi G. Sąd Rejonowy w Wejherowie skazał niemieckiego biznesmena za znieważenie swoich pracowników na karę ośmiu miesięcy więzienia w zawieszeniu na dwa lata oraz karę grzywny w wysokości 20 tys. zł.

WYZYSK PRACOWNIKÓW

Przykładem polonofobii gospodarczej może być też to, że tysiące polskich firm działających w innych państwach UE ma coraz większe kłopoty z kontrolami. „Francuscy inspektorzy pracy dostali w ostatnim czasie od władz polecenie, by rzucić inne zajęcia i skupić się na kontrolowaniu firm z Europy Środkowo-Wschodniej, w tym z Polski" – podała w styczniu „Rzeczpospolita". Polacy znaleźli się na celowniku służb, ponieważ – jak zauważył dziennik – „z powodzeniem konkurują z lokalnymi przedsiębiorcami z branży budowlanej, opiekuńczej czy w usługach". Jak zauważyła „Rz", w odpowiedzi na zagraniczne praktyki Ministerstwo Rozwoju przygotowało czarną księgę barier, które polskie firmy napotykają w państwach UE.

Władze w Warszawie pomagają również polskim pracownikom, którzy padli ofiarą wyzysku przez zagranicznych pracodawców. A o tych od lat informują zarówno polskie, jak i zagraniczne media. Polskich imigrantów sezonowych w Holandii „dojnymi krowami" nazwała w zeszłym roku gazeta „NRC Handelsblad", której dziennikarze ujawnili wyzysk zagranicznych robotników tymczasowych w szklarniach. Skalę wyzysku polskich robotników niewykwalifikowanych, a także tych, którzy nie znają języka obcego, badali również naukowcy oraz dziennikarze w Wielkiej Brytanii. Emigranci muszą uważać zwłaszcza na agencje pracy tymczasowej, które często zmuszają zwerbowanych pracowników do wyczerpującej pracy za grosze. Zorganizowane grupy oszustów w ostatnich latach werbowały też Polaków do pracy w Norwegii czy w Niemczech. Polakom kazano m.in. płacić horrendalnie wysokie stawki za zakwaterowanie w fatalnych warunkach, odmawiano wypłaty nadgodzin i wprowadzano wiele „kar" za rzekome przewinienia, które potrącano z i tak niskiego wynagrodzenia. Problem wyzysku dotyczy nie tylko robotników niewykwalifikowanych.

W 2019 r. OPZZ alarmowały, że warunki zatrudnienia opiekunek i opiekunów osób starszych zatrudnionych w Niemczech często przypominają współczesne niewolnictwo: opiekunki zmusza się do pracy po 24 godziny na dobę za niskie wynagrodzenie. Przykłady można mnożyć. Wiele przypadków wyzysku Polaków za granicą zawierał ponad 400-stronicy raport przygotowany na zlecenie RPO już w 2008 r.

Pomocą ofiarom przestępstw zajmuje się m.in. Fundusz Sprawiedliwości. „Na moje polecenie wszystkie ośrodki pomocy Funduszu Sprawiedliwości będą zwracały szczególną uwagę na przestępstwa związane z łamaniem praw pracowniczych. Ofiarom przestępstw zapewniamy pomoc prawną, materialną oraz psychologiczną. Polacy muszą być pewni, że mają zapewnione szybkie, skuteczne i profesjonalne wsparcie państwa. Kraje, które uzurpują sobie prawo do definiowania, czym jest praworządność i w jaki sposób mamy jej przestrzegać, same takimi działaniami łamią europejskiego ducha wspólnoty. Zapewniam „praworządną" Europę, że każdy przypadek polonofobii gospodarczej spotka się z naszą zdecydowaną reakcją. Unia hipokrytów i wyzyskiwaczy to na pewno nie nasza unia" – mówi nadzorujący pracę Funduszu wiceminister sprawiedliwości Marcin Romanowski.

Aby otrzymać wsparcie, skontaktuj się z Linią Pomocy Pokrzywdzonym pod numerem +48 222 309 900, opisz swoją sprawę na info@numersos.pl lub skieruj się bezpośrednio do placówki pomocy, która znajduje się w twojej okolicy. Ich wykaz znajdziesz pod adresem: www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl.

eprasa.pl 33dbceaddd

FOT. ADOBE STOCK

Siła

Rafał A. Ziemkiewicz

UE to wielka bezwładna maszyna biurokratyczna. Na wszelkie wydarzenia, nawet tak dotkliwe jak epidemia COVID-19, reaguje z opóźnieniem, a spore jej obszary zgodnie nie reagują w ogóle, kontynuując wcześniejsze działania, nawet jeśli zupełnie straciły sens. Nie inaczej jest z prowadzonym od lat atakiem unijnej biurokracji na Polskę

Na fali wywołanych epidemią emocji w wielu krajach Zachodu upadło dotychczasowe tabu europoprawności i Unia Europejska zaczyna być coraz otwarciej krytykowana. Już nie jest to tylko krytyka jakichś konkretnych „bolączek" – ta była dozwolona i wcześniej, acz pod warunkiem obudowywania odpowiednimi zastrzeżeniami. Teraz nawet media lewicowo-liberalne, by nie minąć się za bardzo z nastrojami odbiorców, nie stronią od głosów, że Unia kompletnie nie sprostała wyzwaniu.

Komisja Europejska, która do wszystkich tych głosów nie uważała za konieczne się ustosunkowywać (może poza jednym wystąpieniem jej przewodniczącej: ogólnikowymi przeprosinami tych wszystkich, którzy poczuli się zawiedzeni biernością Unii, połączonymi z obietnicą, że zaniechania zostaną nadrobione), wystosowała specjalny list do rządu polskiego, strofujący nas za to, że niewystarczająco informujemy społeczeństwo o wsparciu finansowym, którego Unia udziela Polsce na walkę ze skutkami epidemii. Owo wsparcie finansowe to zgoda, byśmy mogli przesunąć na ten cel fundusze, które Polska obiecane miała i ma na realizację innych celów, głównie infrastrukturalnych.

Tego rodzaju listowne pouczanie kraju członkowskiego przez Komisję jest zdarzeniem bezprecedensowym, ale wiele wyjaśnia osoba posłańca. Dyrektor Przedstawicielstwa KE w Polsce, Marek Prawda, w wywiadach dodał do listu parę słów od siebie: nie dość, że rząd „nie informuje rzetelnie" Polaków o tym, jak wiele zawdzięczają Unii, to jeszcze „słyszy się bardzo dużo uwag otwarcie antyunijnych". A to, zdaniem pana Prawdy, „sprzyja traktowaniu Unii jako obcego imperium, a nie wspólnoty, której jesteśmy częścią i na którą mamy wpływ".

Marek Prawda jest na swoim stanowisku postacią symboliczną – za poprzedniej władzy był bowiem przedstawicielem Polski przy UE, przesiadł się na stronę przeciwną (co też swoją drogą precedensu w Europie nie miało) po tym, jak został odwołany przez rząd PiS; trudno o lepszy przykład człowieka, który wybrał „narodowość unijną". Gdy taki człowiek oznajmia nam, że Unia nie jest „obcym imperium", niemal na jednym oddechu podkreślając, że „ma ona prawo i obowiązek" interweniować, gdy Polska narusza jej „wartości", trudno opędzić się od skojarzeń ze sławną deklaracją towarzysza Moczara: „Dla nas, partyjnych, ojczyzną jest Związek Radziecki".

Trudno też w kontekście całego listu oprzeć się skojarzeniu bardziej sympatycznemu, z piosenką Wojciecha Młynarskiego o dwóch koniach, którą wszyscy znają, ale na wszelki wypadek przypomnijmy: z dwóch koni w zaprzęgu jeden był nieposłuszny, a drugi grzeczny, więc woźnica okładał tego grzecznego, a niegrzecznego straszył, że jeśli dalej się będzie stawiać, to też oberwie. No, może w tym przypadku zamiast „grzeczności" trzeba by mówić raczej o koniu słabszym i silniejszym.

RÓWNI I RÓWNIEJSI

Komisja Europejska, ze swym wybiórczym oburzeniem na „nierzetelne informowanie" o tym, jak bardzo pomaga państwom członkowskim w walce z koronawirusem, nie jest wśród eurokratycznych ciał wyjątkiem. Na okoliczność Polski i decyzji o „zawieszeniu" Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego do czasu rozpatrzenia przez TSUE wniosków polskiej opozycji rzecznik trybunału powtórzył, że „decyzje TSUE są ostateczne i nie mogą być kwestionowane na podstawie ustawodawstwa krajowego ani decyzji krajowych sądów konstytucyjnych". Nie jest to stanowisko nowe, pozostaje ono w rażącej sprzeczności z podpisanymi traktatami oraz z orzecznictwem polskiego Trybunału Konstytucyjnego z lat 2003–2015. Trudno jednak przypomnieć sobie podobnie stanowcze wypowiedzi rzecznika Trybunału wobec Niemiec albo Hiszpanii, kiedy sądy konstytucyjne tych krajów ogłaszały nadrzędność ich krajowych konstytucji i wyroków nad TSUE, poza sprawami wyraźnie delegowanymi do kompetencji tego ostatniego w traktatach.

Trudno też sobie wyobrazić, żeby Parlament Europejski pozwolił sobie dołączyć do rezolucji w sprawie koronawirusa np. potępienie socjalistyczno-komunistycznego rządu Hiszpanii, który, popełniwszy w obliczu epidemii wszelkie możliwe błędy, ogłosił otwarcie, że dla położenia kresu „utrudniającej walkę z epidemią atmosferze bezpodstawnego krytycyzmu wobec władz" służby rządowe sięgnęły po narzędzia cenzorskie. Bez wprowadzenia stanu wojennego. Jak natomiast wszyscy wiedzą, rezolucja taka stała się kolejną okazją do skrytykowania Węgier za wprowadzenie stanu wyjątkowego, w zgodzie z konstytucją i prawem tego kraju, i Polski de facto za jego niewprowadzenie, co też wynika

eprasa.pl 33dbceaddd

rozpędu

z naszego prawa – a konkretnie z przyjętej przed 12 laty przez PO ustawy o „stanie zagrożenia epidemiologicznego".

Do tej listy szczególnych wyróżnień, które ostatnio spotkały Polskę, dodać można jeszcze interwencję unijnego komisarza ds. rynku Thierry'ego Bretona, który zapowiedział „kroki" przeciwko Polsce w związku z „nielegalnym" prawem zakazującym w obliczu epidemii wywożenia z Polski niektórych leków i środków medycznych. Oczywiście, głośne we włoskich mediach przechwycenie zamówionych przez Włochy transportów środków medycznych przez Niemcy i Francję za naruszenie „solidarności europejskiej" uznane nie były, w każdym razie nie oficjalnie ani nie na tak wysokim szczeblu.

Ten spór – nawiasem mówiąc, nie w kontekście Polski, tylko państw, których eurokraci krytykować się nie odważają – pokazuje kontekst, w jakim wszystko to się dzieje. Podczas gdy organa unijne kontynuują przyjętą przed kilku laty strategię „rozpychania się" w kompetencjach poprzez przypisywanie ich sobie wobec państw „nowej Europy", z milczącą akceptacją niezaczepianych przezornie głównych unijnych graczy, stara „prędkość" kontynentu staje przed wyzwaniem, z którym dotychczas się nie mierzyła: oczekiwaniem państw Południa, że dla ratowania ich gospodarek zaciągnięty zostanie dług na konto całej Unii. Oznacza to domaganie się – jasno sformułował to nawet prezydent Macron – aby Niemcy, którzy dotąd zarabiali na strefie euro, podzielili się teraz tymi zarobkami. Zarówno płynące z Niemiec głosy w tej sprawie, jak i np. próby wykorzystania epidemii do wyjęcia projektu Nord Stream 2 spod prawa unijnego, o których alarmuje Jacek Saryusz-Wolski, nie wróżą temu egzaminowi z „europejskiej solidarności" dobrze. Na tym tle próby egzekwowania jej od Polski żądaniem, by – skoro lepiej sobie radzi z ograniczaniem epidemii – oddała swoje środki ochronne radzącym sobie gorzej, to już ponura groteska.

To, że w Unii Europejskiej nie ma może jeszcze „pierwszej" i „drugiej" prędkości, ale na pewno są „równi i równiejsi", nie jest żadną nowością oczywiście. Nie jest też odkryciem to, że działająca „z automatu" koalicja chadeków, socjalistów i liberałów przegłosowuje bez cienia refleksji wszystko, o co prosi ją jej polski komponent. A jest w stanie – jak zauważył wspomniany już Saryusz-Wolski – przegłosować nawet to, że Ziemia jest płaska. I wreszcie nie jest żadnym odkryciem, że antypolska aktywność organów unijnych inspirowana jest z Polski. Szczególnie aroganckie podejście eurokratów właśnie do nas wynika właśnie z tego, że inne kraje nie mają takiej opozycji, która kołacze o wsparcie Unii – dokładnie wbrew demagogii dyrektora Prawdy – jak do „obcego imperium".

CORAZ MNIEJ SCHUMANA

Najciekawszym aspektem sprawy jest jednak wyraźny problem, jaki ze swoim stosunkiem do Unii Europejskiej ma obóz rządzący. Oczywiście stara się wykazywać bezpodstawność oskarżeń i to, że w prawie wspólnotowym nie ma podstaw do podejmowanych przeciwko Polsce działań. Tylko że brzmi to coraz naiwniej – bo prawo wspólnotowe jest coraz bardziej martwą literą. Prawo i Sprawiedliwość zawsze miało kłopot z określeniem swego stosunku do Unii i w ogóle Zachodu. Z jednej strony potrafi celnie punktować przejawy jego upadku i rozkładu, z drugiej zatrzymuje się na konstatacji, że tak nie powinno być i że Unia powinna być taka, jaką kiedyś była. Liczenie jednak na to, że znowu będzie tak, jak było, że Unia wróci do swych dawnych założeń i że jeszcze stanie się „Europą Ojczyzn", to po prostu mrzonki. Procesy narastające w ostatnich latach, których padamy ofiarą, będą narastać dalej – siłą rozpędu. Nawet gdyby jakimś cudem z europarlamentu wyparowali ludzie opozycji albo gdyby diametralnie się zmienili i zaczęli działać na rzecz własnego kraju.

Coraz mniej Schumana, coraz więcej Spinellego, coraz dalej od chrześcijańskich korzeni, coraz bliżej utopii Marksa. A do tego dekompozycja wywołana pogłębiającymi się sprzecznościami interesów. Zamiast deklarować, że sobie tego nie życzymy, lepiej zacznijmy się poważnie zastanawiać, w którym momencie trzeba będzie podjąć zdecydowane kroki i jakie. Czasu na to może być bowiem mniej, niż się wydaje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 33dbceaddd

Papież, wirus i „reprymenda Wielkiej Matki”

Paweł Chmielewski

Podczas gdy katolicy na całym świecie w obliczu pandemii koronawirusa pokutują za grzechy i proszą Boga o zmiłowanie, papież Franciszek straszy wiernych zemstą „Wielkiej Matki”. To planeta miałaby doświadczyć nas SARS-CoV-2, bo nie słuchaliśmy jej wcześniejszych ostrzeżeń

Zamknięte świątynie, utrudniony dostęp do sakramentów, księża karani mandatami i wysokimi grzywnami za wpuszczanie na mszę świętą nadprogramowej liczby wiernych, wreszcie odebranie wierzącym możliwości normalnego świętowania Zmartwychwstania Pańskiego… Epidemia koronawirusa to dla katolików czas bardzo trudny. W gąszczu wszystkich tych poważnych i bolesnych problemów pewnemu zapomnieniu uległ ostry wewnętrzny konflikt o przyszłość Kościoła i kształt doktryny. Nic dziwnego; w obliczu tysięcy umierających zamilkły głosy wzywające do udzielania błogosławieństw parom homoseksualnym czy dopuszczania do komunii świętej rozwodników i protestantów; nie debatuje się tyle co wcześniej o kapłaństwie kobiet ani o wyświęcaniu żonatych. Na drugi plan zszedł nawet ważny temat uporania się z kryzysem nadużyć seksualnych i odszkodowań dla ofiar molestowania. Problem jednak trwa i cały czas się pogłębia. Przypomniał nam o tym nie kto inny, ale sam Ojciec Święty.

BÓG KARZĄCY KONTRA BÓG MIŁOSIERNY

Kościół katolicki uczył zawsze, że katastrofy i plagi spadające na ludzi mogą być interpretowane jako Boża kara za grzechy i wezwanie do nawrócenia. Tak rzecz przedstawiają Stary Testament i Nowy Testament, tak mówili liczni święci. Dzisiaj wszakże prominentni kardynałowie, biskupi i teologowie niemal na wyścigi zapewniają katolików, że epidemia koronawirusa nie ma z gniewem nic wspólnego. Także w Polsce w tym tonie wypowiedział się sam prymas abp Wojciech Polak.

Skąd ta pewność hierarchów Kościoła? Na czym opierają swoje twierdzenia? Tego nikt nam nie wyjaśnia. Można tylko się domyślać, że rzecz jest wyrazem poważnego lęku współczesności przed wszelkimi odniesieniami do gniewu Pana czy piekła i kolejnym przejawem zafałszowanego rozumienia miłosierdzia. Ojciec Święty, którego pierwszym zadaniem jest umacnianie braci w wierze, powinien zająć inne stanowisko. Pytany o najgłębsze źródło pandemii, mógłby odpowiedzieć choćby tak, jak uczynił to niemiecki emerytowany kardynał kurialny, Walter Brandmüller. W artykule opublikowanym w marcu na austriackim portalu Kath.net ten ceniony historyk Kościoła napisał, że wielkim błędem współczesnych jest nader powierzchowne szukanie przyczyn epidemii. Zło koronawirusa – stwierdził – ma swoje właściwe źródło w naszym grzechu, buncie i pogardzie dla Stwórcy. Stąd epidemię pokonać można wyłącznie nawróceniem; dopiero gdy człowiek uporządkuje swoją relację z Bogiem, takie problemy jak epidemia ujrzeć będzie można we właściwym świetle. To wyjaśnienie głęboko duchowe, przypominające, że my, chrześcijanie, choć żyjemy w tym świecie, to nie jesteśmy z tego świata, a naszą prawdziwą ojczyzną jest niebo. Pytany o sprawę papież Franciszek nie poszedł jednak drogą kard. Brandmüllera. Zamiast tego dołączył do chóru tych, którzy odbierają Panu Bogu możność wypowiedzenia swojego gniewu wobec grzechów człowieka; więcej, okazał

eprasa.pl 33dbceaddd

FOT. VATICAN POOL/GETTY IMAGES

się jego awangardzistą. Franciszek nie poprzestał na stwierdzeniu, że pandemia nie może być sądem Bożym, ale jest raczej wezwaniem do nawrócenia ekonomicznego. Poszedł dalej. Stwierdził, że koronawirusa ktoś nam zesłał, ale nie Bóg, tylko Matka Natura.

22 marca hiszpański dziennikarz Jordi Évole rozmawiał z papieżem o pandemii. Zapytał, czy jest możliwe, że koronawirus to godzina rozliczenia natury z ludzkością. „Jest takie powiedzenie, które na pewno znasz – odparł papież. – Bóg przebacza zawsze, my czasami, natura – nigdy. Ogień, trzęsienia ziemi… natura tupie nogą, żebyśmy się o nią zatroszczyli" – powiedział. Analogiczną myśl Ojciec Święty powtórzył nieco później w wywiadzie opublikowanym 8 kwietnia przez brytyjski „The Tablet". Jeszcze raz zacytował wspomniane powiedzenie i dodał: „Nie odpowiedzieliśmy na katastrofy. Kto mówi dziś o pożarach w Australii, kto pamięta, że 18 miesięcy temu łódź mogła przepłynąć biegun północny, bo stopniały wszystkie lodowce? Kto mówi dziś o powodziach? Nie wiem, czy te rzeczy są zemstą natury, ale na pewno są jej odpowiedzią".

KARZĄCA „WIELKA MATKA"

Co to tak właściwie znaczy? Czym – a może raczej kim – jest w ujęciu papieża Franciszka natura, która jeżeli nawet się nie mści (a przecież Ojciec Święty dopuszcza taką możliwość!), to co najmniej „tupie nogą" i udziela nam reprymendy? Czy to tylko pusta retoryka i obrazowa metafora, za którą nie kryje się żadna szczególna wizja świata? Nie wydaje się. W 2003 r. Papieska Rada Kultury i Papieska Rada ds. Dialogu Międzynarodowego wydały dokument „Jezus Chrystus dawcą wody żywej". Potępiono w nim ideologię ruchu New Age, w tym tzw. hipotezę Gai głoszoną przez brytyjskiego naukowca Jamesa Lovelocka. Według tej koncepcji Ziemia, obejmując wszystkie żyjące na niej organizmy, miałaby stanowić samoregulujący się byt. „Hipoteza", początkowo prezentowana jako naukowa, stała się z biegiem czasu znakomitym podglebiem dla wzrostu rozmaitych panteistycznych i quasi-mitologicznych teorii, co sam Lovelock podsyca zresztą kolejnymi publikacjami. Do „hipotezy Gai" nader chętnie odwołuje się teologia wyzwolenia, przybierająca tym samym charakter ekologii wyzwolenia czy ekoteologii. Jednym z najbardziej znanych wyrazicieli tego nurtu jest Leonardo Boff, były brazylijski ksiądz. 14 marca na łamach magazynu „A Terra é Redonda" ukazał się jego artykuł pt. „Początki koronawirusa". Boff nawiązał w nim wprost do koncepcji samoregulującej się Gai Lovelocka. Stwierdził, że „Wielka Matka" – jak nazywa Ziemię – daje nam w postaci trzęsień ziemi, powodzi, pożarów i kataklizmów znaki, poprzez które chce zwrócić uwagę na swoją chorobę wywołaną działalnością ludzi. My jednak – pomstował Boff – te znaki ignorujemy i dlatego właśnie pojawił się koronawirus, jako kolejne bolesne wołanie Gai do człowieka. Autor ostrzegł, że „Wielka Matka" może wkrótce mieć nas dość i po prostu się nas pozbędzie...

Brazylijski teolog utrzymuje z Franciszkiem dobre relacje. W wywiadzie, którego udzielił w roku 2016, nazwał papieża Bergoglia „jednym z nas", to znaczy jednym z teologów wyzwolenia. W grudniu 2018 r. Franciszek wysłał do niego list gratulacyjny z okazji 80. urodzin, w którym gorąco dziękował za wsparcie, jakim Boff go obdarza. Nie jest to znajomość, która jakiemukolwiek człowiekowi Kościoła, a tym więcej papieżowi, mogłaby przynosić chlubę. Brazylijczyk jest od wielu lat głęboko skonfliktowany z Watykanem. Przez Stolicę Apostolską był karany już w latach 80., a w roku 1992 porzucił kapłaństwo. Mimo tego – jak deklarował w cytowanym wywiadzie – nadal chrzci dzieci i koncelebruje mszę świętą (sic!).

Papież Franciszek – jak się okazuje – nie tylko przesyła mu pochwalne listy, lecz także czyta jego artykuły i żywo się nimi inspiruje. I to bynajmniej nie od czasu wybuchu epidemii, bo wątki panteizującej ekologii wyzwolenia są w nauczaniu i działaniu Franciszka obecne od dawna. Najbardziej rażącym tego przykładem jest słynny skandal z Pachamamą, indiańską figurą boginki symbolizującej Ziemię, którą w czasie synodu amazońskiego bałwochwalczo hołubiono w Wiecznym Mieście. Franciszek nigdy nie przeprosił za ten skandal; przeciwnie, w adhortacji apostolskiej „Querida Amazonia" stanął w obronie oddawania czci Pachamamie, bagatelizując rzecz jako zupełnie niegroźną. Niesłusznie. Duch Pachamamy wyrażający się w nader wątpliwych kosmologicznych twierdzeniach o na poły mistycznych związkach ludzi i Ziemi jest silnie obecny w całym dokumencie, podobnie jak we wcześniejszej encyklice „Laudato si'". Zwracali na to uwagę w obszernych i erudycyjnych analizach tacy hierarchowie jak kard. Raymond Burke i bp Athanasius Schneider; zainteresowani mogą sięgnąć po ich artykuły dostępne w Internecie w polskim tłumaczeniu.

DOKTRYNA W STRUGACH DESZCZU

Sprawa mszczącej się na złej ludzkości Gai szybko przycichnie, ale fundamentalny problem z Franciszkiem pozostaje. Katolicka doktryna po siedmiu z górą latach jego pontyfikatu jest w coraz poważniejszym niebezpieczeństwie. 27 marca papież Franciszek modlił się na pustym placu św. Piotra o ustanie pandemii koronawirusa. Lał ulewny deszcz. Na niepogodę organizatorzy inicjatywy wystawili cudowny krucyfiks św. Marcelego, który w XVI w. Rzymianie obnosili ulicami swojego miasta, prosząc Pana o zmiłowanie i zatrzymanie epidemii dżumy. Dla krzyża nie przewidziano żadnej osłony. Nasiąknął wodą i uległ zniszczeniom. Można powiedzieć – to obraz nauczania Kościoła za papieża Bergoglia. System katolickiej doktryny z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, coraz silniej nasiąka polityczną ideologią, błędnymi prądami intelektualnymi, wysoce wątpliwymi czy wprost błędnymi teoriami. Doktryna niszczeje. Trzeba będzie mozolnego procesu renowacji, by przywrócić ją do świetności i usunąć wszystkie skazy.

Autor jest dziennikarzem i publicystą PCh24.pl.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 33dbceaddd

Tomasz Zbigniew Zapert

Pięciolinia polityczna

Roman Jasiński w 1946 r.

FOT. STANISŁAW DĄBROWIECKI/PAP

Edycja diariusza „Nowe życie. Wspomnienia 1945–1976" Romana Jasińskiego, przez dekady redaktora muzycznego Polskiego Radia, wpisuje się w przypadające w tym roku 95-lecie tego zasłużonego medium

Autor, pianista, niemal ćwierć wieku odpowiadał za muzykę emitowaną na antenie Polskiego Radia. Powojenne wskrzeszenie instytucji opisuje tak: „22 marca 1945: Warunki pracy nadal fatalne. Do dziś nie posiadam do dyspozycji ani biurka, ani nawet krzesła. W jednym studiu, jakie mamy, ciasnota panuje wprost nieopisana, bo wszystkie idące w eter audycje są zeń nadawane. […] Do tego dochodzą jeszcze wszystkie próby, no i nasze noclegi ze Szpilmanem. […] W biurze, we względnie przyzwoitym stanie, był klozet prezesa, do którego klucz wydawano tylko osobom budzącym zaufanie. Niestety po bankiecie, który się odbył z okazji otwarcia nowej stołówki, zalany kompletnie mistrz Dardziński w niewytłumaczalny sposób dotarł do tego pomieszczenia i muszlę kompletnie zdemolował".

Od początku Polski Ludowej radio stało się tubą propagandową nowej władzy, o czym autor pisze bez ogródek, przyznając się do oportunizmu wyrażanego choćby w akcesie do PZPR! Zapewne inaczej ten potomek bankiera, skoligacony z warszawską burżuazją, nie mógłby w PRL zaistnieć przed mikrofonem na stanowisku kierowniczym.

ZŁOTA PATELNIA

Komunistom zrazu brakło wykwalifikowanych kadr. Pewnego dnia płk Stanisław Nadzin, pierwszy dyrektor programowy PR po wojnie („bardzo niskiego wzrostu z kruczoczarną czupryną i czarnym wąsem, ubrany w zbyt obszerny mundur, robił […] wrażenie »kota w butach«"), przyprowadził Jana Cajmera, nominowanego na Kierownika Orkiestry Tanecznej Polskiego Radia. „Miał na sobie zdobny orderami wojskowy mundur – co się wówczas liczyło, należał do partii – co liczyło się jeszcze bardziej, i zaczęła się jego praca z orkiestrą. Chyba nie spotkałem w życiu kogoś, kto przy tak małych zawodowych kwalifikacjach potrafił zrobić […] aż tak zawrotną karierę. […] Jego oblicze, pełne i czerwone, nie zdradzało upodobań intelektualnych, raczej był to wierny portret Sancho Pansy […]. Gdy wzięliśmy Cajmera na spytki, okazało się, że jego muzyczne wykształcenie przedstawia się nader ubogo. Na fortepianie coś tam niedołężnie klecił, bez wielkiego pojęcia o harmonizowaniu, a jedyną rzeczą, jaką się mógł przed nami popisać, była niezła gra na harmonii. […] Nicość przejawiała się od samego początku jego dyrygentury. Metodę na opracowanie utworu miał jedną – po jego przegraniu wołał: »Panowie, powtórzmy to jeszcze raz!«. Wyjaśnień i pouczeń żadnych nie było. Szefowi tylko chodziło o to, żeby rozpocząć grać i skończyć wykonanie danego utworu razem. To był szczyt wymagań. […] Najzabawniejsze było, że szybko uwierzył w swoją wielkość, przybierając w rozmowie ze mną czy ze Szpilmanem autorytatywne tony znakomitego artysty. […] Był żywym przykładem, że […] czasem zwykła blaga, bezgraniczny tupet, energia i wytrwałość potrafią dokonać rzeczy zdawałoby się niemożliwych".

W repertuarze owego big-bandu dominowały tzw. piosenki masowe: „Brane jak najbardziej serio i nadęte jak balon. Na tym tle dochodziło niekiedy do sytuacji wręcz groteskowych, np. gdy wszechpotężny wówczas członek Biura Politycznego, sam towarzysz Jakub Berman, fatygował się specjalnie do naszego studia, by w towarzystwie ówczesnego niemal muzycznego dyktatora, prof. Zofii Lissy, przesłuchiwać i oceniać nasz radiowy w dziedzinie pieśni masowej dorobek".

Odwilż strąciła Cajmera z posady, próbował zaistnieć muzycznie za granicą – bez powodzenia jednak, pozostała legenda, jakoby przed samym jego wyjazdem z Polski celnicy odkryli w jego bagażu złotą patelnię.

BIG-BEAT ZAGŁUSZA MILLENNIUM

Wtedy też na falach eteru doszło do destalinizacji: „Zwalił się na nas obowiązek natychmiastowego wyeliminowania z programów wszelkiego rodzaju pieśni, kantat i oratoriów. Wiedząc, że gdy wchodzą w grę racje polityczne, to nie ma żartów, wszyscy redaktorzy układali programy z największą uwagą, przesłuchując raz po raz budzące wątpliwości pozycje […]. Mimo zachowania jak najdalej posuniętych środków ostrożności jedna z redaktorek nadała w programie, dwa czy trzy dni po przemówieniu Chruszczowa, jakiś utwór opiewający Stalina. Sprawa nabrała aspektu politycznego, a KC PZPR potraktował ją

eprasa.pl 33dbceaddd

bardzo serio i w rezultacie biedną redaktorkę przepędzono z Polskiego Radia".

Bez ofiar w ludziach obyło się, gdy popełniono na antenie gafę przy okazji wyboru na prezydenta Bieruta: „Wnet po transmisji z sejmu, nadaliśmy »Polonię« Elgara, gdzie przecież wyraźnie pobrzmiewa hymn »Boże, coś Polkę!«. […] Ówczesny nasz dyrektor programowy, Zygmunt Młynarski, gorliwiec i zawzięty partyjniak, wściekł się i przybiegłszy do studia spikerskiego, kazał sobie dać tę trefną płytę, którą porwawszy, rozbił o biurko na drobne kawałki".

Tony polityczne zakończę cytatem z 9 marca 1966 r.: „W Radiokomitecie omawiano sprawy obchodów Millennium. Najciekawsze, że Sokorski rzucił projekt, by w czasie uroczystości, organizowanych z tej okazji przez władze kościelne radio nadawało najbardziej atrakcyjne amerykańskie big-beaty celem odciągnięcia młodzieży od uczestnictwa w tych obchodach. Jak się okazuje, nawet muzyka »zgniłego Zachodu« może się czasem do celów politycznych przydać".

Imponuje w tej memuarystyce galeria postaci. W roku 1945 Witold Rowicki założył w Katowicach zespół symfoniczny. Kiedy wyszło na jaw, że wcześniej pracował w charakterze asystenta szefa orkiestry Generalnego Gubernatorstwa – zezwolono mu zachować batutę, „zabraniając jednocześnie podawania przez rok w programach dyrygowanych przezeń koncertów oraz w zapowiedziach jego nazwiska".

O Antonim Słonimskim dowiadujemy się, że „powtarza to samo w kółko, mając niemal obsesję na punkcie Iwaszkiewicza, którego ma za »skończoną świnię«. Dziwię się, jak człowiek o tak wspaniałej inteligencji i poczuciu humoru […] nie rozumie, że to stałe mówienie o sobie jest, choćby tylko z punku widzenia manier towarzyskich, czymś w wysokim stopniu niewłaściwym, mogącym ludzi nawet mu najżyczliwszych drażnić". Z autorem „Alarmu" oraz Pawłem Hertzem Jasiński regularnie zasiadał przy kawiarnianym stoliku. 21 grudnia 1965 r. wspominali właśnie zmarłego pionierskiego gwiazdora kabaretu – Karola Hanusza: „Codziennie idąc do szkoły, oglądałem jego fotografie we fraku, cylindrze i monoklu, wystawione w gablocie »Miraża« […]. Zawsze wymuskany i niby to elegancki, z głową starannie wygoloną, kręcąc kuprem, snuł się po Nowym Świecie, szukając towarzystwa młodych ludzi. Po ostatniej wojnie, już jako posunięty w latach starszy pan, zachowując dawny styl, biegał po Warszawie, udając młodzieniaszka, a latem w Sopocie szukał przygód. Właściwie to miał on w sobie coś nieprzyzwoitego i zawsze dziwiłem się, że tak wysoce człowiek kulturalny jak Paweł Hertz lubił przebywać w jego towarzystwie".

BICZ BOŻY

Podwładnym i najbliższym radiowym przyjacielem diarysty był Władysław Szpilman: „Usunięcie go, pracownika Polskiego Radia od roku 1934, człowieka całym sercem oddanego instytucji i zasłużonego przy jej powojennej odbudowie, było faktem o tyle przykrym, brutalnym, co niedorzecznym, gdyż nie mając nikogo, kto by potrafił go na zajmowanym stanowisku zastąpić, radio wstępowało na drogę – co z góry łatwe było do przewidzenia – znacznego pogorszenia sytuacji w tak trudnej do prowadzenia dziedzinie muzyki rozrywkowej. […] Ten doskonały pianista, wybitny kameralista i kompozytor piosenek, a przy tym bardzo do swej pracy przywiązany, stanowił siłę zupełnie pierwszorzędną, której pozazdrościć by nam mogła każda zagraniczna radiofonia. Mogłem zawsze na nim polegać i nie było wypadku, by mnie zawiódł. […] Nie cierpiąc złej muzyki, nie znosił też złych muzyków, toteż był często dla nich biczem bożym. Nic też dziwnego, że wrogów narobił sobie z biegiem lat wielu. […] Zawiść, którą względem Szpilmana odczuwało kilku chałturników, jak też wszelkiego rodzaju miernot lub zgoła kombinatorów, w końcu w znacznym stopniu przyczyniła się do końca jego redaktorskiej kariery. […] Gromada owych muzykusów, którym przewodził Marek Sart, potrafiła dotrzeć do odpowiednich władz KC partii i przedstawić memoriał, w którym oskarżając Szpilmana o sprawy najbardziej niedorzeczne – na przykład monopolizowanie władzy w dziedzinie muzyki rozrywkowej w swoich rękach – postawiła wniosek o zwolnienie go z zajmowanego stanowiska. W KC, gdzie w sprawach muzycznych raczej się nie orientowano, owe zarzuty przyjęto z pełną wiarą. Los Szpilmana został przesądzony".

Muzyka nie wyczerpywała zainteresowań Jasińskiego. 9 czerwca 1967 r. oglądał w Teatrze Kameralnym spektakl Jarosława Iwaszkiewicza „Kosmogonia": „W dzisiejszych czasach już nic nikogo nie dziwi […], toteż nie zdumiewa nikogo tak bardzo, iż sztandarowy pisarz Polski Ludowej, a nawet jej »budowniczy« napisał sztukę (nie najlepszą), której bohaterem jest pederasta, który zamordował swego przyrodniego brata z powodów metafizyczno-erotycznych".

Dziesięć lat wcześniej w Paryżu (regularnie odwiedzał tam Artura Rubinsteina) po obejrzeniu w kinie filmu „I Bóg stworzył kobietę" – „z młodą aktoreczką Brigitte Bardot w roli głównej" – recenzował: „Trudno o film bardziej erotyczny. Po prostu ocieka spermą. Bardot pokazuje prawie wszystko, kręci tyłkiem w lewo i prawo, a wokół niej uwijają się dwaj bracia, którym daje d. (jeden to mąż) oraz starszy kapitalista, który też by chciał, ale jakoś mu nie wychodzi".

„Mam ciekawą lekturę z zagranicy – zanotował 30 stycznia 1968 r – »Widziane z góry« T. Stalińskiego. Książka jest zupełnie nieźle napisana, a ukazuje bardzo wyraziście cały mechanizm intryg i powiązania członków KC. […] Mamy tu niemal kafkowski obraz jakiegoś wyobcowanego ośrodka władzy. […] Czyżby autorem tej książki był Stefan Kisielewski?".

ROMAN JASIŃSKI
„NOWE ŻYCIE. WSPOMNIENIA 1945–1976"
WYDAWNICTWO LITERACKIE 2019

Czytelniczym cymesem jest przywoływana w tomie mapa gastronomicznej Warszawy schyłku lat 40.: „Byli ziemianie i zubożali arystokraci przybywali do eleganckiej restauracji Kongo, tuż koło dawnej stacji kolejki elektrycznej […], nie mniejszym powodzeniem cieszył się znajdujący się opodal, na ulicy Żurawiej, lokal restauracyjny Canaletto – i tu gromadziły się resztki potentatów […]. Powszechnie przez świat artystyczny uczęszczana była kawiarnia Kopciuszek, pomiędzy Kruczą a Marszałkowską, w Alejach Jerozolimskich. Właścicielem jej był niejaki Unger, węgierski izraelita, […] mówiący łamaną polszczyzną rzeczy nieopisanie śmieszne, chwaląc się zazwyczaj niezwykłymi erotycznymi sukcesami. Utkwiła mi w pamięci często powtarzana przezeń historia o jego romansie ze sławną śpiewaczką Jeritzą: »Gdy mia-miałem z nią ran-randkę we ho-hotelu – mówił, jąkając się – to wy-wynajmowałem trzy po-pokoje, jeden dla nas i dwa po-poboczne«. – »Dlaczego?« – padało wówczas pytanie słuchacza. Na co Unger: »Tak krzy-krzyczała«".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 33dbceaddd

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Podręcznik szpiega

Pierwszą i główną przeszkodą dla rozlania się bolszewizmu w Europie jest Polska. Stąd też ją właśnie usiłuje się podminować z usilną energią. Akcja wywrotowa komunistów bardzo poważnie zagraża naszemu ustrojowi polityczno-państwowemu i gospodarczo-społecznemu".

To cytat z książki „Służba wywiadowcza i ochrona przeciwszpiegowska" dwóch oficerów żandarmerii: Wojciecha Stepka i Kazimierza Chodkiewicza. Pierwszy raz ukazała się ona w roku 1925. A teraz, po 95 latach, została wznowiona w formie reprintu przez wydawnictwo LTW.

Autorzy ostrzegali swoich czytelników, że Związek Sowiecki przysyła do Polski ogromną liczbę agentów oraz dysponuje szeroką siatką szpiegowsko-dywersyjną, którą stanowią członkowie partii komunistycznej. W jaki sposób jednak zdemaskować czerwonych szpiclów? Jak uniemożliwić im ich niecną robotę?

Temu właśnie miała służyć książka Stepka i Chodkiewicza. Jest to leksykon czy też raczej podręcznik dotyczący działań wywiadu i kontrwywiadu. Oczywiście zgodny z wiedzą A.D. 1925. W książce znajdujemy więc opisy operacji szpiegowskich czołowych tajnych służb ówczesnego świata – niemieckich, sowieckich, brytyjskich i francuskich.

Przede wszystkim jednak autorzy odsłaniali przed czytelnikami wywiadowczą kuchnię. Czyli techniczne aspekty szpiegostwa. Przedstawiali rozmaite metody używane przez agentów, pokazywali, jak złamać szyfr i jak przeczytać list napisany atramentem sympatycznym. Z książki dowiadujemy się, jak „zdjąć" wrogiego agenta, jak przeprowadzić rewizję osobistą i przesłuchanie. Jak przekradać się przez linię frontu i prowadzić dywersję.

Chociaż język, którym posługują się autorzy, oraz opisy niektórych „szpiegowskich trików" mogą dziś wzbudzać uśmiech – książka jest zdumiewająco aktualna. Bo przecież w działalności wywiadu od zawsze chodziło i chodzi o to samo.

„Już w odległych czasach – piszą autorzy – uważano, że uzyskanie wiadomości o nieprzyjacielu, czyli dokładne zdanie sobie sprawy z położenia wroga, ze składu jego sił, z jego siły moralnej i gospodarczej, jest niezbędnym warunkiem kampanii wojennej".

Jak to wyszło we wrześniu 1939 r., niestety wszyscy wiemy aż za dobrze. ©℗

★★★★★★

WOJCIECH STEPEK, KAZIMIERZ CHODKIEWICZ
„SŁUŻBA WYWIADOWCZA I OCHRONA PRZECIWSZPIEGOWSKA"
LTW

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Czas zespołów filmowych

Rok 1955 zapisał się w dziejach polskiej sztuki filmowej nie tylko premierą „Pokolenia". 1 maja powołano do życia pierwsze trzy zespoły filmowe (Iluzjon, Kadr i Syrena), co zrewolucjonizowało krajową kinematografię.

Dawało to twórcom taki margines swobody, jaki był tylko możliwy w warunkach ustrojowych PRL. Wszystko jednak zależało od decyzji władz, dlatego podstawowe znaczenie miały kontakty osobiste szefów zespołów.

Szczególnie brutalny charakter przybrały kolaudacje za czasów Janusza Wilhelmiego

Po zatwierdzeniu scenariusza przez odpowiednie czynniki zaczynało się poszukiwanie pieniędzy na produkcję i „chodzono do KC, do Wydziału Kultury, do władz kinematografii".

Najważniejszą osobą w świecie polskiego filmu był wówczas wiceminister kultury i sztuki, któremu bezpośrednio podlegali filmowcy. Do legendy przeszła interwencja twórców kultowego „Rejsu", protestujących przeciwko usunięciu z filmu sceny gry w salonowca. Cenzorzy uznali bowiem, że jest to aluzja do tego, iż „partia bije inteligencję po dupie". O skierowaniu filmu do dystrybucji decydowała kolaudacja – komisyjny odbiór przez specjalnie dobrane grono decydentów. Uznawano to za sprawdzian dla filmu i jego twórców, kolaudacja miała wyjaśnić, czy produkcja spełnia wymogi ideologiczne.

Czasami przypominało to sąd kapturowy, na niektórych kolaudacjach bywało bowiem „dwunastu dyrektorów czy urzędników", a tylko „czterech czy pięciu twórców". Szczególnie brutalny charakter przybrały kolaudacje za czasów Janusza Wilhelmiego, który zarządzał polską kinematografią w połowie lat 70. Był on znawcą literatury i krytykiem literackim, a do tego osobnikiem niezwykle cynicznym.

W latach 50. napisał wstęp do „Nurtu" Wacława Berenta, z „którego wynikało coś w tym rodzaju, że nie doceniano zbawczej roli kozaków Suworowa, krzywdząco nazywając ich akcję rzezią Pragi". Jako szef „Kultury" (warszawskiej) gardził ludźmi i „uważał, że każdego można kupić".

„Zapewne poprawiało mu to samopoczucie – twierdził Janusz Głowacki. – Jak kogoś nie szanował, to go lubił upokarzać. Pewien krytyk przynosił na przykład słuszny ideologicznie tekst. Wilhelmi czytał go, krzywiąc się z obrzydzenia, potem przy autorze wrzucał do kosza i na koniec mówił: »Niech pan to wyciągnie, będziemy drukować«". Gdy zginął w katastrofie lotniczej, filmowcy uczcili to huczną imprezą w stołecznym klubie filmowców Ściek przy Trębackiej. Ze łzami w oczach rzucali się sobie w ramiona, „strzelali korkami od szampana i śpiewali »Sto lat«". Nikt nie miał wyrzutów sumienia, a świętowanie zakończono dopiero rano… ©℗

eprasa.pl 33dbceaddd

Działamy skutecznie

Jak Grupa Inwest radzi sobie w czasie kryzysu wywołanego epidemią koronawirusa?

PIOTR HOFMAN, prezes zarządu: Grupa Inwest ma dwa filary. Pierwszym jest spółka deweloperska HM Inwest SA, drugim zakład produkujący materiały prefabrykowane HM Factory Sp. z o.o. w Sochaczewie. W działalności deweloperskiej, w ostatnich kilku tygodniach, odczuwamy pewne przyhamowanie. Ze zrozumiałych względów. Po pierwsze, ludzie przestali się przemieszczać, więc oglądanie mieszkań jest utrudnione. Po drugie potencjalni klienci boją się o swój status materialny, trudniej więc w takim momencie podejmować decyzję o zakupie mieszkania. Po trzecie wreszcie, nastąpiło zaostrzenie polityki kredytowej. Banki też reagują na nieprzewidywalność obecnej sytuacji. Po wprowadzeniu pewnych restrykcji i ograniczeń w przemieszczaniu się w wielu firmach zmieniły się procesy sprzedażowe. Ta sytuacja wymusiła uruchomienie nowych kanałów. Nie inaczej jest u nas. Działy sprzedaży pracują cały czas, ale kontakt z klientami przeniósł się głównie do Internetu. Uruchomiliśmy na przykład spacery on-line po realizowanych inwestycjach oraz po gotowych już obiektach. W drugim zaś naszym filarze, firmie produkcyjnej HM Factory Sp. z o.o., nie mamy żadnego zastoju. Wręcz przeciwnie, nastąpiło zwiększenie produkcji.

Eksperci analizujący rynek nieruchomości twierdzą, że w średnio- i długookresowej perspektywie ta cała sytuacja może wyjść branży deweloperskiej na dobre. Zgadza się Pan z tymi opiniami?

Rzeczywiście, ten chwilowy zastój może podziałać twórczo na cały sektor. Mamy najniższe stopy procentowe w historii. Oznacza to tańszy dostęp do kapitału. Nie ma więc powodów do obaw o wzrost cen inwestycji, a klienci dzięki tym niskim stopom procentowym będą mieli dostęp do tańszych kredytów. Poza tym już widać, że lokaty bankowe przestały być atrakcyjnym miejscem do oszczędzania. Środki te przesuną się więc w stronę konkretnych inwestycji i w większości trafią zapewne na rynek nieruchomości. Proszę zwrócić uwagę na to, co dzieje się na giełdzie. Mówiąc językiem sportowym, koronawirus ją znokautował. W pierwszej połowie lutego 2020 r. cena akcji PKO BP wynosiła ok. 37 zł. 1 kwietnia już tylko 22 zł. Musi nastąpić przepływ kapitału, nie ma innego wyjścia. Najważniejsze z naszej perspektywy jest to, że pozycja Grupy Inwest cały czas jest stabilna i niezagrożona. Mamy obecnie w sprzedaży ponad 600 mieszkań i w planach rozpoczęcie kolejnych inwestycji. Żadna z naszych sześciu budów, czterech warszawskich i dwóch poznańskich, nie została wstrzymana. Na żadnej nie ma opóźnień.

Wspomniał Pan o tym, że w firmie produkcyjnej HM Factory nie ma zastoju, wręcz przeciwnie – nastąpiło zwiększenie produkcji. Jak to możliwe?

W HM Factory produkujemy materiały prefabrykowane: ściany, stropy, balkony, schody – docelowo w fabryce ma powstawać kompletny system zabudowy mieszkaniowej. Obecnie ok. 80 proc. produkcji eksportujemy, głównie do Szwecji. A tam, jak wiemy, nie zatrzymano gospodarki. Produkcja jest w toku, więc zamówienia cały czas do nas spływają. Nasza fabryka pracuje na pełnych obrotach, kierowcy z transportem materiałów jeżdżą regularnie, dlatego nie mamy żadnego zastoju.

Czy spółki Grupy Inwest korzystają z rozwiązań wprowadzonych przez rząd w ramach tzw. tarczy antykryzysowej?

Tak, w miarę uprawnień korzystamy ze wszystkich możliwości, które daje nam tarcza. Szczególnie z uprawnień dotyczących podatków i składek zusowskich. Liczymy też na to, że programy wsparcia pomogą wszystkim uczestnikom rynku zachować płynność finansową. W przeciwnym razie zatory płatnicze mogą na dobre pogrążyć całą gospodarkę. To dobrze, że rząd tak zdecydowanie zareagował na sytuację związaną z epidemią. Z jednej strony pomoc w ramach tej tarczy ma wymiar konkretny, ekonomiczny. Z drugiej, ma też wymiar psychologiczny. Jest jasnym sygnałem wysłanym do przedsiębiorców, że państwo nie zostawia ich samym sobie, że daje im wsparcie. Sytuacja ogólnie jest trudna. Odczuwamy to również w naszej firmie, niemniej jestem przekonany, że z całym kryzysem Grupa Inwest spokojnie sobie poradzi. Tym bardziej że od 20 kwietnia następuje stopniowe odmrażanie gospodarki i wszystko powinno wracać do normy.

ARTYKUŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl 33dbceaddd

Z Witoldem Gadowskim, publicystą, pisarzem
rozmawia Maciej Pieczyński

Koronawirus kończy erę globalizacji

MACIEJ PIECZYŃSKI: COVID-19 zaraża świat również masą teorii spiskowych... Na ile powstają one spontanicznie, a na ile są kreowane przez służby?

WITOLD GADOWSKI: Od razu zaznaczę, że wszystko, o czym mówię w kontekście koronawirusa, to są jedynie moje hipotezy, oparte na informacjach, do których byłem w stanie dotrzeć. Odpowiadając na pytanie... Rosjanie mocno angażują się w propagowanie antyamerykańskich teorii spiskowych. Podkręcają je również Chińczycy, próbując w ten sposób dyskredytować dochodzenie do prawdy o pandemii. Własne teorie spiskowe kreują także Amerykanie, próbując za ich pomocą przedstawić Trumpa jako rycerza na białym koniu, który oczyszcza świat z wirusa. Nie wierzę w teorie spiskowe, które wyjaśniają wszystko – świat jest zbyt skomplikowany. Nie deprecjonowałbym jednak z góry wszelkich tego typu koncepcji. Spiski istnieją. Przede wszystkim trzeba zwracać uwagę na fakty, które w tych teoriach są przedstawiane.

Faktem jest, że Bill Gates pięć lat temu nazwał wirusy zagrożeniem dla ludzkości. Dzisiaj natomiast zaangażował się w poszukiwania szczepionki przeciwko COVID-19. Czy to daje podstawy do oskarżania go o udział w jakimś koronawirusowym spisku?

W Korei Południowej występują już nowe zarażenia. Nie istnieje zatem długotrwała odporność nawet po przebyciu choroby. Po wyzdrowieniu wirus przechodzi w stan utajony. Jest nieaktywny, ale pozostaje. Według niektórych teorii COVID-19 może powodować uszkodzenia mózgu. To by oznaczało, że mamy do czynienia z chorobą przewlekłą. A to już zmienia perspektywę. Bill Gates jest bliskim znajomym szefa WHO. To nie jest żadna teoria spiskowa, tylko fakt.

Ale jeśli doprowadzi do wynalezienia szczepionki, to chyba będzie bohaterem?

Nie wiadomo, kiedy to się stanie i czy w ogóle. A nawet gdy szczepionka powstanie, to kto zaręczy, że wirus nie będzie mutował?!

Lepiej chyba szczepionkę mieć, niż jej nie mieć.

Sama szczepionka nie jest panaceum. Potrzebny jest lek, który spowoduje zatrzymanie choroby.

Stwierdził pan, że na 90 proc. koronawirus został sztucznie wytworzony przez człowieka. Skąd to przekonanie?

eprasa.pl 33dbceaddd

FOT. STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

Już w latach 90. w szwajcarskim Sankt Gallen prowadzono badania, których celem było użycie koronawirusów do stworzenia szczepionki przeciwko HIV. Pobudki były zatem szczytne. Nie udało się jednak. Również względami medycznymi powodowane były kolejne badania nad koronawirusami, rozpoczęte przez amerykańskich wirusologów z instytutu Karoliny Północnej we współpracy z ich chińskimi kolegami z instytutu w Wuhan.

Czyli nie zakłada pan, że koronawirus powstał jako broń biologiczna?

Nie mam poważnych przesłanek, aby tak twierdzić. Celem badań było wyekstrahowanie szczepu koronawirusa, który posłuży do wyprodukowania szczepionki przeciwko innym tego typu wirusom. Był to bardzo aktualny problem w czasie, gdy powstawał amerykańsko-chiński zespół badaczy. Szalała już wówczas epidemia SARS, występował MERS. Świat zaczynał zauważać, że koronawirusy mogą być potencjalnie niebezpieczne dla życia. Wcześniej wydawało się, że są co najwyżej bardzo uciążliwe. Badania budziły jednak poważne kontrowersje. Dwustu wirusologów podpisało się pod apelem o zaprzestanie badań z uwagi na zagrożenie pandemiczne (tzw. lista Cambridge). W 2014 r. wprowadzono moratorium. Amerykanie wycofali się z projektu. Chińczycy kontynuowali badania.

Czyli COVID-19 powstał w celach medycznych i wyciekł z Wuhan przypadkiem? Czy może Chińczycy, już bez udziału amerykańskich kolegów, próbowali znaleźć inne, mniej humanitarne zastosowania koronawirusa?

W tej chwili amerykańskie służby specjalne przygotowują dla Donalda Trumpa raport, który odpowie na pytanie: Czy istniały możliwości manipulowania funkcjami COVID? Trudno powiedzieć, jakimi celami kierował się zespół chiński. Dostęp do tamtejszych źródeł jest bardzo ograniczony. Wiadomo jedynie, że Chińczycy prowadzili badania już bez uwzględnienia limitów i środków bezpieczeństwa obowiązujących w USA. A przecież nawet Amerykanom zdarzają się wpadki w tej dziedzinie, żeby wspomnieć choćby głośną sprawę omyłkowego rozesłania wąglika do ponad 50 laboratoriów w kraju i poza jego granicami.

W przypadku koronawirusa to również pomyłka?

Mam nadzieję, że tak. Jak wiadomo, źródłem zakażeń koronawirusem są nietoperze i to na nich prowadzono badania w instytucie w Wuhan. Są różne podejrzenia na temat tego, w jaki sposób wirus mógł się roznieść. Być może zarażać zaczął ugryziony przez nietoperza pracownik laboratorium, a być może źródłem pandemii jest nielegalny proceder handlu zwierzętami laboratoryjnymi…

Jakim cudem jedna z największych światowych potęg pozwoliła sobie na wyciek tak niebezpiecznego wirusa? Czy zasadne jest szukanie analogii z Czarnobylem?

Jak najbardziej. Obecnie hipoteza o wycieku wirusa z laboratorium w Wuhan nie jest już traktowana jak teoria spiskowa. Amerykańskie służby uważają dziś tę wersję zdarzeń za prawdopodobną.

Waszyngton wstrzymał finansowanie WHO. Zdaniem Trumpa organizacja od początku podawała niejasne i sprzeczne dane o COVID-19. Czy nazywanie WHO „chińską agenturą" to nie jest teoria spiskowa?

Amerykanie uważają za wysoce prawdopodobne, że WHO pomagała Chinom dezinformować światową opinię publiczną i ukrywać prawdziwe rozmiary pandemii. To nie jest żadna teoria spiskowa. Tedros Adhanom Ghebreyesus, zanim został szefem WHO, działał w organizacji wpisanej przez Amerykanów na listę organizacji terrorystycznych, potem zaś związany był z ruchem komunistycznym. Karierę polityczną zrobił dzięki poparciu Pekinu, czego nigdy nie ukrywano.

Możemy bezkrytycznie wierzyć w rewelacje Waszyngtonu? Może po prostu Amerykanie próbują wykorzystać pandemię w walce z największym geopolitycznym rywalem i „wrobić" Chiny w koronawirusa?

Nie trzeba być wybitnie przenikliwym ekspertem, żeby wiedzieć, że zarówno Waszyngton, jak i Pekin dążą do realizacji własnych mocarstwowych interesów. Trwa wojna handlowa, informacyjna o globalną supremację. Jeżeli Amerykanom uda się przekonać międzynarodową opinię publiczną, że winę za pandemię ponoszą Chiny, to Pekin będzie musiał zapłacić ogromne odszkodowania właściwie wszystkim krajom.

Wychodzi więc na to, że akurat Chińczykom koronawirus opłaca się najmniej. Trudno sobie wyobrazić, żeby celowo wywołali pandemię.

Jeżeli świat uzna ich winę, to będzie dla Chin gospodarcza katastrofa. Jeśli natomiast przyjmie się narracja, w myśl której koronawirus nie jest dziełem człowieka, tylko spontanicznie się rozwinął i rozprzestrzenił, wówczas Chiny wręcz zyskają na pandemii. Wzrost śmiertelności nie jest dla nich problemem. Przy tak dużej liczbie ludności depopulacja im nie grozi. Dwa miliony zgonów więcej to dla nich jedynie statystyka. Ofiary nie robią tam wrażenia, bo to przecież reżim totalitarny. Kryzys gospodarczy im nie grozi. Mają ogromną nadwyżkę w handlu zagranicznym. Próbują po niższych cenach wykupywać światowe marki. Jeśli więc nie zaleją ich pozwy o odszkodowania, to Chińczycy mogą odnieść przełomowe

eprasa.pl 33dbceaddd

zwycięstwo w wojnie gospodarczej z Amerykanami.

Ponadto oferują pomoc państwom dotkniętym pandemią...

Chińczycy pomagają państwom po to, by je od siebie uzależnić. W taki właśnie sposób Pekin uczynił z Laosu i Kambodży tak naprawdę swoje kolonie, które nie potrafią już nic zrobić bez pomocy potężnego patrona.

Nikt nie pomaga bezinteresownie. Amerykanie poprzez plan Marshalla też budowali swoją strefę wpływów w Europie.

To oczywiste. Tak czy inaczej w Stanach coraz bardziej powszechne jest przekonanie o chińskim zagrożeniu. Zdaje sobie z niego sprawę również lewica.

Co COVID-19 zmieni na globalnej szachownicy poza tym, że Chiny albo stracą, albo zyskają bardzo wiele?

Według teorii, którą obecnie pilnie studiuję, skończy się era globalizacji.

Ponieważ jak trwoga, to do państw narodowych?

Ponadnarodowe instytucje się zbłaźniły, skompromitowały. WHO, ONZ, UE, a nawet NATO – wszystkie te organizacje pokazały swoją niemoc wobec pandemii.

Na co dzień jakoś funkcjonowały. Jedynie w czasie kryzysu okazują się bezsilne.

Przecież właśnie po to zostały powołane – aby pomagać w kryzysowych sytuacjach.

Czy upadek Unii Europejskiej to kwestia czasu?

To teza bardzo daleko posunięta, ale moim zdaniem prawdopodobna. Dopóki Niemcy będą w stanie, pomimo stagnacji gospodarczej, utrzymać UE na swoich barkach, dopóty Unia nie upadnie. Jeśli jednak niemiecki silnik się zatrze, to dni Wspólnoty będą policzone.

Dla Polski to raczej nieciekawa wizja. Większość opinii publicznej nad Wisłą uważa, że obecność w strukturach UE czy NATO to gwarancja naszego bezpieczeństwa – czy to gospodarczego, czy militarnego. Czy będziemy teraz łatwiejszym kąskiem dla agresywnych mocarstw?

Dzisiaj władze państw – również mocarstwowych potęg – zajęte są przede wszystkim walką z koronawirusem. Taki stan rzeczy będzie się ciągnął miesiącami, jeżeli nie latami. Zamiast ekspansji – izolacja.

To dla Polski lepiej?

Zdecydowanie. Małe państwa sobie poradzą.

A co ze Stanami Zjednoczonymi? Utrzymają hegemonię? Czy może odpuszczą Chinom i zajmą się sobą?

Amerykanie zwrócą się w stronę interioru, wspólnot lokalnych, prowincji. Przez to staną się bardziej konserwatywni. A zatem i na świecie – na tyle, na ile będą się jeszcze angażować – będą wspierać takie właśnie wartości. W USA rośnie w siłę narracja konserwatywna. Rozwija się w dwóch kierunkach. Z jednej strony wolnościowcy apelują: „Skończmy izolację, odmroźmy gospodarkę, musimy wrócić do pracy, żeby nie umrzeć z głodu!". Z drugiej strony również konserwatyści podkreślają niebezpieczeństwo związane z koronawirusem i ostrzegają: „Nie możemy popełnić błędów lewicowych społeczności, które, tak jak np. Szwecja, zbyt mocno się otworzyły, ryzykując wzrost zarażeń". Te narracje czasem wchodzą ze sobą w spór. Obie jednak mają konserwatywny charakter, ponieważ zarówno wolność, jak i bezpieczeństwo to wartości prawicy. Tymczasem całkowicie zamilkła lewica. Przed pandemią z tej strony sceny politycznej ciągle słychać było coraz to nowe pomysły na ulepszenie świata. Okazuje się, że w konfrontacji z prawdziwym problemem lewica nie ma absolutnie nic ciekawego, ważnego do powiedzenia, nie potrafi stworzyć żadnej recepty. I to dotyczy nie tylko USA. Na całym świecie widać doskonale, że w dobie kryzysu nikt nie zwraca uwagi na konstrukty teoretyczne. Koronawirus „nagle" sprawił, że zniknęło kilkadziesiąt płci, zostali tylko kobiety i mężczyźni. Zniknął problem gender, LGBT. Odnowiły się normalne, rodzinne relacje.

Pandemia spowodowała powrót do tradycyjnych wartości?

Okazuje się, że to one zapewniają bezpieczeństwo. A to może być bardzo istotne odkrycie dla światowej opinii publicznej.

Receptą okazuje się dziś zamykanie granic. Izolacja będzie postępować?

Już nie wrócimy do świata tak otwartego jak przed pandemią. Masowe podróże, globalny przepływ ludzi, towarów i usług – to, co jeszcze niedawno było uważane za wartość samą w sobie, dziś okazuje się kanałem śmiertelnego zagrożenia. Myślę, że izolacja będzie postępować. To będzie trwała tendencja. Dzięki temu odżyją lokalne społeczności, miejsca, z których dotychczas ludzie uciekali do wielkich miast. Do łask wrócą drobni przedsiębiorcy. Ze względów bezpieczeństwa będziemy coraz częściej wybierali zdrową, lokalną żywność. Skróci się łańcuch łączący producenta z klientem. Wielkie korporacje o globalnym zasięgu zaczną upadać, ustępując miejsca drobnej, lokalnej wytwórczości.

Prasa szwajcarska wieszczy „helwetyzację świata". Zgodnie z tą teorią świat będzie się dzielić na małe, samowystarczalne gospodarczo „kantony". Miasta będą przeżywały kryzys. Zwłaszcza metropolie. Dostępność usług, produktów z całego świata, masowy przepływ ludzi i towarów – to wszystko straci atrakcyjność. W metropolii bardzo trudno wytrzymać warunki przymusowej izolacji, dlatego będzie rosnąć społeczne niezadowolenie, a co za tym idzie – wielkie miasta staną się niebezpiecznie. Szczególnie że w tłumie wirus rozprzestrzenia się szybciej. O wiele bezpieczniej będzie w małych miejscowościach. Tam izolacja jest mniej uciążliwa, a kontakty międzyludzkie są rzadsze i odbywają się w dobrze znanym gronie, a więc z natury powodują mniejsze zagrożenie. To oczywiście apokaliptyczna wizja, ale moim zdaniem całkiem realna. Dla Polski to optymistyczna wizja, ponieważ nasza gospodarka jest silna właśnie w wymiarze lokalnym – mamy zdrową żywność, przedsiębiorczych, drobnych wytwórców, nie mamy zaś potężnych korporacji.

Czy ta izolacja będzie postępować również w życiu osobistym? Czy na trwałe przeniesiemy naszą aktywność do świata wirtualnego, przyzwyczaimy się do funkcjonowania w trybie zdalnym, korespondencyjnym?

Nadchodzi renesans dla tych, którzy potrafią robić coś konkretnego, co jest potrzebne ludziom na co dzień. Obserwujemy koniec świata komiwojażerów, wielkich korporacji, które, niczego nie wytwarzając, zbijały fortuny na przesuwaniu wirtualnych słupków. Internet zdominuje nasze życie, ale nie jako cel, tylko jako środek do celu. Przetrwają ci, którzy wykonują praktyczną pracę i potrafią funkcjonować w sieci.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 33dbceaddd

7 lat Telewizji Republika

Zapraszamy do oglądania

Uroczystej Gali Urodzinowej TELEWIZJI REPUBLIKA

29 kwietnia 2020 r. o godz. 19:00
na antenie Telewizji Republika

Podczas wieczoru zostaną wręczone statuetki Telewizji Republika. Dzięki Państwa pomocy i naszej akcji charytatywnej, wspólnie wspieramy polską służbę zdrowia.

Oprawę muzyczną przygotuje Jan Pospieszalski wraz z dwupokoleniową rodziną oraz gwiazdą Krzysztofem Cugowskim.

Spędźmy razem ten niezapomniany wieczór!

Partnerzy Strategiczni:

ORLEN PGNiG

Partnerzy Główni:

BGK Bank Gospodarstwa Krajowego, Totalizator Sportowy, Energa, LOTOS, PPL Porty Lotnicze

Partnerzy Wspierający:

PZU, fundacja arp, KGHM Polska Miedź, PKP Polskie Koleje Państwowe Spółka Akcyjna, Poczta Polska, żabka

eprasa.pl 33dbceaa

Jacek Przybylski

Oskarżenia Światowej Organizacji Zdrowia, wysuwane przez liderów USA, Kanady i Australii, to nie tylko szukanie kozła ofiarnego. Niekompetencja i polityczne konszachty liderów WHO utrudniły walkę z wirusem i przyczyniły się do śmierci tysięcy ludzi

Tedros Adhanom Ghebreyesus, szef WHO, oraz prezydent Chin Xi Jinping podczas spotkania w Pekinie 28 stycznia 2020 r.

FOT. NAOHIKO HATTA/POOL/GETTY IMAGES

Polityka ważniejsza niż zdrowie

Najgorsze jeszcze przed nami – stwierdził w ubiegłym tygodniu w Genewie Tedros Adhanom Ghebreyesus, dyrektor generalny Światowej Organizacji Zdrowia (WHO). Nie sprecyzował, co miał na myśli. Jego eksperci ostrzegają jednak, że wkrótce świat czeka druga, być może jeszcze groźniejsza niż pierwsza, fala pandemii koronawirusa.

Doktor Tedros kolejny raz porównał pandemię koronawirusa do śmiercionośnej hiszpanki. – Ten wirus ma bardzo niebezpieczną kombinację i działa tak... jak grypa z 1918 r., która zabiła nawet 100 mln ludzi – oznajmił Ghebreyesus. – Teraz mamy jednak technologię, możemy zapobiec katastrofie, możemy zapobiec tego rodzaju kryzysowi. Zaufajcie nam – przekonywał szef WHO, który nie jest ani nigdy nie był praktykującym lekarzem i który co prawda może tytułować się doktorem, ale warto pamiętać, że jest on doktorem filozofii. W tym roku dr Tedros – konsekwentnie zachowujący się bardziej jak polityk niż jak lekarz – zrobił zaś wiele, by zaufanie do Światowej Organizacji Zdrowia drastycznie zmalało.

WPADKA ZA WPADKĄ

Amerykański prezydent wprost oskarżył WHO o to, że to właśnie błędy popełnione przez szefów Światowej Organizacji Zdrowia sprawiły, iż koronawirus rozprzestrzenił się poza Chiny, choć można było temu zapobiec. – WHO naprawdę to sknociła. Z jakiegoś powodu, mimo że jest finansowana głównie przez Stany Zjednoczone, jest bardzo chinocentryczna. Dobrze się temu przyjrzymy – oznajmił Donald Trump, po czym zarządził wstrzymanie finansowania WHO. To potężny cios dla tej organizacji. Władze w Waszyngtonie przekazywały bowiem dotychczas na jej utrzymanie ok. 400 mln dol. rocznie, czyli 15 proc. budżetu. Chiny, drugi kraj pod względem wielkości wpłat, wpłacają do kasy WHO nieco ponad 85 mln dol.

Oczywiście Donald Trump – podobnie jak przywódcy wielu innych krajów – próbuje szukać winnego, bo sam też nie wykazał się roztropnością, gdy USA mogły jeszcze zapobiec najgorszemu. Nawet jego najbardziej zagorzali krytycy powinni jednak przyznać, że WHO rzeczywiście naprawdę sknociła sprawę.

Po pierwsze, dyrektor generalny dr Tedros Adhanom Ghebreyesus w początkowej fazie epidemii zupełnie bezkrytycznie przekazywał światowym liderom informacje podawane przez chiński rząd, mimo wiarygodnych podejrzeń, że władze w Pekinie tuszują dane zarówno o liczbie zarażonych, jak i zgonach wywołanych przez koronawirusa. „Wstępne badania przeprowadzone przez chińskie władze nie dostarczyły żadnych wyraźnych dowodów na to, że nowy (koronawirus) przenosi się z człowieka na człowieka" – czytamy w komunikacie WHO zamieszczonym na Twitterze 14 stycznia 2020 r. Dzisiaj wiemy, że to oczywista nieprawda. Wiadomo też o tym było w połowie stycznia. 14 stycznia 2020 r., zanim WHO opublikowała wspomniany komunikat, przed ryzykiem szybkiego rozwoju epidemii ostrzegała podczas publicznego briefingu w Genewie Maria Van Kerkhove, amerykańska epidemiolożka pracująca dla… Światowej Organizacji Zdrowia, która o grupie zarażonych koronawirusem osób dowiedzieć się miała już 31 grudnia 2019 r. Według śledztwa brytyjskiego dziennika „The Guardian" tweet WHO mówiący o braku ryzyka miał zostać opublikowany, aby przykryć ostrzeżenie dr Van Kerkhove, które za bardzo odbiegało od uspokajającej narracji władz w Pekinie.

Czy tak wielkie zaufanie, jakim WHO obdarzyła Pekin, ma związek z tym, że dr Tedros został szefem Światowej Organizacji Zdrowia dzięki znaczącemu poparciu Chin? Na to brakuje dowodów. Wiadomo za to, że zanim stanął na czele WHO, był ministrem zdrowia Etiopii – bardzo sprawnym w zarządzaniu, ale oskarżanym o to, że podczas swej kadencji zatuszował aż trzy epidemie cholery w Etiopii w obawie o to, że zaszkodzą mu one w walce o fotel szefa WHO.

Głównie dzięki Pekinowi dr Tedros dopiął swego. Został nie tylko pierwszym Afrykaninem stojącym na czele WHO, lecz także pierwszym szefem w 72-letniej historii Światowej Organizacji Zdrowia, który nie jest ani nigdy nie był praktykującym lekarzem.

eprasa.pl 33dbceaddd

Wróćmy jednak do koronawirusa. Pod koniec grudnia 2019 r. do Światowej Organizacji Zdrowia przyszedł e-mail od Tajwańczyków, informujący o podejrzanych przypadkach nietypowego zapalenia płuc w Wuhan.

W drugiej połowie stycznia WHO dysponowała już wieloma informacjami o przypadkach zarażenia nie tylko w Chinach, lecz także w Tajlandii i Japonii. Pierwsze posiedzenie WHO w tej sprawie odbyło się 22 stycznia. Zaproszeni eksperci – z powodów politycznych zabrakło wśród nich np. przedstawicieli Tajwanu, którzy 21 stycznia oficjalnie zgłosili pierwszy przypadek zakażenia koronawirusem na swoim terenie – byli mocno podzieleni co do tego, jak łatwo wirus może przenosić się między ludźmi. Wielu uważało jednak, że jest on mocno zaraźliwy, co oznaczałoby, że nie ma chwili do stracenia. Doktor Tedros mógł zadziałać od razu. Chińczycy byli jednak przeciwni biciu na alarm, więc szef WHO postanowił spokojnie czekać na nowe dane.

Dopiero 30 stycznia, gdy w Chinach zarejestrowanych było ok. 5 tys. przypadków, a w różnych krajach świata ponad 70 kolejnych, Światowa Organizacja Zdrowia ogłosiła w końcu tzw. PHEIC, czyli stan zagrożenia zdrowia publicznego o znaczeniu międzynarodowym. Podczas konferencji prasowej szef WHO wyraził wówczas uznanie dla „bezprecedensowej skali działań podjętych przez Chiny w celu powstrzymania epidemii". I podkreślił, że „ogłoszenie stanu zagrożenia zdrowia publicznego o znaczeniu międzynarodowym […] w żadnym wypadku nie może być odczytywane jako wotum nieufności wobec Chin". Mówił to w czasie, gdy wiadomo już było, że Chiny zbyt długo czekały z ogłoszeniem tzw. lockdownu, a władze komunistycznego reżimu nie tylko cenzurowały, lecz także karały tych lekarzy, którzy próbowali podnosić alarm w sprawie nowej epidemii. 30 stycznia Światowa Organizacja Zdrowia wydała również specjalne zalecenia, które streszczono w siedmiu punktach. Pierwszy z nich brzmiał: „WHO nie rekomenduje nakładania ograniczeń dotyczących międzynarodowych podróży i handlu".

Jeszcze na przełomie stycznia i lutego wysokiej rangi przedstawiciele WHO odradzali liderom państw zachodnich zamykanie granic dla Chińczyków, przekonując, że tego typu restrykcje zaszkodzą, zamiast pomóc, ponieważ zakłócą łańcuchy dostaw sprzętu medycznego i uderzą w gospodarki wielu krajów świata.

Szef WHO skarcił również Donalda Trumpa, gdy ten wbrew rekomendacjom WHO ograniczył możliwość wjazdu do Ameryki podróżnym z Chin. Doktor Tedros zaapelował do przywódców innych państw, aby nie szli śladem prezydenta USA. 3 lutego, przemawiając w siedzibie WHO, Tedros przekonywał także, że „jeśli zainwestujemy w walkę u źródła, to rozprzestrzenianie wirusa do innych krajów będzie minimalne i powolne".

Oficjalnie pandemię WHO ogłosiła dopiero 11 marca, gdy zarażonych było już 126 tys. osób w 116 krajach świata, a liczba ofiar śmiertelnych zbliżała się do 5 tys., z czego w samych Włoszech było już blisko 12,5 tys. zakażeń i niemal 1 tys. zgonów. Szef WHO nie chciał wcześniej mówić o pandemii, aby „nie wywoływać paniki", która miałaby być groźniejsza niż sam wirus. 9 marca podczas konferencji prasowych oświadczył również, że koronawirus „może być pierwszą pandemią, którą można kontrolować". – Najważniejsze jest to, że nie jesteśmy zdani na łaskę wirusa – podkreślał Ghebreyesus.

Uspokajające komunikaty Światowej Organizacji Zdrowia sprawiły także, że zbyt długo nawet w poważnych mediach funkcjonowało fałszywe porównanie COVID-19 do zwykłej sezonowej grypy, co okazało się tragiczne w skutkach. „Grypa jest znacznie większym zagrożeniem niż koronawirus" – pisały pod koniec stycznia nie tylko polskie media.

Niestety, trzy miesiące później można było zakładać, że koronawirus z Wuhan jest prawdopodobnie kilkakrotnie bardziej śmiertelny niż zwykła sezonowa grypa. Na COVID-19 zachorowało co najmniej 2,6 mln osób, a co najmniej 183 tys. zmarło.

Wciąż nie można też stwierdzić z pewnością, jakie jest pochodzenie koronawirusa z Chin. Czy rzeczywiście jest to targ rybny w Wuhan, czy może jednak – choć Pekin stanowczo temu zaprzecza – położone blisko wspomnianego targu chińskie laboratorium specjalizujące się właśnie w badaniu koronawirusów. Według „The Washington Post" amerykańscy dyplomaci już dwa lata temu raportowali o niepokojącej sytuacji w laboratorium wuhańskiego Instytutu Wirusologii.

Oczywiście wiadomo, że w trudnych czasach mnożą się teorie spiskowe. Wiadomo także, że Donald Trump atakuje teraz zarówno WHO, jak i Chiny, ponieważ sam zbyt długo lekceważył zagrożenie nowym wirusem. Podczas kampanii przed listopadowymi wyborami prezydenckimi jego przeciwnicy wyciągają mu choćby raport wywiadu, który już w listopadzie 2019 r. ostrzegał przed wirusem z Wuhan. Tymczasem Trump konkretne działania zaczął podejmować w marcu.

Prezydent USA nie jest jednak ekspertem ds. medycznych. Dużo większej wiedzy w tej dziedzinie oraz odpowiedzialności za zdrowie mieszkańców globu można oczekiwać od szefa WHO.

KONIECZNA REFORMA

Dzisiaj nikt nie ma zapewne wątpliwości, że świat potrzebuje silnej, profesjonalnej organizacji, skupiającej międzynarodowych ekspertów, lekarzy i naukowców oraz potrafiącej wykorzystać uzyskaną wiedzę do skoordynowanej walki z zagrożeniami dla życia i zdrowia ludzi. Niestety, Światowa Organizacja Zdrowia w obecnym kształcie nie spełnia tych kryteriów. Poza jej szefem winę za to ponosi też duża część światowych liderów. WHO brakuje bowiem choćby uprawnień do samodzielnego działania na terytoriach obcych państw, a także możliwości głośnego występowania przeciw takim potęgom jak Chiny, Rosja czy USA. Z tego powodu Tedros początkowo chwalił zarówno rządzących w Pekinie, jak i Donalda Trumpa.

Tak jak w przypadku koszmarnie osłabionej ONZ WHO jest więc tylko kolejną międzynarodową wydmuszką, która mimo wydawanych corocznie setek milionów dolarów w razie kryzysu może niewiele. Pozoruje więc działania, poświęcając wiele uwagi realizacji lewicowej ideologii, np. promocji aborcji jako jednej z „kluczowych usług medycznych", która według WHO ma być „kluczowa" nawet w walce ze skutkami obecnej pandemii.

I chociaż WHO nie dysponuje własnymi służbami wywiadowczymi, to nie zmienia to faktu, że szefowie tej organizacji powinni byli być dużo bardziej sceptyczni wobec informacji otrzymanych z Chin. Nieudolność połączona z ograniczonymi możliwościami działania, wynikającymi z politycznych konszachtów, sprawiła, że organizacja powołana do działania w sytuacjach kryzysowych nie tylko nie zdołała uratować świata przed skutkami pandemii, lecz także, wydając błędne zalecenia dla rządów, pośrednio przyczyniła się do zwiększenia liczby zgonów. Konieczna wydaje się więc nie tylko reforma WHO. A jeśli to będzie niemożliwe, to zbudowanie nowej, tym razem skuteczniejszej i bardziej transparentnej organizacji międzynarodowej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 33dbceaddd

FOT. CHUNG SUNG-JUN/GETTY IMAGES

Rekord podczas pandemii

Maria Kądzielska

Koreańczycy nie przestraszyli się wyborów i zanotowano najwyższą frekwencję od 2004 r. Nie nastąpił wzrost zachorowań

Pomimo pandemii obywatele Korei Południowej w ubiegłym tygodniu (15 kwietnia) poszli do urn wyborczych. Wybierali nowy rząd na kolejne cztery lata. Frekwencja od 2004 r. w żadnych wyborach nie była tak wysoka. Wyniosła 66,2 proc.

Demokratyczna Partia Korei pod przewodnictwem prezydenta Jae-ina stała się rzadkim beneficjentem pandemii koronawirusa. Umiejętnym podejściem do kryzysu zaskarbiła sobie głosy Koreańczyków, zdobywając aż 180 miejsc na 300 w parlamencie. Konserwatywna opozycja może narzekać na ciężkie lądowanie z tylko 103 miejscami, a trzecia partia – Sprawiedliwość – pozostała przy sześciu mandatach, tak samo jak w wyborach z 2016 r.

WYBORY W CZASACH ZARAZY

Korea nie wdrożyła metody całkowitego zakazu wychodzenia z domu, lecz jedynie model społecznego dystansu. Zakazano dużych publicznych zgromadzeń i wprowadzono nauczanie domowe, ale nie zamknięto sklepów, targów, restauracji, barów ani kawiarń (choć ich obroty spadły). Utrudnienia w głosowaniu były więc minimalne. Obywatele zostali pouczeni o zachowaniu metra odstępu w kolejkach przed lokalami wyborczymi. Wewnątrz urzędnicy w maseczkach mierzyli im temperaturę. Następnie wyborcy sterylizowali ręce żelem, zakładali jednorazowe rękawiczki, prezentowali urzędnikom dokument tożsamości i głosowali w kabinach. Pacjenci z potwierdzonym koronawirusem mogli opuścić kwarantanny, szpitale czy centra medyczne i głosować po godz. 18.

– W Korei polityka to bardzo delikatna sprawa. Ludzie nie przyznają się publicznie, na kogo głosują. W tej kwestii społeczeństwo jest bardzo spolaryzowane – tłumaczy w rozmowie z tygodnikiem „Do Rzeczy" Yoo-seon Go, 45-letnia mieszkanka Seulu. – Zawsze głosuję, ale tym razem to było szczególnie ważne, ponieważ znajdujemy się w kryzysie i potrzeba dobrego przywództwa. Uważam, że partia demokratyczna radzi sobie bardzo dobrze – komentuje.

Sposób, w który rząd przeciwstawił się pandemii, napawa Koreańczyków optymizmem i poczuciem dumy. Panuje powszechne przekonanie, że w obliczu kryzysu rządzący i społeczeństwo stanęli na wysokości zadania, a nawet poradzili sobie z nim lepiej niż inni. – Z przerażeniem patrzę na doniesienia z Europy. Wcześniej chciałam za wszelką cenę wysłać moje dzieci na studia do Francji lub Anglii, ale teraz widzę, że my radzimy sobie lepiej niż kraje wysokorozwinięte. Tam ludziom chyba brakuje dyscypliny – dodaje Yoo-seon.

METODA WCZESNEGO WYKRYWANIA

Zwyczajowo Koreańczycy przestrzegają rygorystycznej higieny osobistej i są przyzwyczajeni do noszenia maseczek. Jednak rząd w Seulu bardzo szybko prze-

eprasa.pl 33dbceaddd

prowadził szeroko zakrojone testy, które umożliwiły wczesne wykrycie i leczenie pacjentów z koronawirusem. Stało się to możliwe dzięki stworzeniu własnych skutecznych testów (obecnie trwają negocjacje w sprawie zakupu tych testów przez Polskę). Z uwagi na znacznie dalej niż w Europie posuniętą inwigilację społeczną – dostęp do wyciągów z kart, lokalizacji rejestrowanych telefonem oraz kamer miejskich – możliwa stała się szybka lokalizacja osób, które miały kontakt z chorymi. Profile osób zarażonych są również udostępniane publicznie, tak że można na bieżąco je śledzić i samemu się zgłosić do odpowiednich służb. W dodatku każdy otrzymuje powiadomienie na telefon, jeśli został wykryty nowy przypadek w jego okolicy. W efekcie dotychczas na 52-milionowe społeczeństwo bez wprowadzenia tzw. lockdownu zarejestrowano trochę powyżej 10 tys. zarażonych, w tym 236 osób zmarło, a ponad 8 tys. wyzdrowiało. Przy czym w Korei szczyt zachorowań przypadał na koniec lutego i początek marca. Obecnie notuje się mniej niż 10 nowych przypadków dziennie.

– Kampania wyborcza dotyczyła przede wszystkim pandemii, właściwie w mediach nie mówiono o niczym innym. Jestem przekonany, że koronawirus bardzo pomógł rządowi Moona w zwycięstwie – przyznaje Hae-in Jung, student czwartego roku, w rozmowie z tygodnikiem „Do Rzeczy".

Wyborcy dezynfekowali ręce, zakładali rękawiczki i głosowali w kabinach. Ci z COVID-19 głosowali w wyznaczonym czasie

– Jestem zadowolony z obecnych rządów, tak jak większość moich znajomych, ale moi rodzice i dziadkowie głosowali na innego kandydata. Nawet im się nie przyznałem, że wsparłem Moona, bo obraziliby się na mnie. Starsi ludzie są w kwestiach politycznych znacznie bardziej drażliwi.

KAMPANIA PREZYDENCKA

Sukces partii demokratycznej umocnił pozycję Moon Jae-ina, obecnie rządzącego prezydenta, co może mieć swoje odzwierciedlenie w kolejnych prezydenckich wyborach, które odbędą się w 2022 r. Dotychczas udało mu się uniknąć skandali korupcyjnych, które stały się ostatnio piętą achillesową koreańskich polityków. Dwaj poprzedni prezydenci z ramienia konserwatystów – Lee Myung-bak i Park Geun-hye – odsiadują kary więzienia, odpowiednio 17 i 33 lat. Obu udowodniono udział w przekrętach związanych z korupcją i nepotyzmem. Moon stara się zachować nieskazitelny wizerunek do tego stopnia, że mianowany przez niego osobiście doradca Cho Kuk podał się do dymisji po oskarżeniach o nepotyzm.

Dotychczas największym politycznym osiągnięciem Moona było spotkanie z prezydentem Donaldem Trumpem i Kim Dzong Unem, przywódcą Korei Północnej, które odbyło się 30 czerwca ubiegłego roku w koreańskiej strefie zdemilitaryzowanej. Moon stał się tym samym trzecim prezydentem w historii, który spotkał się ze swoim północnokoreańskim odpowiednikiem.

– Przeprowadzenie legalnych wyborów w ustawowym terminie było ważne ze względu na zachowanie stabilności politycznej w kraju. Widmo zagrożenia jest niezmiennie bardzo odczuwalne. W szczególności że w tym roku po raz pierwszy do parlamentu kandydowało ugrupowanie reprezentujące uciekinierów z Korei Północnej – tłumaczy Hae-in Jung.

Marzeniem Moona jest nawiązanie stałych relacji politycznych i handlowych z Pjongjangiem. Jednak zbliżanie się dwóch siostrzanych państw nie leży w niczyim interesie. Gdyby doszło do zjednoczenia podzielonego kraju, Korea stałaby się prawdopodobnie drugą potęgą w regionie, wyprzedzając Japonię, łącząc siłę gospodarczą południa z militarnym potencjałem północy. Zdestabilizowałoby to obecnie istniejący układ geopolityczny, na co sceptycznie patrzą zarówno Amerykanie, jak i Chińczycy.

WIDMO RECESJI

Nowo wybrany rząd nie ma łatwego zadania. Będzie musiał przeprowadzić trzecią co do wielkości gospodarkę Azji (nie licząc Indii) przez ciężkie czasy ekonomicznego kryzysu. Niepokojące sygnały już się nasilają. Międzynarodowy Fundusz Walutowy obniżył w tym roku tempo wzrostu Korei z 2,2 proc. do –1,8 proc. Jeśli prognoza ta będzie miała odzwierciedlenie w rzeczywistości, wówczas będzie to pierwsza recesja od 1998 r. Korea – ekonomicznie zależna zarówno od Chin, jak i od Stanów Zjednoczonych – będzie musiała jeszcze sprawniej lawirować między dwoma wielkimi graczami, których rywalizacja w dobie pandemii jedynie się nasila. Tę sytuację dobrze ilustruje koreańska popkultura, w której najbardziej znany zespół muzyczny w Seulu używa angielskiej nazwy Seventeen, a swoje utwory wykonuje po mandaryńsku.

Rząd demokratów podjął decyzje o stworzeniu drugiego dodatkowego budżetu pomocowego o wysokości 7,6 bln wonów (ok. 5,75 mld dol.) na łagodzenie skutków kryzysu gospodarczego. W celu wygospodarowania potrzebnych środków zdecydowano się na dostosowanie zatwierdzonego już budżetu rocznego państwa poprzez cięcia w poszczególnych resortach. Stracił na tym najbardziej budżet na obronność, siłom zbrojnym zabrano 900 mld wonów (ok. 733 mln dol.). Jednak zdaniem rządu to lepsze niż emitowanie specjalnych obligacji skarbowych.

Jedno jest pewne – jesteśmy świadkami konkurencji postępowań rządów na całym świecie. Za kilka miesięcy okaże się, która strategia była lepsza i bardziej korzystna dla obywateli, a które metody były błędne i jedynie pogłębiały kryzys. Koreańczycy wydają się o krok przed Europejczykami. Już niemal wygrali z wirusem i teraz rozpoczynają walkę o ocalenie gospodarki. A to bitwa, która dopiero jest przed nami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 33dbceaddd

Rozdanie Stypendiów Fundacji Książąt Lubomirskich w PWSW w Przemyślu

Zwróceni ku ojczyźnie

W tym roku mija 10 lat od zarejestrowania Fundacji Książąt Lubomirskich. Kontynuuje ona ponad 500-letnią działalność charytatywną słynnego polskiego rodu: funduje programy stypendialne, wspomaga szpitale, ratuje zabytki i dba o promocję Polski w świecie, zarówno tym realnym, jak i wirtualnym

409 lat temu, w roku 1611, Sebastian Lubomirski ufundował kaplicę w kościele oo. Dominikanów, a na jej utrzymanie zapisał prywatną wieś o nazwie Wolica. Wojewoda krakowski i słynny pan na Wiśniczu – Stanisław Lubomirski sponsorował również – jak byśmy powiedzieli w XXI w. – budowę kilku kościołów czy przytułku dla ubogich. Ufundował także m.in. klasztor Pijarów i Kolegium Pijarów oraz klasztor Karmelitów Bosych. Tradycję pomocy rodakom kontynuowali jego potomkowie.

Podczas wojen Lubomirscy wystawiali również chorągwie jazdy, piechurów czy dragonów, a także regimenty grenadierów do walki z wrogami Rzeczypospolitej. W kolejnych wiekach członkowie pochodzącego z Małopolski rodu fundowali kolejne klasztory, kaplice, kościoły i szpitale, jak również szkoły, teatry, biblioteki, kolekcje obrazów czy wydawanie prac romantyków. Utrzymywali również kompozytorów oraz wspierali filharmonie.

Tradycję działalności dobroczynnej i społecznej Lubomirscy kontynuują też w XXI w. 19 października 2010 r. zgodnie z wpisaną w herb dewizą Patriam Versus (Zwróceni ku Ojczyźnie) zarejestrowana została Fundacja Książąt Lubomirskich. Jej fundatorem został Stanisław Stefan Lubomirski-Lanckoroński. Fundacja jest apolityczna, a do jej głównych celów należy krzewienie edukacji oraz wspieranie postaw patriotycznych i prospołecznych przyszłych pokoleń Polaków.

SZANSA NIE TYLKO DLA ZABYTKÓW

Już w 2011 r. Fundacja Książąt Lubomirskich (FKL) sfinansowała wystawę „Lubomirscy w Wilanowie. Polityka i prywatność". Rok później była kluczowym partnerem ogólnopolskiej konferencji „Szansa dla zabytków 2012". Razem z Mazowieckim Wojewódzkim Konserwatorem Zabytków oraz biurem badań i dokumentacji zabytków EwidencjaZabytkow.pl Fundacja znów przybyła na ratunek polskim dobrom kultury. Patronat nad konferencją „Szansa dla zabytków 2013" objął wówczas prezydent RP, a specjalnym jej gościem był Hank Dittmar, dyrektor generalny fundacji brytyjskiego następcy tronu księcia Karola.

Jednym z ważnych działań Fundacji jest kontynuacja ponadpięćsetletniej historii rodziny związanej z budową, odbudową i renowacją najwspanialszych polskich budowli. Fundacja wspiera więc m.in. remonty zamku i kościoła klasztornego w Wiśniczu oraz inicjatywy Muzeum-Pałacu w Wilanowie. Fundacja dofinansowała także konserwację obrazu św. Antoniego Padewskiego oraz renowację dzwonu Sylwester w bazylice kolegiackiej w Przeworsku.

FKL przekazała również muzeum w Przeworsku kopię niezwykłego obrazu

eprasa.pl 33dbceaddd

Gala z okazji obchodów 100-lecia powstania Polskiego Komitetu Igrzysk Olimpijskich założonego przez księcia Stefana Lubomirskiego

Elżbiety Vigée-Lebrun „Książę Henryk Lubomirski jako geniusz sławy". Jan Lubomirski-Lanckoroński, prezes Fundacji Książąt Lubomirskich, podarował z kolei Muzeum Zamku w Łańcucie XVIII-wieczną mowę sejmową marszałka wielkiego koronnego Stanisława Lubomirskiego.

W ramach wspierania przedsięwzięć mających za przedmiot oświatę i wychowanie oraz kulturę i sztukę FKL została m.in. mecenasem KultURaliów 2013, objęła patronatem akcję organizowaną przez Fundację Zaczytani.org, a także wystawę „Kocham, lubię, szanuję" niezwykłej malarki Laury La Wasilewskiej, której dzieła znane są nie tylko w Europie, lecz także w Stanach Zjednoczonych.

Fundacja objęła patronat nad oratorium „Requiem katyńskie", czyli koncertem z okazji Dnia Pamięci Ofiar Zbrodni Katyńskiej. Wsparła również finansowo 50. edycję Festiwalu Małych Form Teatralnych, organizowanego przez Liceum Ogólnokształcące im. Króla Jana III Sobieskiego w Krakowie, a także objęła patronat nad międzynarodową konferencją „Od starostów Lubomirskich do nowoczesnej turystyki kulinarnej na Podtatrzu". Fundacja Książąt Lubomirskich wsparła również finansowo i objęła patronatem uroczystości związane ze 150. rocznicą urodzin ks. kard. Adama Sapiehy, organizowane przez Muzeum Narodowe Ziemi Przemyskiej.

Ochrona zabytków i dbałość o polskie dziedzictwo kulturowe to jeden z najważniejszych celów statutowych Fundacji. Prezes FKL Jan Lubomirski-Lanckoroński, członek Rady Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie oraz Rady Muzeum Łazienki, miał więc zaszczyt uczestniczyć w uroczystej inauguracji 41. sesji Komitetu Światowego Dziedzictwa UNESCO, która 2 lipca 2017 r. odbyła się na zamku na Wawelu. Wcześniej prezes Fundacji miał okazję do wymiany doświadczeń w obszarze rewitalizacji obiektów zabytkowych i przywracania im funkcji użytkowych w XXI w. m.in. podczas wizyty w Dumfries House (gdzie udał się w 2013 r. na zaproszenie brytyjskiego następcy tronu, księcia Walii). Z zakresem działania Fundacji Jan Lubomirski-Lanckoroński zapoznał także m.in. Jego Królewską Mość księcia Edwarda, hrabiego Wessexu, podczas jego wizyty w Warszawie w roku 2014. Prezes Fundacji od dawna współpracuje z brytyjską rodziną królewską w osobach księcia Walii Karola i jego małżonki Kamili. A działalność charytatywna i społeczna prowadzona przez członków rodu Windsorów jest od lat źródłem inspiracji dla prezesa Fundacji Książąt Lubomirskich.

PROJEKTY EDUKACYJNE...

Jednym z celów Fundacji Książąt Lubomirskich jest pomoc w edukacji i starcie życiowym. Fundacja wsparła więc m.in. aukcję charytatywną „Z nadzieją w przyszłość", ufundowała stypendia dla studentów Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie oraz dla uczniów Szkoły Podstawowej w Kamieńcu, podarowała laptop marki Asus wraz z oprogramowaniem Liceum Ogólnokształcącemu im. gen. Władysława Andersa w Lesku, przekazała stanowiska komputerowe oraz projektory multimedialne dzieciom ze Szkoły Podstawowej w Harcie oraz wsparła akcję Tornister Pełen Uśmiechu.

Kupowany dla szkół sprzęt komputerowy oraz stypendia dla studentów i uczniów umożliwiają młodym naukę, a w konsekwencji lepszy start w dorosłość i aktywizację zawodową. FKL finansowo pomogła także w organizacji historycznego pikniku stowarzyszenia Per Saecula na zamku w Wiśniczu w 2012 r. Pieniądze na wsparcie swojej działalności otrzymał też Klub Sportowy „Szreniawa". Fundacja zasponsorowała także nagrody – a były to czterodniowe wycieczki do Wiednia – w kilku edycjach konkursu wiedzy o Rzeszowie. Dużo frajdy sprawiły nagrody dla wszystkich uczestników konkursu pt. „Radosne słowo – wiersz lub piosenka dla Mamy" w Specjalnym Ośrodku Szkolno-Wychowawczym nr 1 im. Marii Grzegorzewskiej w Przemyślu.

Fundacja objęła również patronat nad Ogólnopolską Konferencją Prawno-Medyczną organizowaną przez studentów należących do Europejskiego Stowarzyszenia Studentów Prawa ELSA Rzeszów oraz III Międzynarodową Konferencję Naukową „Młodzież w społeczeństwie

eprasa.pl 33dbceaddd

Karetka pogotowia podarowana przez Fundację szpitalowi powiatowemu w Bochni

posttransformacyjnym: szanse i zagrożenia". Fundacja Książąt Lubomirskich objęła także patronat honorowy nad akcją „Odkryj wartość dziecka", organizowaną przez stowarzyszenie „Podaruj Dzieciom Promyk Słońca". Jej celem jest przekazanie młodym ludziom wiary we własne umiejętności oraz wiedzy o tym, jak osiągnąć sukces.

... ORAZ ZDROWOTNE

Fundacja Książąt Lubomirskich wiele uwagi poświęca także projektom medycznym. Ufundowała ona m.in. karetkę ratunkową na rzecz Szpitala Powiatowego w Bochni. Część pieniędzy na zakup ambulansu transportowego z napędem na cztery koła zebrano podczas balu charytatywnego, który odbył się na zamku w Wiśniczu z okazji 10. rocznicy ślubu Jana Lubomirskiego i Dominiki Kulczyk-Lubomirskiej. W związku z rozpoczęciem akcji „Wakacje prosto z serca 2012" Fundacja Książąt Lubomirskich udzieliła też wsparcia finansowego na pokrycie części kosztów turnusów rekreacyjno-sportowych dla dzieci z chorobą nowotworową organizowanych w ośrodku Fundacji Spełnionych Marzeń. Fundacja Książąt Lubomirskich ufundowała także defibrylator dla Ochotniczej Straży Pożarnej w Łące.

Pomoc otrzymały również szpitale w Toruniu i Ustrzykach Dolnych oraz Wodne Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe w Lubniewicach. Fundacja objęła patronat honorowy nad Wampiriadą – największym ogólnopolskim projektem promującym ideę honorowego krwiodawstwa i zdrowego trybu życia wśród młodzieży akademickiej i mieszkańców dużych miast.

Na regularne wsparcie Fundacji Książąt Lubomirskich liczyć mogła Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy. W 2012 r. na aukcję WOŚP przekazała diamentową broszę książąt Lubomirskich, w 2013 r. złote pióro, a w roku 2014 kunsztownie wykonaną replikę polskiej szabli kawaleryjskiej z 1917 r. W 2019 r. Fundacja dofinansowała również aparat słuchowy dla dwuletniego chłopca cierpiącego na wrodzoną wadę słuchu.

THE CROWN – KORONA RZECZPOSPOLITEJ

Poza działalnością charytatywną jednym z celów statutowych Fundacji jest rozwijanie i umacnianie postaw nakierowanych na aktywne współdziałanie w rozwoju społeczeństwa patriotycznego. W 2016 r. Fundacja Książąt Lubomirskich, mając na celu promowanie polskiego dorobku i osiągnięć, została partnerem plebiscytu „100% Polski Produkt" zorganizowanego przez redakcję tygodnika „Do Rzeczy". W ramach sprawowania pieczy nad polską historią i dziedzictwem narodowym w 2016 r. Fundacja Książąt Lubomirskich została również partnerem i sponsorem konkursu „Strażnik Pamięci" organizowanego przez „Do Rzeczy" (Fundacja była także sponsorem i patronem tego konkursu w latach: 2017, 2018 i 2019).

FKL objęła patronat honorowy m.in. nad czwartą edycją „Bitwy pod Chocimiem 1621", ufundowała tablicę pamiątkową podczas jubileuszu 350-lecia zawarcia historycznej ugody w Łęgonicach oraz współorganizowała II edycję Festiwalu im. Księcia Władysława Lubomirskiego, podczas której odbyło się ponad 20 koncertów w pięciu miastach w Polsce i poza jej granicami.

Fundacja sfinansowała również wybicie medali z wizerunkiem księcia Stefana Andrzeja Lubomirskiego (pierwszego prezesa PKOl) z okazji 100-lecia powstania Polskiego Komitetu Olimpijskiego, a także z wizerunkiem księcia Kazimierza Lubomirskiego oraz prezydenta USA Thomasa Woodrowa Wilsona z okazji 100-lecia nawiązania stosunków polsko-amerykańskich.

W ramach promocji Polski i jej historii na rynek księgarski w 2018 r. trafiło trzytomowe wydanie „Lubomirscy. Książęta polscy". Już wkrótce wydana ma zostać także publikacja: „Król bez korony – książę regent Zdzisław Lubomirski", poświęcona jednemu z twórców Deklaracji niepodległości.

Fundacja chce promować Polskę nie tylko w świecie rzeczywistym, lecz także w tym wirtualnym. W 2019 r. prezes Fundacji Jan Lubomirski-Lanckoroński został prelegentem panelu „Gry wideo oraz e-sport – polski fenomen" podczas Kongresu 590 w Rzeszowie. W Internecie na stronie https://thecrowngame.com/ jest już dostępna darmowa historyczna gra komputerowa „The Crown – Korona Rzeczpospolitej". Tytuł z gatunku MMORPG (massively multiplayer online role-playing game) umożliwi przeniesienie się graczy do realiów XVII w. Uczestnik gry będzie mógł wcielić się w Polaka, Litwina, Kozaka albo Rusina. Każdy na świecie może więc nie tylko podziwiać polskie zabytki, lecz także walczyć w obronie cyfrowo odtworzonych twierdz. Stawką rozgrywki jest tytułowa Korona Rzeczpospolitej.

Fundacja dba również o swoją obecność w mediach społecznościowych. Od 2018 r. na Instagramie działa konto princeslubomirskifoundation (obserwowane przez niemal 80 tys. osób). W 2019 r. otwarto także na Instagramie konto gry thecrowngame oraz jedno na Facebooku („The Crown – Korona Rzeczpospolitej").

FUNDACJA KSIĄŻĄT LUBOMIRSKICH

ARTYKUŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl 33dbceaddd

FOT. ADOBE STOCK

SZTUKA KORONAWIRUSOWA

Niejaki Dennis Klapschus, który jest artystą, postanowił wykorzystać czas epidemii, by wystawić na aukcje wspaniałe dzieło, którym była rolka papieru toaletowego – przedmiot tak pożądany przez wszystkich, którzy na początku zarazy popędzili do sklepów. Ktoś wylicytował rolkę papieru za ponad 5 tys. euro. Artysta przekazał całą kwotę z licytacji na rzecz organizacji, która zajmuje się sprawami dzieci.

ŁADNA FRYZURA CIĘ ZDRADZI

Włoscy funkcjonariusze w miejscowości Rovellasca (Lombardia) zwrócili uwagę na mężczyznę, który miał wyjątkowo dobrze ostrzyżone i zadbane włosy. Zatrzymali go, a on przyznał się, że właśnie wyszedł od fryzjera. Zarówno fryzjer, który otworzył zakład mimo rządowego zakazu, jak i klient, który skorzystał z usługi, zostali ukarani.

PREZYDENT NIEUCZESANY

Nie tylko zwykli obywatele Włoch nie chodzą teraz do fryzjerów. Nie strzyże się nawet prezydent kraju Sergio Mattarella. Wyszło to na jaw, bo technicy montujący jego filmowe wystąpienie przegapili w materiale fragmenty, które powinny zniknąć. I tak Włosi usłyszeli, jak 78-letni prezydent poproszony przez współpracowników o przygładzenie włosów odpowiada im, że też nie chodzi teraz do fryzjera. Innemu kazał przestać się ruszać, bo go dekoncentruje. Prezydenckie biuro poinformowało potem media, że wysłało do nich błędny plik z orędziem. Było już jednak za późno. I co ciekawe, popularność prezydenta nagle wzrosła. Ludziom spodobało się, że nie korzysta z przywilejów bycia głową państwa.

NA ONDULACJĘ DO SZWECJI

Szwedzkie media ujawniły, że kraj staje się „fryzjerskim rajem" dla kobiet z innych krajów. Tam bowiem zakłady działają. Przyjeżdżają więc do nich bogate panie z zagranicy. Jedna klientka ze Szwajcarii skłonna była za nową fryzurę dołożyć 1,8 tys. euro za bilet lotniczy do Szwecji. Podobną wyprawę zorganizowało kilka jej zamożnych koleżanek.

UCIECZKA Z EBOLĄ

Jakby było mało obecnych zmartwień z koronawirusem, jeden pan z Konga postanowił (oby nie) dołożyć światu nowych problemów. 28-latek, u którego potwierdzono zakażenie wirusem eboli, uciekł z kliniki w mieście Beni. Tymczasem władze Konga właśnie przygotowywały się do otrąbienia sukcesu w zwalczeniu drugiej co do wielkości epidemii eboli na świecie. Trwała od końca 2018 r. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Bezpiecznie już było

Pandemia koronawirusa stawia Niemcy przed największą próbą od czasów drugiej wojny światowej i zjednoczenia kraju w 1990 r. – oznajmiła w czwartek kanclerz Niemiec Angela Merkel.

Rządy wielu państw, które po przymusowym ograniczeniu aktywności, powoli próbują przywracać kraje do życia. Warto jednak zapamiętać przyjemne uczucie nudy z czasów kwarantanny. Załamanie na rynku ropy może bowiem doprowadzić do upadku branżę naftową np. w USA, z czego cieszyć się mogą tylko tak głupiutkie istotki jak lewicowa kongresmenka Ocasio-Cortez. A to tylko jedno z zagrożeń. Fakt, że świat jest zajęty wirusem, wykorzystały już Chiny. W kwietniu zajęły niewielki sporny archipelag Wysp Spartly na Morzu Południowochińskim, tworząc na nich swoje „najmłodsze miasto". Chińska straż przybrzeżna zatopiła też wietnamski statek rybacki. Wietnam protestuje. Ale co może zrobić? Niewiele da też krytyka „bandyckiego" zachowania Chin ze strony USA. Konsekwencje mogą być poważne, ale obecnie temat przeszedł niemal niezauważony.

Z zamieszania skorzystał też Iran, który sukcesem zakończył próbę wystrzelenia pierwszego wojskowego satelity, zwiększając możliwości w dziedzinie rakiet balistycznych. Przewidując kolejne ruchy reżimu ajatollahów, Trump już rozkazał okrętom USA, aby użyły ognia wobec każdej irańskiej łodzi, która je będzie nękać. Nad przepaścią znalazły się również Irak i inne kraje Bliskiego Wschodu. Pandemia krzyżuje też plany Putina, który chciałby rządzić dożywotnio, ale zamiast o nowej konstytucji musi radzić sobie ze spadającymi cenami ropy, wyprzedażą rubla i szybko biedniejącym proletariatem. Jeśli do tego dodamy nadchodzącą pandemię głodu, to wirus przestanie wydawać się taki straszny. ©℗

eprasa.pl 33dbceaddd

Niebezpieczne luzowanie

Łukasz Warzecha

Zadłużanie państwa jest dziś konieczne, ale jeśli nie będzie jednorazowym zastrzykiem, to może stać się groźne

Opowiem historię o długu publicznym, nazwijmy go dziś długiem kosmicznym. Można wysłać, nie, to nie farsa, za te pieniądze Polaka na Marsa.

Tak niemal 10 lat temu śpiewał w „Piosence o długu publicznym" DJ Funky Koval, wytykając rządowi Donalda Tuska, że zwiększył w swojej pierwszej kadencji zadłużenie Polski o 180 mld zł. Klip można znaleźć na YouTube i zobaczyć, że na dole kadru przez cały czas jego trwania mknie licznik. Na początku wskazując zero, na koniec trwającej blisko siedem minut piosenki sięga już 780 tys. zł. W roku powstania piosenki oficjalnie polski dług publiczny wynosił 771 mld zł, co oznaczało, że na każdego Polaka (przyjmując przybliżoną populację 38 mln) przypadało ok. 20,3 tys. zł. W 2018 r. dług publiczny przekraczał już bilion złotych (1034 mld zł), a więc każdy miałby do spłacenia ponad 27 tys. zł. Szykujmy się, że za moment licznik długu publicznego (dostępny pod adresem: www.dlugpubliczny.org.pl) przyspieszy jak ferrari testarossa, bo następstwem walki z kryzysem spowodowanym przez COVID-19 będzie ogromne zadłużanie się państw, czyli to, co ekonomiści nazywają luzowaniem.

ZADŁUŻENIE PAŃSTWA

Cóż to właściwie jest ten dług publiczny? Jest to zadłużenie wszystkich należących do państwa instytucji, z samorządami włącznie. Najczęściej powstaje poprzez emisję obligacji. Ktoś je kupuje – to mogą być międzynarodowe instytucje finansowe w przypadku krajów o międzynarodowych walutach, ale też, jak to bywa w Polsce, instytucje miejscowe – i w ten sposób rząd pożycza pieniądze. Taką rolę odgrywały kiedyś otwarte fundusze emerytalne, teraz pozostał NBP. Polskie obligacje są też jednak kupowane za granicą, a także przez Polaków. Może to zrobić każdy przez Internet. Obligacja ma swoją datę zapadalności, gdy państwo musi swój dług spłacić z odpowiednim oprocentowaniem. Żeby móc to zrobić, często musi się znów zadłużyć. Im słabsza renoma i kondycja gospodarcza danego kraju, tym wyższym oprocentowaniem swoich obligacji musi kusić kupujących. Niemieckie obligacje skarbowe mają w tej chwili ujemne oprocentowanie (ok. 0,5 proc. w przypadku obligacji rocznych), a mimo to sprzedają się znakomicie – to odbicie wiary w siłę niemieckiej gospodarki.

To, jaki jest poziom długu publicznego – nie tylko bezwzględny, lecz także w relacji do PKB – określa, jak dane państwo jest postrzegane na rynkach finansowych. Oczywiście wielcy mogą sobie pozwolić na więcej. Na przykład w USA poziom długu publicznego wyraźnie przekracza 100 proc. PKB. Inni – w tym Polska – uprawiają nierzadko kreatywną księgowość, wyprowadzając część zadłużenia formalnie poza kryteria określające dług publiczny. Choćby do różnych rządowych funduszy. Stąd na stronie z licznikiem długu publicznego drugie okienko: ukryty dług publiczny, w którym widnieje w tej chwili suma ponad 4,8 bln zł.

Żeby zadłużenie nie rosło w nieskończoność, do systemu powstawiano hamulce. Artykuł 216 polskiej konstytucji mówi: „Nie wolno zaciągać pożyczek lub udzielać gwarancji i poręczeń finansowych, w następstwie których państwowy dług publiczny przekroczy 3/5 wartości rocznego produktu krajowego brutto. Sposób

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 33dbceaddd

obliczania wartości rocznego produktu krajowego brutto oraz państwowego długu publicznego określa ustawa". Jest zatem sztywna reguła, ale jest też mrugnięcie okiem – furtka pozwalająca manipulować ustawowymi definicjami. Mamy też regułę wydatkową, zapisaną w Ustawie o finansach publicznych, określającą, ile możemy wydać (a więc też, na ile możemy się zadłużyć). Są wreszcie limity unijne, zawarte w obowiązującym od 2012 r. pakcie fiskalnym. Granicę zadłużenia państwa stawia on na wysokości 60 proc. długu do PKB.

PiS chwalił się tym, że doprowadził do zmniejszenia długu publicznego. Pomijając wspomnianą wcześniej kreatywną księgowość, którą uprawiała też chętnie PO, to tylko częściowa prawda. Owszem, za PiS zaczął spadać stosunek długu publicznego do PKB (w latach 2015–2018 odpowiednio: 51, 54, 51 i 49 proc. PKB), co jest istotną zmianą. Dług publiczny rósł też wolniej – ale wciąż rósł. Dzisiaj, gdy PKB nieuchronnie się zmniejszy – według niektórych prognoz może mieć nawet wartość ujemną rzędu 5–6 proc. – relacja długu publicznego do PKB stanie się skokowo mocno niekorzystna, być może zderzając się z unijną granicą 60 proc., a zarazem równie gwałtownie wzrośnie bezwzględna wartość zadłużenia.

Tylko czy jest inne wyjście? Zadłużaniem się na potęgę nie przejmują się dzisiaj politycy w żadnym państwie dotkniętym epidemicznym kryzysem. W Polsce również istnieje właściwie konsens co do tego, że zadłużenie państwa w celu wspomożenia gospodarki jest w tym momencie metodą oczywistą i najkorzystniejszą. Mówią to zarówno etatyści, jak i wolnorynkowcy.

Robert Gwiazdowski w rozmowie z „Do Rzeczy" wskazuje, że sytuacja, w której znaleźli się przedsiębiorcy, ma źródło w czynniku porównywalnym z wojną oraz w decyzjach państwa, które przecież zamknęło dużą część biznesów. „W razie wojny to państwo bierze na siebie odpowiedzialność za obronę obywateli – mówi Gwiazdowski – i tak samo teraz powinno wziąć odpowiedzialność za obronę przed skutkami gospodarczego krachu, bo to ono jest emitentem pieniądza". Wskazuje też, że państwo zadłuża się wyraźnie taniej (czyli może za swój dług zapłacić mniejsze procenty) niż firmy czy indywidualni obywatele. Lepiej więc, aby to ono wzięło na siebie dług i przekazało pieniądze dalej w różnych formach, niż aby robili to prywatnie przedsiębiorcy czy obywatele.

„W krótkim okresie trudno uniknąć wzrostu długu publicznego" – potwierdza Damian Olko z Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego. „Sytuacja jest nadzwyczajna" – zgadza się Marek Tatała, ekonomista z Fundacji Obywatelskiego Rozwoju.

„Dług nie jest w tej chwili problemem" – przytakuje Marcin Kędzierski, ekonomista z Centrum Analiz Klubu Jagiellońskiego. Dodaje, że z reguły wydatkowej możemy spokojnie zrezygnować, i wskazuje, że Polska nie ma chwilowo problemu ze sfinansowaniem swojego zadłużenia. Obligacje skarbowe sprzedają się na pniu. Polacy kupują je w takim tempie, że nie musi tego robić na wielką skalę NBP.

Cóż więc prostszego niż dołożyć do obecnego długu publicznego kolejne setki miliardów złotych, skoro wszyscy tak zamierzają zrobić? Co więcej, w UE zaczęła się dyskusja o poluzowaniu kryteriów paktu fiskalnego lub przynajmniej wyłączeniu z nich wydatków państw związanych z walką z pandemią. Inna sprawa, jak je liczyć.

WYGODNE NARZĘDZIE

Tutaj zaczynają się zastrzeżenia i obawy. Luzowanie finansowe jest bowiem dla każdego rządu bardzo wygodnym narzędziem. A przecież dług trzeba będzie spłacić, a po za tym większa podaż pieniądza na rynku to wyższa inflacja – wzrost cen.

Niestety, środki tymczasowe, które są uzasadnione w momentach nadzwyczajnych, mają tendencję do trwania. „Gdzieś musi się pojawić jakaś bariera, gdybyśmy mieli zrezygnować choćby z reguły wydatkowej" – powiada Marcin Kędzierski. Damian Olko natomiast zwraca uwagę na konieczność zachowania niezależności banku centralnego. To on bywa głównym nabywcą państwowych obligacji, a ponieważ – zwłaszcza w krajach spoza strefy euro – jest zwykle w jakiś sposób umocowany politycznie, to może pojawić się pokusa potraktowania jego roli zgodnie z bieżącą potrzebą polityczną: trzeba kupić obligacje i wpuścić do systemu trochę pustego w gruncie rzeczy pieniądza – bank ma wykonać. Z tego punktu widzenia wspólne pojawienie się na konferencji prasowej 8 kwietnia Mateusza Morawieckiego i Adama Glapińskiego nie jest dobrym sygnałem. Podczas niej szef rządu mówił o założeniach tarczy finansowej i wpuszczeniu do systemu 100 mld zł. Glapiński jako szef NBP, uwzględniając oczywiście sytuację, powinien jednak głównie dbać o trzymanie inflacji pod kontrolą. Banku centralnego nie można traktować jak drukarni pieniędzy na życzenie.

– Luzowanie teraz można zrozumieć – stwierdza Marek Tatała z FOR. – Ale co będzie, jeśli – jak przewiduje minister zdrowia – na jesieni nastąpi nawrót epidemii? Będziemy luzować jeszcze bardziej? I za każdym razem, gdy pojawi się kolejna fala choroby?

Tatała wskazuje też, że bardzo złym rozwiązaniem są próby ukrywania długu publicznego poprzez manipulowanie jego definicją. To sprzyja podejrzeniom o brak przejrzystości finansów państwa i nastawia do niego nieufnie instytucje finansowe.

Robert Gwiazdowski z kolei przypomina, że jeśli teraz mówi się o „środkach nadzwyczajnych", to nie jest to prawda, bo rządy uciekły się do tego sposobu w następstwie kryzysu z 2008 r., przy czym zamiast pomagać najważniejszym z punktu widzenia każdej gospodarki małym i średnim graczom, wsparły wielkie instytucje finansowe – było to szczególnie widoczne w USA. Teraz – obawia się Gwiazdowski – będziemy mieli próbę powtórzenia tego manewru.

Z powiększaniem długu publicznego jest jak z innymi awaryjnymi rozwiązaniami. Jak pisałem niedawno w „Do Rzeczy" – przegłosowany w Stanach Zjednoczonych w następstwie ataków z 11 września 2001 r. Patriot Act obowiązuje do dziś. Z luźnym podejściem do długu publicznego może być niestety podobnie, tymczasem ktoś go przecież będzie musiał w końcu spłacić. I tu też pojawia się zagrożenie, bo dług w liczbach bezwzględnych stanowi mniejsze obciążenie, jeśli wyższa jest inflacja. Państwa mogą mieć zatem pokusę, by tak bardzo z nią znowu nie walczyć.

Gdy gram na basie,
myślę, jak Polska zadłuża się,
Jak rząd bezkarnie okrada ciebie,
mnie i dziecko sąsiada.
Gdy walę w kontrabas,
to tak się wk...m na was,
Hołoto zwana rządem,
niech bas razi was prądem!

– śpiewał 10 lat temu w refrenie DJ Funky Koval. Dzisiaj, jeśli myślimy o ratowaniu gospodarki i o tym, żeby miał kto zarabiać na spłacanie długu, to musimy go paradoksalnie powiększyć. To jednak powinien być jednorazowy zastrzyk, coś jak podanie podtlenku azotu do silnika: raz można, ale jeśli będzie się to dziać cały czas, to silnik padnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 33dbceaddd

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Upaństwowić, czyli utopić?

Polska firma CD Projekt, wytwarzająca i sprzedająca – na całym świecie i z wielkim sukcesem – gry komputerowe, 2 kwietnia 2020 r. zatriumfowała jako największa – najwięcej warta – spółka na warszawskiej Giełdzie Papierów Wartościowych. Tamtego dnia przegoniła wszystkie giganty ze wszystkich branż – największe banki, największe firmy energetyczne i ubezpieczeniowe. Wszystkie, co do jednej!

I nie jest to – w przypadku CD Projekt – tylko znak naszych czasów, rozumianych jako era Internetu, który sprawił, że notowania firm związanych ze światem wirtualnym wszędzie pną się w górę, a proces ten jeszcze bardziej przyspieszył, gdy wirus SARS-CoV-2 pozamykał w domach miliardy ludzi. A nie jest to w przypadku CD Projekt wyłącznie znak tak rozumianych naszych czasów, bowiem notowania tej firmy na długo przed wybuchem pandemii pięły się w górę na GPW, pozwalając jej wyprzedzać jedną gigantyczną spółkę, której notowania w tym czasie spadały, po drugiej gigantycznej spółce, której notowania w tym czasie spadały. Aby lepiej zrozumieć istotę tego fenomenu w polskich realiach, trzeba koniecznie dodać jedną arcyważną informację: otóż spółka CD Projekt wyprzedzała na GPW jedną gigantyczną PAŃSTWOWĄ spółkę po drugiej gigantycznej PAŃSTWOWEJ spółce. Rzecz jasna, nie są to spółki w całości należące do państwa, jednakowoż należące do niego w stopniu, który pozwala rządowi wpływać na sposób zarządzania nimi – m.in. na to, jaką prowadzą politykę inwestycyjną.

A zatem prawidłowa odpowiedź na pytanie, dlaczego CD Projekt stał się największą spółką na polskiej giełdzie, brzmi: dlatego, że jest bardzo dobrze zarządzaną spółką działającą w branży z wielką przyszłością, na zarządzanie którą nie mają wpływu politycy. Poza wpływem polegającym na stanowieniu prawa, któremu CD Projekt podlega.

A teraz wyobraźmy sobie, co by się stało z notowaniami CD Projekt, gdyby firmę tę z jakichś powodów przejęło państwo. I rząd – za pośrednictwem ludzi, których skierowałby do władz spółki – skutecznie „zachęciłby" ją np. do wzięcia na swój garnuszek kilku upadających kopalń. Albo „przekonałby" ją do włączenia się w budowę bloku węglowego w elektrowni Ostrołęka i wydania na to części zysku. Albo „zachęciłby" do niepodnoszenia przez rok cen gier lub do podarowania ich juniorom w ramach „Wyprawki+", a seniorom w ramach „Emerytury+". Albo, albo, albo… Bo przecież wyobraźnia polityków – jak uczy doświadczenie – jest wprost niewyczerpana. A zatem na jakim poziomie wylądowałby kurs CD Projekt w minutę po ogłoszeniu, że polskie państwo przejmuje tę spółkę?

I co by to mówiło o zaufaniu do polskiego „kapitału" państwowego? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Susza pogłębi klęskę

To prawdopodobne: latem czeka nas susza, jedna z najgorszych, jakich doświadczyliśmy. Wbrew temu, co twierdzą oszalali klimatyści, nie należy tego jednak łączyć z rzekomym klimatycznym armagedonem. To przede wszystkim skutek fatalnej gospodarki wodnej. Mówiąc z grubsza – nawet gdy pada, nic z tego nie wynika, bo wody nie magazynujemy, a większość wyparowuje, zamiast wsiąkać w ziemię. Mówią o tym od dawna hydrolodzy, ale nie zajął się tym pogarszającym się problemem żaden z rządów. Ani Platformy Obywatelskiej, ani Prawa i Sprawiedliwości.

Wbrew temu, co twierdzą klimatyści, czekająca nas najgorsza susza to przede wszystkim skutek fatalnej gospodarki wodnej

Tyle że to nie ma teraz znaczenia. Istotne, że problem jest realny. Mimo to zająknął się o nim na razie tylko prezydent Andrzej Duda, lecz w sposób mało odkrywczy i treściwy – zaapelował o racjonalną gospodarkę wodną. Równie dobrze mógłby zaapelować, żebyśmy wszyscy byli dla siebie mili, a poza tym zdrowi.

Susza będzie oznaczać dwie rzeczy. Po pierwsze konieczność wypłacania rolnikom odszkodowań. A więc kolejne obciążenie dla budżetu, który i tak będzie w tym roku (a i pewnie przynajmniej w kolejnym) naciągnięty do granic możliwości. Po drugie mocny impuls inflacyjny w sytuacji poważnego zubożenia Polaków, bo susza to droższa żywność. Zależność jest tutaj prosta.

GUS pokazał dane o sprzedaży detalicznej z marca. Liczby są absolutnie katastrofalne, najgorsze w historii ich zbierania, a przecież marzec był w części w miarę normalnym miesiącem. Eksperci, dokonujący niezależnych szacunków możliwej stopy bezrobocia w kwietniu, są pewni, że będą to dwie cyfry. Niektórzy szacują, że bliżej 20 niż 10 proc. Jeżeli na to wszystko nałożymy katastrofalną suszę, to dostaniemy scenariusz klęski tak głębokiej, że strach o tym myśleć.

W tej sytuacji radosne przyrzeczenia prezydenta, dotyczące nienaruszalności świadczeń socjalnych, brzmią co najmniej lekkomyślnie. O ile jeszcze „500+" można potraktować w tym momencie jako sposób rozkręcenia gospodarki, o tyle utrzymywanie – i przyrzekanie, że nie zostaną tknięte – pozostałych elementów hojnego socjalu wydaje się karkołomne. Można jedynie mieć nadzieję, że te obietnice głowy państwa okażą się równie płonne jak te z 2015 r. o wyższej kwocie wolnej dla wszystkich lub załatwieniu sprawy frankowiczów. ©℗

eprasa.pl 33dbceaddd

Innowacje w farmacji i leczeniu w czasie COVID-19

Choroby współistniejące

PARTNERZY RAPORTU

Boehringer Ingelheim

Abbott

POLTREG

novo nordisk®

eprasa.pl 33dbceaddd

Rozmowa z Michalem Čuhą, prezesem zarządu Boehringer Ingelheim

Pomagamy walczyć z pandemią

Pandemia koronawirusa kompletnie zmieniła życie ludzi w Polsce i w wielu krajach świata. Jak COVID-19 wpłynął na branżę farmaceutyczną?

MICHAL ČUHA: Pandemia COVID-19 przyniosła ogromne wyzwania – zdrowotne, gospodarcze, społeczne i logistyczne.

Jako innowacyjna firma farmaceutyczna odczuwamy ogromną odpowiedzialność. Naszym najwyższym priorytetem jest zapewnienie ciągłości dostaw leków pacjentom, aby umożliwić im kontynuację terapii. Nie możemy przecież zapominać o osobach cierpiących na choroby przewlekłe. W dobie pandemii społeczności naukowe i branża farmaceutyczna odgrywają szczególną rolę. To właśnie na nich spoczywa zadanie znalezienia medycznego rozwiązania tego kryzysu. Dlatego firmy farmaceutyczne odrzuciły konkurencję, ściśle współpracują, dzieląc się doświadczeniem i zasobami, aby jak najszybciej opracować leki i szczepionkę na koronawirusa.

Kiedy możemy się jej spodziewać?

Każdy, kto pracuje w branży farmaceutycznej, zdaje sobie sprawę z tego, że opracowanie nowego leku czy szczepionki nie jest niestety kwestią dni czy tygodni, ale co najmniej kilkunastu miesięcy. Trudno zatem podać konkretne terminy. Pewne jest to, że zanim lek trafi na rynek, musi przejść odpowiednie badania potwierdzające jego bezpieczeństwo i skuteczność.

Możemy być jednak dobrej myśli. Nad nową szczepionką pracuje już bowiem ponad 30 różnych firm. Można sobie więc tylko wyobrazić, jak bardzo są teraz zdeterminowane. Naukowcy w laboratoriach na całym świecie pracują dzień i noc, aby jak najszybciej udostępnić nam szczepionkę na koronawirusa.

Boehringer Ingelheim nie produkuje szczepionek. Jak więc może pomóc w walce z COVID-19?

W walce z koronawirusem starają się również pomagać firmy, które nie opracowują szczepionek dla ludzi. Tak jest i w naszym przypadku. Przez lata zdobywaliśmy wiedzę i doświadczenie przy produkcji innowacyjnych leków. Posiadamy nowoczesne technologie i współpracujemy z ekspertami z wielu dziedzin medycyny. Obecnie dokonujemy przeglądu całej naszej biblioteki ponad miliona związków w celu zidentyfikowania potencjalnych cząsteczek, które mogłyby zwalczać wirusa. Włączyliśmy

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 33dbceaddd

się również do współpracy z naukowcami, instytucjami międzynarodowymi i innymi podmiotami z branży farmaceutycznej. Zaangażowaliśmy się m.in. w inicjatywę COVID-19 Therapeutics Accelerator, zainicjowaną przez Fundację Billa i Melindy Gatesów, oraz projekt stworzony przez Inicjatywę Innowacyjnych Leków (IMI) Unii Europejskiej.

W kulturze naszej firmy bardzo głęboko zakorzeniona jest empatia i to sprawia, że robimy wszystko, co w naszej mocy, aby pomagać w tych trudnych czasach na wielu płaszczyznach. Dotychczas, w skali globalnej, przeznaczyliśmy 5,8 mln euro m.in. na zakupy masek ochronnych, środków dezynfekujących, inhalatorów oraz leków.

W Polsce również staramy się pomagać w kilku wymiarach. W ciągu ostatnich tygodni otrzymaliśmy ponad 80 bezpośrednich próśb od szpitali i innych placówek medycznych o wsparcie finansowe lub rzeczowe w postaci środków ochrony osobistej dla lekarzy i pracowników ochrony zdrowia, jak również sprzętu wspomagającego diagnostykę. Z uwagą czytamy je wszystkie i za wszelką cenę staramy się odpowiedzieć na potrzeby.

Dodatkowo, jako firma, która ma duże doświadczenie w produkcji leków wykorzystywanych w leczeniu astmy, a także przewlekłej obturacyjnej choroby płuc (POChP), zdajemy sobie sprawę, że pacjenci cierpiący na te schorzenia podczas pandemii COVID-19 znajdują się w grupie podwyższonego ryzyka. W związku z tym przygotowaliśmy pulę kilku tysięcy opakowań naszego leku, stosowanego w leczeniu chorób dróg oddechowych, które przekażemy do szpitali. Chcemy w ten sposób pomóc chorym, a jednocześnie zdjąć ciężar finansowy z polskich szpitali, które zaoszczędzone w ten sposób pieniądze mogą przeznaczyć na zakup innych produktów niezbędnych podczas pandemii.

Ponieważ widzimy, że pandemia dotyka również inne obszary naszego życia, w sytuacji, kiedy zamknięto szkoły, zdecydowaliśmy się pomóc dzieciom, które muszą obecnie uczyć się zdalnie, a nie zawsze mają techniczne możliwości. Dlatego też przekazaliśmy 42 komputery, z których będzie mogło korzystać ponad 300 dzieci w sześciu polskich domach dziecka. Są to placówki, z którymi jako firma współpracujemy już od wielu lat.

Wspomniał pan o trudnej sytuacji pacjentów cierpiących na inne schorzenia niż COVID-19. Czy mogą być oni pewni, że Boehringer Ingelheim, nawet w czasach pandemii, będzie dostarczał niezbędnych im leków? Czy jeszcze w jakiś sposób wspieracie pacjentów?

Przez 135 lat istnienia nasza firma przeszła przez wiele bardzo trudnych sytuacji: dwie wojny światowe, wielki kryzys gospodarczy lat 30. czy kryzys finansowy lat 90. XX w.

Od zawsze działamy odpowiedzialnie, a zdrowie i bezpieczeństwo pacjentów są naszym priorytetem. Również obecnie wdrożyliśmy rozwiązania, które mają zagwarantować, że nie tylko produkcja będzie kontynuowana, lecz także że dostawy leków trafią do pacjentów zarówno w Polsce, jak i na całym świecie. Aby osiągnąć ten cel, zintensyfikowaliśmy procesy produkcyjne. Jednocześnie pomagamy w zwiększeniu zapasów leków zarówno u dystrybutorów, jak i w aptekach czy w szpitalach. Mogę więc zapewnić, że dokładamy wszelkich starań, aby pacjentom nie zabrakło naszych leków.

Nasze zobowiązanie w stosunku do pacjentów to także szeroko pojęta edukacja. Sytuacja, w której się znaleźliśmy, jest dla wszystkich nowa, dlatego też staramy się dostarczać sprawdzonych informacji o tym, jak dbać o siebie w tym wyjątkowym czasie. Wspieramy partnerów naszych kampanii edukacyjnych, takich jak Stowarzyszenie Edukacji Diabetologicznej (SED), które od kwietnia uruchomiło specjalną infolinię dla pacjentów – Diabetofon, mającą na celu odpowiedzieć na ich pytania i wątpliwości w dobie COVID-19. Równocześnie angażujemy się w projekty skierowane do lekarzy, dotyczące opieki nad chorymi m.in. na POChP, cukrzycę czy nowotwory, gdyż rozumiemy, jak kluczowa jest ich rola w zwalczaniu wirusa. Staramy się udostępniać im wiedzę i ekspertyzy poprzez organizowanie licznych webinariów, konsultacji e-mailowych i telefonicznych, które cieszą się bardzo dużym zainteresowaniem, co z kolei potwierdza, jak ważne są to kwestie.

Co w takim razie jest teraz największym wyzwaniem dla Boehringer Ingelheim?

Gdy mówimy o COVID-19, nie sposób pominąć wpływu tej pandemii na światową gospodarkę. Przygotowujemy już różne scenariusze na przyszłość i staramy się oszacować, co kryzys gospodarczy będzie oznaczał dla nas i całej branży farmaceutycznej.

Tak jak już wspomniałem, dużym wyzwaniem czasów pandemii są kwestie zaopatrzenia, czyli zapewnienie stałej dystrybucji naszych leków, a także składników potrzebnych do ich produkcji.

Jednak nie mniej ważny i wymagający dla nas jest obecnie nowy styl pracy. Zdecydowana większość pracowników wykonuje swoje zadania zdalnie, chociaż część osób nadal pracuje w fabrykach i laboratoriach, przy zachowaniu wszelkich możliwych środków bezpieczeństwa. Naszym priorytetem jest troska o dobre samopoczucie wszystkich pracowników i sprawienie, aby mogli oni z nadzieją patrzeć w przyszłość. To dzięki nim możemy bowiem nadal produkować i dostarczać nasze leki do różnych krajów świata.

W jaki sposób Boehringer Ingelheim w Polsce chroni swoich pracowników podczas obecnej pandemii?

W trosce o zdrowie naszych pracowników bardzo szybko podjęliśmy decyzję o przejściu w tryb pracy zdalnej. Zdajemy sobie sprawę, jak ważne są wszelkie działania prewencyjne, ograniczające rozprzestrzenianie się wirusa. Stosujemy standardowe procedury higieny, wszystkim pracownikom przekazujemy środki ochrony osobistej, takie jak maski i płyny dezynfekujące.

Dbamy również o dobre samopoczucie naszych pracowników. I nie mam tu na myśli jedynie programów motywacyjnych. Stworzyliśmy możliwości wewnętrznego wsparcia oraz komunikacji na wielu poziomach. Nasi pracownicy mogą łatwo dzielić się swoimi doświadczeniami, zadawać pytania i wspólnie szukać odpowiedzi m.in. podczas cotygodniowych spotkań on-line z zarządem firmy. Zapewniamy także profesjonalne wsparcie psychologiczne, zarówno dla pojedynczych osób, jak i dla całych grup. Prowadzimy zdalne zajęcia jogi.

Zarówno dział personalny, jak i liderzy poszczególnych zespołów starają się w tym szczególnym okresie przekazać naszym pracownikom dobre, kreatywne pomysły spędzania czasu, jednocześnie pamiętając o zachowaniu właściwej równowagi pomiędzy pracą a życiem rodzinnym. To właśnie tego typu postawa i działania wyróżniają naszą firmę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 33dbceaddd

Odmrażanie zdrowia

FOT. ADOBE STOCK

Katarzyna Pinkosz

Gdy mówi się o odmrażaniu gospodarki, nie można zapomnieć o odmrażaniu ochrony zdrowia. Od ponad miesiąca zmagamy się z koronawirusem, jednak COVID-19 to nie jest jedyny problem chorych w Polsce

Epidemia COVID-19 przygniotła polski system ochrony zdrowia. W pierwszym okresie wszyscy skoncentrowali się na koronawirusie. W szpitalach odwołano planowe operacje, zaprzestano wykonywania badań przesiewowych. Lęk przed zakażeniem powoduje, że niektórzy pacjenci nawet w nagłych sytuacjach, takich jak zawał serca czy udar mózgu, starają się odwlec wezwanie karetki pogotowia, choć specjaliści apelują, by tego nie robić, bo konsekwencje mogą być nieodwracalne. Coraz częściej pojawiają się głosy, że jeśli zapomnimy o innych dziedzinach medycyny, to z powodu nowotworów, chorób serca czy cukrzycy umrze znacznie więcej osób niż z powodu COVID-19. Jak odmrażać polską ochronę zdrowia? Zapytaliśmy o to ekspertów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Jarosław Kaźmierczak,
konsultant krajowy w dziedzinie kardiologii

Potrzebna refundacja nowych leków i telemedycyny

Z moich obserwacji wynika, że nie zmniejszyła się liczba pacjentów przywożonych do nas z ostrymi incydentami sercowo-naczyniowymi, np. z zawałem serca, jednak z innych regionów kraju dochodzą głosy, że liczba hospitalizacji z powodu ostrych zespołów wieńcowych zmniejszyła się o ok. 20 proc. Na pewno jednak wydłużył się okres od momentu, gdy pacjent ma pierwsze objawy, do czasu wezwania karetki pogotowia. Może to powodować pogorszenie stanu zdrowia lub wręcz niemożność uratowania życia. Pacjenci nie powinni obawiać się zakażenia koronawirusem w szpitalu, obecnie procedury są bardzo starannie przestrzegane, by zminimalizować ryzyko. Śmiertelność z powodu zawału serca jest o wiele wyższa niż w wyniku zakażenia koronawirusem. Oczywiście nie można lekceważyć ryzyka COVID-19, trzeba przestrzegać zalecenia izolacji, nie można jednak zapominać, że są też inne choroby. Nie możemy na czas pandemii „zamrozić" ich leczenia.

Uważam też, że należy „odmrozić" refundację. Mam wrażenie, że jej „zamrożenie" wynikało raczej z problemów komunikacyjnych. W kardiologii największe potrzeby to obecnie lek w niewydolności serca, o który od dawna zabiegamy, oraz wdrożenie flozyn dla chorych z niewydolnością serca. To leki zarejestrowane do leczenia cukrzycy, są już refundowane w tym wskazaniu w Polsce, mogą jednak być również stosowane w leczeniu niewydolności serca. Nie są one jeszcze zarejestrowane w niewydolności serca, mają jednak bardzo dobre wyniki badań klinicznych, dlatego nie ma formalnych przeszkód, jeśli chodzi o refundację; minister zdrowia może podjąć taką decyzję. Wystąpiłem o to na początku roku dla jednego z leków z tej grupy.

Bardzo ważna jest również refundacja telemedycyny: obecny czas pandemii udowodnił, jak to jest potrzebne. Pacjentów, którzy mają urządzenia wszczepialne, takie jak stymulator, można kontrolować za pomocą teletransmisji. Gdyby ten system był już wprowadzony, dziś byłby ogromnym ułatwieniem, ponieważ stan pacjenta można doskonale monitorować za pomocą telemedycyny, bez konieczności odbywania wizyt w gabinecie.

eprasa.pl 33dbceaddd

prof. Adam Maciejczyk,
prezes Polskiego Towarzystwa Onkologicznego

Śmiertelność na nowotwory wzrośnie, jeśli odłożymy reformę onkologii

Nie wiemy, ile jeszcze potrwa pandemia, wiemy natomiast, że każdego dnia ok. 300 osób umiera z powodu nowotworu. Ta śmiertelność może jeszcze wzrosnąć, jeśli odłożymy reformę onkologii. Dlatego nie możemy rezygnować z wcześniej planowanych i tak długo oczekiwanych przez pacjentów zmian. Dzisiaj, bardziej niż kiedykolwiek, potrzebna jest koordynacja opieki onkologicznej. Pilotaż Krajowej Sieci Onkologicznej pokazał, że jest to dobre rozwiązanie, nawet na czas pandemii. Sprawdziły się przede wszystkim wojewódzka infolinia dla pacjentów oraz zwiększona liczba koordynatorów, którzy są w stałym kontakcie z pacjentami. Decyzja, czy można już zakończyć pilotaż, należy oczywiście do Ministerstwa Zdrowia. Jednak według onkologów należałoby jak najszybciej wdrożyć Krajową Sieć Onkologiczną w całej Polsce.

Najważniejsze zadania na dziś to skoordynowanie na poziomie województw komunikacji z pacjentami oraz opieki onkologicznej, w szczególności w zakresie „przekazywania" pacjentów pomiędzy ośrodkami onkologicznymi, gdy to jest konieczne. W sposób zdalny cały czas muszą odbywać się konsylia onkologiczne, które oceniają, jaka jest najbardziej optymalna terapia dla pacjenta. Nie możemy również rezygnować z tworzenia rejestrów narządowych, które są elementem Krajowej Sieci Onkologicznej. Dzięki tym danym będziemy mogli zobaczyć, jak pandemia wpływa na onkologię, i podejmować dobre decyzje.

Widzimy, że w okresie epidemii zmalała liczba nowych pacjentów onkologicznych z podejrzeniem nowotworu. W początkowej fazie epidemii było to zrozumiałe. Sami apelowaliśmy, by unikać wizyt, jeśli nie są konieczne. Obecnie szpitale onkologiczne pracują w ostrym reżimie sanitarnym. Chcemy, by pacjenci nie zaniedbywali niepokojących objawów, które mogą wskazywać na nowotwór, i kontaktowali się z nami przy jego podejrzeniu (e-mailowo, telefonicznie) oraz umawiali się na wizyty. Obawa przed zakażeniem koronawirusem nie może powstrzymywać pacjentów przed podjęciem leczenia. Zbyt późne rozpoznanie nowotworu powoduje, że traci się szansę na wyleczenie. Dlatego powoli zaczynamy „odmrażać" badania profilaktyczne i przesiewowe, namawiamy pacjentów do wykonywania badań, np. krwi utajonej w kale. Jeśli wynik jest pozytywny, to zalecamy kolonoskopię. Zaczynamy też już umawiać pacjentki na skriningowe badania mammograficzne.

Pandemia COVID-19 nie jest przeszkodą w podejmowaniu decyzji o refundacji nowych leków, co jest konieczne w onkologii. Wiem, że Agencja Oceny Technologii Medycznej i Taryfikacji cały czas pracuje. Uczymy się zdalnie ze sobą komunikować i myślę, że decyzje o refundacji nowych leków będą podejmowane.

dr Małgorzata Gałązka-Sobotka,
dyrektor Instytutu Zarządzania w Ochronie Zdrowia Uczelni Łazarskiego

Nie zwlekajmy z wprowadzeniem podatku cukrowego

Niedawno producenci wystąpili z apelem o przesunięcie terminu obowiązywania podatku cukrowego. Uważam, że byłoby to wykonanie kilku kroków wstecz i kwestionowanie konieczności wsparcia profilaktyki oraz walki z chorobami cywilizacyjnymi, które są następstwem złej diety i otyłości. Koronawirus nie zwalnia z walki z zagrożeniami chorobami cywilizacyjnymi, które towarzyszą nam cały czas. Eksperci alarmują, że epidemia może nasilić występowanie tych chorób, ponieważ prowadzimy bardziej stacjonarny tryb życia, mamy mniejszą możliwość aktywnego uprawiania sportu, a nasza ekspozycja na stres wzrasta.

Ustawa wprowadzająca podatek cukrowy zakłada „znaczenie" pieniędzy z opłaty cukrowej i przeznaczanie ich na ochronę zdrowia. Nie ma możliwości, by trafiły one do szerokiego worka budżetu i były przeznaczone np. na budowę dróg. Obecnie duże pieniądze są przeznaczane na walkę z koronawirusem, pochodzą one wprost z budżetu i uzupełniają środki pochodzące ze składki zdrowotnej. Przychody z podatku cukrowego mają zostać przeznaczone na działania opisane w ustawie, czyli m.in. na walkę z otyłością i jej konsekwencjami: cukrzycą, chorobami serca, nowotworami oraz na edukację.

Zakładam, że „ustawa 6 proc. PKB na zdrowie" jest niezagrożona. Prognozowany wzrost bezrobocia i spadek wynagrodzeń spowoduje spadek składki do NFZ, jednak zapisy „ustawy 6 proc. PKB na zdrowie", mające swoje wady w czasach koniunktury – ponieważ procent PKB jest liczony z dwóch lat wstecz – teraz okażą się korzystne. W czasach kryzysu gospodarczego taki sposób naliczania nakładów na ochronę zdrowia jest bardzo korzystny dla tego sektora. Z budżetu państwa będą musiały płynąć dodatkowe środki do NFZ. Kolejnym źródłem nakładów na zdrowie będzie Fundusz Medyczny (przy jego tworzeniu zapowiadano, że będą w nim pieniądze na onkologię i walkę z koronawirusem).

Wyrazem sukcesywnego odmrażania gospodarki będzie powrót do rozmów na temat priorytetów w polityce zdrowotnej państwa. Walka z chorobą zakaźną, którą jest COVID-19, jest dziś w centrum naszej uwagi, jednak w ramach „odmrażania" musimy wrócić do dyskusji o innych krytycznych zagrożeniach zdrowotnych, które nadal są aktualne, takich jak nowotwory, cukrzyca, choroby serca, mózgu. Można nawet powiedzieć, że siła tych zagrożeń jest obecnie większa ze względu na ograniczenie dostępu do diagnostyki, opieki specjalistycznej.

eprasa.pl 33dbceaddd

debata DO RZECZY

FOT. ADOBE STOCK

Opanować kryzys

Katarzyna Pinkosz

Chorzy na cukrzycę są w grupie ryzyka ciężkiego przebiegu COVID-19. O tym, jak radzą sobie ze stresem i z leczeniem cukrzycy, dyskutowaliśmy podczas debaty „Cukrzyca w dobie COVID-19 i problemy pacjentów"

Cukrzyca i COVID-19 to dziś dwie ogólnoświatowe pandemie, choć pierwsza jest chorobą niezakaźną. Diabetycy są dziś w szczególnie trudnej sytuacji. – Odsetek chorych na cukrzycę jest znacznie wyższy wśród osób, które z powodu COVID-19 były hospitalizowane, przebywały na oddziałach intensywnej terapii, trzeba było u nich stosować respirator. Powinni chronić się przed zakażeniem, przebieg choroby może faktycznie być u nich ciężki – potwierdza prof. Leszek Czupryniak, kierujący Kliniką Diabetologii i Chorób Wewnętrznych WUM. W najtrudniejszej sytuacji są zwłaszcza pacjenci z cukrzycą, którzy już mają powikłania sercowo-naczyniowe.

Zdrowe osoby obawiają się SARS-CoV-2, ale u chorych z grup ryzyka często pojawia się wręcz paniczny lęk. Poczucie zagrożenia było widoczne szczególnie na początku epidemii. – Pacjenci pytali, jak zaopatrzyć się w leki, na jak długo, jak zdobyć receptę, w jaki sposób skontaktować się z lekarzem. Wiele osób również dziś z powodu przewlekłego stresu ma problem ze snem. Dla chorych na cukrzycę to niebezpieczne, ponieważ bezsenność i stres powodują skoki poziomu glukozy. Poczucie lęku, zagrożenia, brak bezpieczeństwa są duże zwłaszcza u chorych, którzy mieszkają sami. Niektórzy mają depresję, mówią wprost: „Boję się wyjść z domu" albo: „Cza-

eprasa.pl 33dbceaddd

sem mam wrażenie, że się duszę" – mówi Beata Stepanow, prezes Stowarzyszenia Edukacji Diabetologicznej.

Jak radzić sobie z sytuacją permanentnego stresu? Profesor Leszek Czupryniak radzi: – Nie wpadać w panikę, pamiętać, że w ponad 80 proc. przypadków COVID-19 przebiega w sposób lekki. Należy stosować się do zaleceń: izolacji społecznej, minimalizowania bezpośrednich kontaktów społecznych, noszenia maseczek, częstego mycia rąk. W przypadku gorączki i innych objawów infekcji trzeba skontaktować się z lekarzem lub ze stacją sanepidu, a nie jechać do szpitala.

Najlepiej lęk zracjonalizować. – Warto zidentyfikować problem, nazwać go, oswoić, a nie przed nim uciekać, np. do leśniczówki na Mazury. Lepiej powiedzieć sobie: „Ryzyko jest takie, a tak powinny wyglądać środki zaradcze". Warto również korzystać z pomocy innych osób: chorzy na cukrzycę to bardzo dobrze wyedukowana grupa pacjentów, system edukacji diabetologicznej może być wzorem dla innych chorób przewlekłych – mówi prof. Bartosz Łoza, kierujący Kliniką Psychiatrii Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego.

POMOC EDUKATORÓW, PIELĘGNIAREK, LEKARZY

Stowarzyszenie Edukacji Diabetologicznej ma struktury w całej Polsce – to ok. 3 tys. edukatorów diabetologicznych, w tym ok. 300 pielęgniarek diabetologicznych. Pytań ze strony pacjentów od początku epidemii COVID-19 było tak wiele, że stowarzyszenie zdecydowało się stworzyć Diabetofon: specjalną infolinię, pod którą można dzwonić codziennie od godz. 18 do 20 (numery telefonów są podane na facebookowej stronie stowarzyszenia; pytania można też zadawać poprzez e-mail: ced.polska@wp.pl). – Rozmawiamy nie tylko z chorym, lecz także z jego rodziną, uczymy ją, jak wspierać pacjenta, motywować do aktywności fizycznej, przestrzegania diety, leczenia. A przede wszystkim zwracamy uwagę na to, żeby osoby chorej na cukrzycę nie zostawiać samej, ponieważ najważniejsze jest właśnie wsparcie osób bliskich – opowiada Beata Stepanow.

W najtrudniejszej sytuacji są samotni pacjenci lub tacy, którzy nie mają dobrych relacji rodzinnych. – Na szczęście pacjenci z cukrzycą często tworzą grupy wsparcia. Obecnie trudno się spotkać, jednak każda rozmowa przez telefon czy na Skypie powoduje obniżenie napięcia – dodaje prof. Łoza.

W oswojeniu lęku pomaga również przygotowanie się na ewentualne trudne sytuacje. – Doradzamy, by pacjent np. przygotował sobie torbę do szpitala na wypadek, gdyby miał się do niego udać. Albo pytamy rodzinę, co by zrobiła, gdyby choremu nagle spadł poziom glikemii. Dzięki temu buduje się poczucie bezpieczeństwa nie tylko osoby chorej, lecz także bliskich, którzy wiedzą, jak postąpić w trudnej sytuacji – mówi Beata Stepanow.

Profesor Czupryniak podkreśla, że chorzy na cukrzycę mogą zawsze liczyć na pomoc lekarza. – Poradnie diabetologiczne działają i chociaż nie można do nich przyjść, to z lekarzem jest możliwy kontakt przez telefon lub za pomocą komunikatorów internetowych. W ten sposób można pokazać wyniki badań, skorygować leczenie.

CZYNNIKI RYZYKA...

Niewychodzenie z domu i izolacja społeczna skłaniają do mniejszej aktywności fizycznej i objadania się. Wiele osób w ten sposób „zajada stres". – W pierwszej fazie stresu apetyt się zmniejsza; to normalne zjawisko, bo kryzys to nie jest czas na jedzenie. Gdy jednak stres przechodzi w formę przewlekłą, wiele osób zaczyna jeść zbyt dużo. Są też pokusy zachowań wyzwoleniowych typu: „Rzucam wszystko, przestaję stosować dietę, bo świat się kończy, jest wirus". Takie zachowania niestety zwykle źle się kończą – mówi prof. Bartosz Łoza. Diabetolodzy wręcz objawiają się, że po zakończeniu epidemii COVID-19 pandemia cukrzycy będzie się miała lepiej niż dziś, a liczba chorych wzrośnie.

Jak chronić się przed „zajadaniem stresu"? Stowarzyszenie Edukacji Diabetologicznej w ramach wsparcia proponuje motywowanie się do aktywności fizycznej w grupie. – Warto codziennie nastawiać sobie budzik np. na godz. 17 i zaczynać ćwiczyć. Po trzech tygodniach istnieje szansa, że wejdzie nam to w nawyk. Przed rozpoczęciem ćwiczeń polecałabym zważyć się i zmierzyć obwód talii oraz bioder. Po trzech tygodniach będą pierwsze efekty – dodaje Beata Stepanow.

Profesor Leszek Czupryniak: – Czasem mówię półżartem pacjentom, że cukrzycę typu 2 i to, jak ją leczyć, opisano już w ewangeliach, bo znaleźć można w nich słowa Jezusa, który kilkakrotnie zaleca wyrzucanie złego ducha, czyli choroby, postem i modlitwą. Modlitwa nikomu nie zaszkodzi, post w czasach narodowej kwarantanny jest trudny, jednak znam pacjentów, którzy właśnie teraz zaczęli więcej się ruszać, ponieważ brakuje im wychodzenia na dwór. W Internecie jest wiele filmów, w jaki sposób wykonywać ćwiczenia fizyczne w domu. Aktywność fizyczna działa korzystnie na poziom cukru we krwi, zwłaszcza gdy stosuje się leki niegrożące wywołaniem niedocukrzenia.

... I EFEKTYWNE LECZENIE

Leczenie cukrzycy, podobnie jak innych chorób przewlekłych w trakcie epidemii COVID-19, byłoby o wiele trudniejsze, gdyby jeszcze bardziej zwlekano z informatyzacją systemu ochrony zdrowia, a przede wszystkim wprowadzeniem e-recept. Dzisiaj jest możliwe otrzymanie e-recepty bez wychodzenia z domu i bez wizyty w przychodni.
– Pacjent może zawsze zadzwonić, gdy dzieje się coś niepokojącego. Oczywiście kontakt na odległość ma swoje ograniczenia, szczególnie w przypadku nowych pacjentów, ale jeśli dobrze znam pacjenta, to zdalnie możemy wspólnie wiele załatwić, omówić wyniki badań i zmienić leczenie – zapewnia prof. Czupryniak.

Ostatnie miesiące przed pandemią COVID-19 to był bardzo dobry czas dla chorych na cukrzycę: w refundacji znalazły się nowe rodzaje insulin oraz flozyny i niektóre leki inkretynowe (analogi GLP-1). Te dwie ostatnie grupy leków zmniejszają ryzyko powikłań sercowo-naczyniowych u chorych na cukrzycę oraz – szczególnie analogi GLP-1 – ryzyko otyłości i hamują łaknienie. – Bardzo cieszymy się z refundacji tych nowych leków, a jeszcze bardziej cieszą się pacjenci, którym możemy takie leczenie zaproponować. Leki redukują masę ciała, a jednocześnie nie wywołują niedocukrzeń, które z kolei powodują, że chory na cukrzycę więcej je. Tak więc sytuacja w diabetologii nie jest dziś zła – mamy dobre leki, jest możliwość przyjmowania chorych, nikomu nie odmawiamy pomocy. A stan epidemii nie będzie trwał wiecznie – mówi prof. Leszek Czupryniak.

Najważniejsze zalecenia dla pacjentów na ten trudny czas? Profesor Bartosz Łoza: – Robić swoje, dbać o wyrównanie cukrzycy, konsultować się z lekarzem, mieć wokół siebie osoby wspierające. Wirus przeminie, a relacje zostaną. Jeśli teraz w nie zainwestujemy, to pozostaną one naszym dorobkiem, korzyścią czasów epidemii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 33dbceaddd

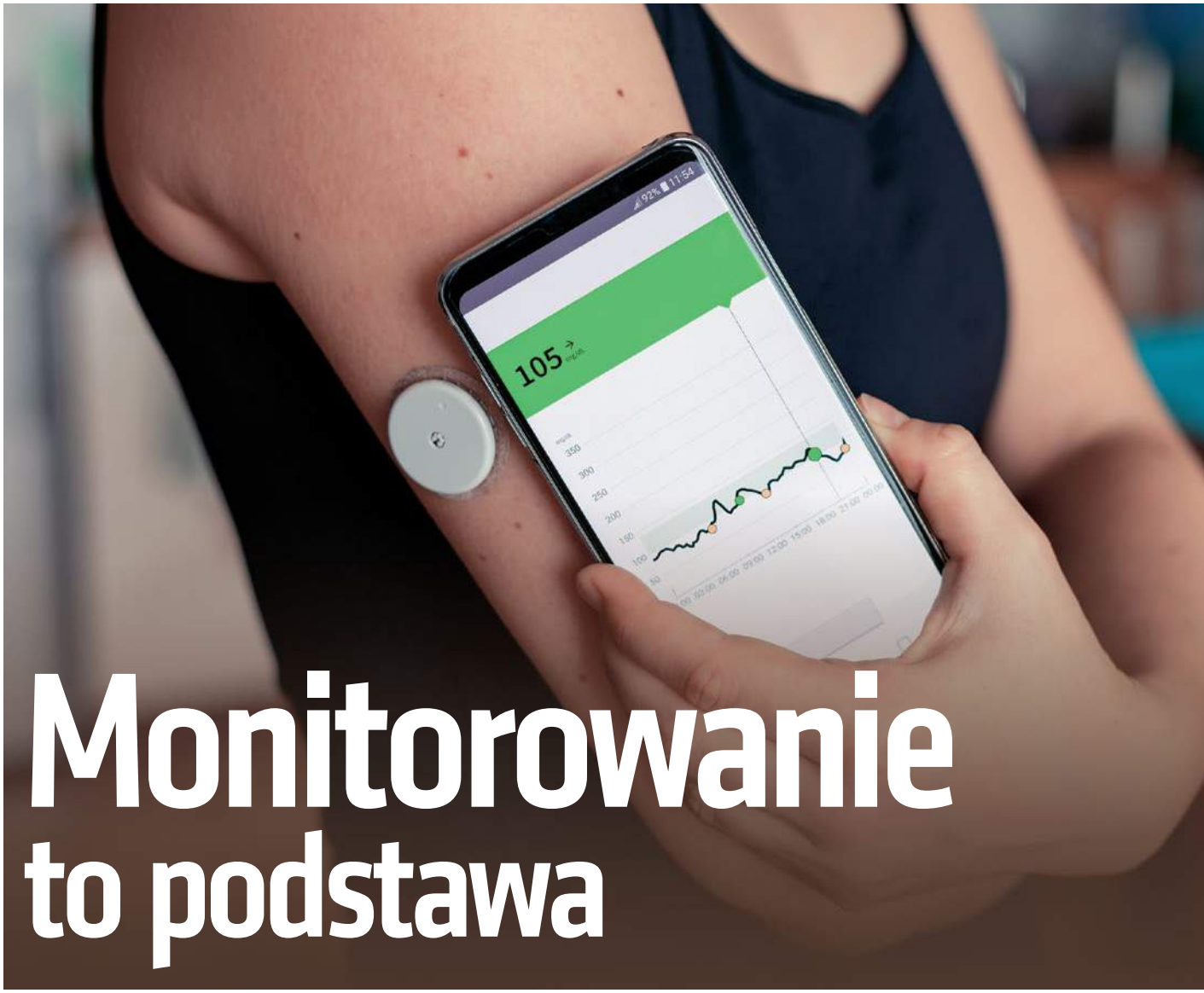

Monitorowanie to podstawa

Katarzyna Pinkosz

W czasie epidemii COVID-19 chorzy na cukrzycę mogą bardzo dobrze się leczyć mimo braku możliwości osobistej wizyty w poradni. Pomagają w tym nowoczesne technologie

Profesor Małgorzata Myśliwiec w Klinice Pediatrii, Diabetologii i Endokrynologii Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego leczy dzieci i młodzież z cukrzycą, głównie typu 1. W okresie epidemii koronawirusa SARS-CoV-2 leczenie małych pacjentów bardzo się zmieniło – do szpitala przyjmowane są tylko dzieci, które tego bezwzględnie wymagają, natomiast wizyty w poradni odbywają się na zasadzie telewizyt. Pani profesor zauważa jednak, że liczba hospitalizacji z powodu ciężkich hipoglikemii znacznie spadła. Powód? Dzięki wprowadzonym do refundacji nowoczesnym systemom monitorowania glikemii cukrzyca typu 1 u dzieci jest obecnie znacznie lepiej leczona. Nowoczesne systemy weszły do refundacji w ostatnich trzech latach, a pozytywne efekty w postaci prewencji dużych wahań glikemii, w tym incydentów hipoglikemii, nie tylko poprawiły poziom wyrównania metabolicznego, lecz także zmniejszyły liczbę koniecznych z tego powodu hospitalizacji.

Diabetolodzy bardzo chwalą decyzje wiceministra Macieja Miłkowskiego, które umożliwiły wejście na listy refundacyjne nie tylko nowych leków przeciwcukrzycowych, lecz także systemów monitorujących poziom glikemii dla niektórych grup pacjentów. – Fakt, że stało się to przed epidemią COVID-19, której przecież nikt nie mógł przewidzieć, umożliwił nam znacznie lepsze leczenie dzieci chorych na cukrzycę, efektywne prowadzenie telemedycyny i e-wizyt – podkreśla prof. Małgorzata Myśliwiec.

LEPSZE OD GLUKOMETRU

W przypadku cukrzycy typu 1 od samego początku niezbędne jest podawanie insuliny. Ustalenie, jaka jej dawka jest niezbędna, w przypadku dziecka nie jest proste, gdyż na poziom glikemii mają wpływ liczne czynniki: rodzaj i ilość posiłku, rodzaj wysiłku fizycznego (co szczególnie w przypadku małego dziecka trudno przewidzieć), a także indywidualny metabolizm. Uzyskanie w ciągu doby jak najdłuższego

eprasa.pl 33dbceaddd

FOT. ADOBE STOCK

czasu tzw. normoglikemii zapobiega nie tylko rozwojowi ostrych powikłań cukrzycy, lecz także przewlekłych zmian naczyniowych w postaci mikroangiopatii (retinopatia, nefropatia i neuropatia cukrzycowa), jak również makroangiopatii cukrzycowej (zawał mięśnia secowego, udar mózgu).

Powszechnie dotychczas używanym wskaźnikiem ryzyka rozwoju powikłań cukrzycy była wartość hemoglobiny glikowanej (HbA1c). Coraz więcej doniesień wskazuje, że czynnikiem uszkadzającym naczynia krwionośne u chorych na cukrzycę jest również wysoka zmienność glikemii, którą możemy ocenić dzięki większemu dostępowi do systemów ciągłego monitorowania. Eksperci podkreślają, że epoka glukometrów, za pomocą których mierzy się poziom cukru we krwi, powoli mija. Największym problemem tradycyjnej samokontroli jest to, że dostarcza ona wiedzy fragmentarycznej: sprawdza się poziom cukru w danym momencie. Inaczej działają nowoczesne metody monitorowania cukrzycy. Mogą one mierzyć poziom glukozy w sposób ciągły, jak CGM przeznaczony szczególnie dla osób stosujących osobistą pompę insulinową, lub w sposób ciągły metodą skanowania, jak FGM, czyli Flash Glucose Monitoring (FreeStyle Libre). Ten ostatni system mogą stosować też osoby, które nie mają pompy insulinowej. Do sensora, umieszczonego na ramieniu, wystarczy zbliżyć czytnik (może być to telefon komórkowy ze specjalną bezpłatną aplikacją, która np. daje również możliwość automatycznego udostępniania odczytów stężenia glukozy niemal w czasie rzeczywistym opiekunom). Zaletą obydwu systemów jest to, że pokazują nie tylko poziom glukozy w danej chwili, lecz także tendencję: czy rośnie on czy spada. Dzięki temu wiadomo, czy należy np. podać dodatkową porcję insuliny, by uchronić się przed hiperglikemią, czy zjeść dodatkowy posiłek, żeby nie doszło do hipoglikemii. Dodatkowo przy stosowaniu FGM nie ma konieczności codziennego kalibrowania urządzenia, co oznacza brak konieczności często nieprzyjemnego nakłuwania opuszki palca.

POTRZEBNE NIE TYLKO DZIECIOM

Obydwa systemy są już w Polsce częściowo refundowane dla niektórych osób chorych na cukrzycę typu 1 – CGM dla dzieci i młodzieży do 26. roku życia, używających osobistych pomp insulinowych (dodatkowym warunkiem jest nieświadomość hipoglikemii, czyli najczęściej pojawianie się hipoglikemii w nocy). FreeStyle Libre jest refundowany dla wszystkich dzieci z cukrzycą typu 1 od 4. do 18. roku życia. Decyzje o refundacji tych systemów bardzo doceniają eksperci. Zwracają uwagę, że zwiększają one poczucie bezpieczeństwa u dzieci i ich rodziców oraz znacznie redukują lęk przed hipoglikemią, która często może pojawić się w czasie snu czy intensywnego wysiłku fizycznego.

Obydwa systemy okazują się wybawieniem w sytuacjach tak trudnych jak obecna epidemia koronawirusa. Dzięki dostępowi do nowoczesnych technologii, wprowadzonej refundacji osobistych pomp insulinowych i systemów ciągłego monitorowania glikemii teleporada okazała się tak wartościowa jak tradycyjna wizyta w poradni.
– Jeśli pacjent korzysta z tzw. chmur (LibreViev, Dexcom CLARITY), wówczas możemy przeanalizować glikemie w poszczególnych dniach, zobaczyć szacowany poziom HbA1c. Pacjent korzystający z nowoczesnych pomp insulinowych, po zalogowaniu się do Carelink Personal, ma możliwość sczytania zawartości swojej pompy. Może przesłać lekarzowi wykresy i tabele z poziomami glikemii oraz dawkami insuliny. Pozwala to na przeanalizowanie danych, możemy zmodyfikować dawki insulin. Podczas teleporady możemy również przeanalizować wyniki badań laboratoryjnych, zlecić kolejne badania, wystawić e-receptę, zlecenie na osprzęt do osobistej pompy insulinowej oraz elektrody do CGM czy FGM – mówi prof. Małgorzata Myśliwiec.

W trudniejszej sytuacji są pacjenci, którzy do pomiaru poziomu glukozy używają tylko glukometru. W trakcie e-wizyty lekarz opiera się tylko na tym, co widzi w zeskanowanym dzienniczku samokontroli cukrzycy. Pojedyncze pomiary dokonywane za pomocą glukometru nie pokażą jednak, jak długi czas pacjent faktycznie miał dobre poziomy cukru. Dlatego diabetolodzy mają nadzieję, że nowe systemy do monitorowania glikemii będą stopniowo refundowane także dla kolejnych grup pacjentów. Szczególną grupą są też kobiety w ciąży: zarówno te, które wcześniej chorowały na cukrzycę, jak i te, u których rozwinęła się cukrzyca ciążowa. W ich przypadku wykorzystanie np. systemu Flash Glucose Monitoring, który mogą stosować osoby niekorzystające z pomp insulinowych, oznaczać będzie prawidłową kontrolę cukrzycy, co jest niezbędne w celu uniknięcia powikłań groźnych i dla kobiety, i dla dziecka.

Telemedycyna i nowe technologie już dziś pomagają monitorować oraz leczyć cukrzycę typu 1. Diabetolodzy mają nadzieję, że nowe systemy do monitorowania glikemii będą stopniowo refundowane także dla kolejnych grup chorych na cukrzycę

Ministerstwo Zdrowia zapowiada, że już 1 lipca pojawi się pierwsza lista bezpłatnych leków dla kobiet w ciąży. Może znajdą się na niej również nowoczesne systemy monitorujące glikemię?

© ® Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 33dbceaddd

Przełomowa terapia Polaków

FOT. ADOBE STOCK

Polska firma Poltreg, która opracowała rewolucyjną terapię leczenia cukrzycy typu 1 u dzieci i nastolatków, szykuje się do trzeciej fazy badań klinicznych, a także do debiutu na Giełdzie Papierów Wartościowych

Cukrzyca typu 1 dotyka rocznie 80–100 tys. dzieci na świecie. Choroba wpływa na całe życie dotkniętego dziecka, a stosowane obecnie terapie działają jedynie objawowo, odsuwając w czasie powikłania, ale nie zmieniając istotnie jej przebiegu.

Pojawiła się jednak nadzieja dla chorych: terapia, która może znacząco polepszyć jakość ich życia poprzez zachowanie wydzielania insuliny, lepszą kontrolę metaboliczną i zmniejszenie liczby potencjalnie groźnych epizodów hipoglikemii. Polscy naukowcy z Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego opracowali nowatorską metodę inteligentnej terapii, która jest jednym z najbardziej zaawansowanych na świecie projektów w obszarze leczenia świeżo zdiagnozowanej cukrzycy typu 1 z wykorzystaniem terapii komórkowej. W chwili obecnej nie ma na świecie żadnej zarejestrowanej terapii, która skutecznie powstrzymywałaby rozwój tej choroby w jej początkowym przebiegu.

Dzięki wykorzystaniu preparatu limfocytów TREG możliwe jest nie tylko łagodzenie skutków cukrzycy typu 1, lecz także potencjalnie jej zatrzymanie.

– Cukrzyca typu 1 jest chorobą autoimmunologiczną. Stanowi nie więcej niż 10 proc. wszystkich przypadków cukrzycy, ale jednocześnie jest tą najbrutalniejszą formą, bo atakuje głównie dzieci, a już jej pierwsze objawy bywają bardzo dramatyczne. Rozwija się dlatego, że nasz własny układ odpornościowy, który powinien nas bronić przed wirusami i bakteriami, błędnie rozpoznaje trzustkę jako coś obcego i zaczyna ją niszczyć. Jedną z przyczyn tej agresji jest niedobór lub nieprawidłowe funkcjonowanie komórek odporności określanych jako limfocyty T regulatorowe (Tregs). To mała pula limfocytów w naszym organizmie, hamujących aktywność innych komórek układu odporności i mogących powstrzymać atak tych ostatnich na własne tkanki. Gdy dostarczymy pacjentowi więcej limfocytów TREG, to jesteśmy w stanie taki atak zatrzymać – tłumaczy prof. dr hab. Piotr Trzonkowski, prezes firmy Poltreg. Metoda TREG polega na pobraniu limfocytów TREG od osoby chorej, namnożeniu ich w laboratorium, a następnie wstrzyknięciu ich pacjentowi w znacznie większej liczbie.

– Stosowanie naszej terapii z założenia pozwala na odsunięcie w czasie momentu, w którym pacjenci muszą zacząć przyjmować insulinę, a także sprawienie, że gdy już będą musieli ją przyjmować, to będą to znacząco mniejsze dawki. W konsekwencji naszym pacjentom powinno się też udać uniknąć lub odsunąć o kilkanaście czy kilkadziesiąt lat wiele bardzo groźnych powikłań, które niesie ze sobą cukrzyca. Obecnie jesteśmy jednym z niewielu podmiotów na świecie rozwijającym w tak zaawansowanym stopniu terapię przyczynową w cukrzycy, choć konkurenci depczą nam po piętach – mówi prof. dr hab. Piotr Trzonkowski, zaznaczając, że przeło-

eprasa.pl 33dbceaddd

mowa metoda leczenia może sprawdzić się nie tylko w przypadku cukrzycy, lecz także np. w terapii osób cierpiących na stwardnienie rozsiane, reumatoidalne zapalenie stawów czy w innych rzadszych chorobach autoimmunologicznych.

– Opracowana terapia cukrzycy typu 1 jest wciąż jedyną dostępną na świecie metodą zatrzymania rozwoju choroby. Produkt spółki uzyskał status produktu komórkowego terapii zaawansowanej przyznany przez Europejską Agencję Leków, dzięki czemu już teraz możliwe jest leczenie pacjentów i komercjalizacja w ograniczonym zakresie w formule tzw. wyjątku szpitalnego. Rozpoczęliśmy podawanie leku chorym w Gdańskim Uniwersyteckim Centrum Klinicznym – zauważa dr Mariusz Jabłoński, członek zarządu Poltreg i partner PAAN Capital. Na razie jest to jednak ścieżka leczenia dostępna tylko dla ograniczonej liczby pacjentów ze względu na małe moce produkcyjne i przygotowania do kolejnych badań klinicznych. Z nowej metody leczenia skorzystało już ponad 50 polskich dzieci w ramach badań klinicznych. W ramach prowadzonej od jesieni 2019 r. terapii komercyjnej leczonych jest zaś na razie sześcioro dzieci.

NADZIEJA DLA CHORYCH

Działalność Poltregu może przynieść dobre wiadomości nie tylko chorym na cukrzycę typu 1, lecz także cierpiącym na inne choroby autoimmunologiczne, dla których nie ma obecnie skutecznych form terapii.

– Druga faza badań klinicznych jest już zakończona. Jej wyniki są obecnie opracowywane przez niezależną międzynarodową firmę prowadzącą badania kliniczne. Na podstawie tego raportu będziemy mogli dokładnie powiedzieć, jakie są wyniki, i będziemy mogli kontynuować dialog z regulatorem. Jesteśmy dobrej myśli – tłumaczy dr Marcin Szuba, dyrektor ds. rozwoju klinicznego. Firma Poltreg ma już bowiem wstępne pozytywne sygnały, ponieważ na ograniczonej populacji pacjentów udało jej się udowodnić zarówno bezpieczeństwo, jak i skuteczność tej przełomowej terapii.

Za 9–12 miesięcy polska firma spodziewa się otrzymać na tzw. scientific advice z Europejskiej Agencji Leków, na podstawie którego polscy naukowcy przygotują protokół badania klinicznego trzeciej fazy – jej pozytywny wynik umożliwi rejestrację terapii w centralnej procedurze europejskiej, a także rejestrację leku przez Amerykańską Agencję ds. Żywności i Leków (FDA).

Ten pomyślny finał oznaczający, że produkt jest już pełnoprawnym lekiem, możliwy jest w perspektywie ok. czterech lat. Wcześniej trzecia faza badań klinicznych musi zostać przeprowadzona na dużo większej populacji. Potrwa to mniej więcej dwa, trzy lata i będzie kosztowało ok. 70 mln zł.

Już po otrzymaniu tzw. scientific advice Poltreg zamierza więc rozpocząć poszukiwania strategicznego partnerstwa z globalną firmą farmaceutyczną, która po uzyskaniu tzw. rejestracji marketingowej będzie w stanie doprowadzić do komercjalizacji produktu na całym świecie.

DUŻY POTENCJAŁ WZROSTU WARTOŚCI

Poltreg ma dużą szansę, aby stać się pierwszym polskim jednorożcem biotechnologicznym. – Z pewnością nastąpi to już po rejestracji leku. Niewykluczone jednak, że spółka stanie się tym jednorożcem już wcześniej, ponieważ projekty tego typu nabierają wartości skokowo po ukończeniu każdego istotnego etapu rozwoju produktu. Jako jedna z nielicznych polskich spółek biotechnologicznych Poltreg uzyskał w zeszłym roku ponad 2 mln euro w programie Horyzont 2020 Unii Europejskiej na przygotowanie protokołu rejestracyjnych badań klinicznych. Dosłownie w ciągu kilku dni (29.04.2020) Europejski Urząd Patentowy opublikuje decyzję o przyznaniu Gdańskiemu Uniwersytetowi Medycznemu patentu europejskiego na część komercjalizowanej przez Poltreg technologii. Jesteśmy wyłącznym licencjobiorcą tego patentu i aktywnie uczestniczymy w procesie patentowym. Kolejnym istotnym krokiem w najbliższej przyszłości będzie spodziewany w ciągu dwóch miesięcy raport końcowy z badania klinicznego drugiej fazy niezbędny w procesie rejestracji dla Europejskiej Agencji Leków. Kolejne ważne kroki to scientific advice, a następnie pośrednie wyniki trzeciej fazy badań, które mogłyby już przynieść bardzo poważne potwierdzenie wszystkich nadziei pokładanych w tym projekcie – tłumaczy dr Mariusz Jabłoński, członek zarządu Poltreg.

Polska spółka nie chce być też spółką jednego produktu. – Rozwijamy już nową generację naszego leku na cukrzycę typu 1, którą bardzo umownie nazywamy Treg 2.0. I chociaż prace nad nim są na razie na etapie badań przedklinicznych, to liczymy, że otrzymamy preparat, który będzie jeszcze skuteczniejszy niż nasz pierwszy produkt – mówi prezes Trzonkowski, wyrażając nadzieję, że dzięki przetartym drogom regulacyjnym szybciej uda się zarejestrować również kolejny lek. Jednocześnie naukowcy z Poltregu przygotowują też drugą fazę badania leku na stwardnienie rozsiane.

Aby móc zrealizować wszystkie cele i pozyskać nowych inwestorów, spółka szykuje się też do wejścia na główny parkiet Giełdy Papierów Wartościowych w Warszawie. – Finalizujemy umowę na doradztwo z jednym z renomowanych domów maklerskich. W ciągu najbliższych trzech miesięcy w formule pre-IPO chcemy pozyskać pieniądze na budowę laboratoriów, które zwiększą nam moce produkcyjne niezbędne zarówno do realizacji trzeciej fazy badania klinicznego, jak i prowadzenia terapii komercyjnych. W drugim kroku, mniej więcej na przełomie obecnego i przyszłego roku, chcielibyśmy już zadebiutować na parkiecie giełdowym – prognozuje dr Jabłoński, zauważając, że choć pandemia koronawirusa doprowadziła do zawirowań na rynkach finansowych, to akurat spółki medyczne w dzisiejszych czasach nie tylko nie tracą, lecz także nawet zyskują na wartości.

Ta wartość – dla inwestorów i pacjentów – może wzrosnąć tym szybciej, im skuteczniejsze okażą się produkty naukowców z Poltregu. Profesor Trzonkowski nie wyklucza więc, że w produktach nowej generacji komórki będą już poddawane modyfikacjom genetycznym. – W ostatnim okresie genetyczne modyfikowanie komórek stało się hitem biotechnologicznym – zauważa prezes spółki Poltreg. – Jeżeli popatrzymy na przewidywania świata medycznego co do dalszego rozwoju w perspektywie dziesięciu lat, to wiele opracowań mówi, że terapie genetyczne oraz komórkowe będą stanowiły dużą część wartości globalnego rynku medycznego. Chcielibyśmy, aby polskie firmy nie były tylko importerami nowych technologii, lecz także aby same budowały ten potencjał. Wymierną korzyścią takiego podejścia będą tańsze leki dla polskich pacjentów. To jest właśnie ta rewolucja, która dzieje się na naszych oczach – podkreśla dr Jabłoński.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 33dbceaddd

Kogo pandemia wyrzuci na out

FOT. ADOBE STOCK

Łukasz Majchrzyk

Nie ma meczów, nie ma dochodów, a wydatki zostały. Polskie kluby piłkarskie szukają oszczędności i walczą o przetrwanie

Pandemia koronawirusa zakaziła sport, świat się zatrzymał. Nikt nie gra, nie sprzedaje biletów, nie transmituje meczów. Na kort nie wychodzą tenisiści, nie jeżdżą kolarze, nie biegają lekkoatleci, nie grają koszykarze ani, oczywiście, piłkarze. Finansowo dotknięci są wszyscy, także ci najbogatsi. Chyba nie ma kraju, ligi czy klubu, które nie patrzyłyby z niepokojem w przyszłość. Najwięksi potentaci też mogą mieć problemy, bo jakoś trzeba znaleźć pieniądze na wypłatę niebotycznych pensji zapewnionych w kontraktach, które podpisywano w czasach dobrobytu i beztroski. Na jak długo wystarczy oszczędności, jeśli w ogóle jakieś były? A co dopiero mają powiedzieć ci, którzy żyli na kredyt i nie mają żadnej poduszki finansowej? W polskiej piłce już słychać głosy, że może być źle, a nawet bardzo źle, i trzeba się mocno starać, żeby kluby piłkarskie nie zbankrutowały.

SYTUACJA BEZ PRECEDENSU

Pieniędzy brakuje wszędzie, jak Polska długa i szeroka. Do budżetów przed rozpoczęciem sezonu wszyscy wpisywali przychody, których teraz nie ma: ze sprzedaży biletów, klubowych gadżetów, kiełbasek i hot dogów, a telewizje nie transmitują meczów. To nie było widzimisię ani kreatywna księgowość – tak się planuje przychody w futbolu. Wiemy, że mamy podpisane umowy z firmami, które płacą nam za to, iż ich marki będą reklamowane w czasie meczów. Teraz logo sponsorów nie pojawia się na ekranach tysięcy odbiorników telewizyjnych, co jest dla nich wymierną stratą. Sami też nie zarabiają, więc nie będą mieli pieniędzy, żeby je przekazać sportowcom, nawet gdyby, powodowani lojalnością, chcieli to zrobić. W futbolu nikt nie zarabia, więc też nie należy się spodziewać wielkich ruchów transferowych – odpada kolejne źródło przychodów. A przecież każdego roku w Europie, w przerwach między rozgrywkami, z kieszeni do kieszeni przelewały się setki milionów euro z tytułu sprzedaży zawodników. Przecież wszystko było obliczone tak, że karuzela będzie się kręcić i to z każdym rokiem coraz szybciej.

Polska Ekstraklasa piłkarska też działała w ten sposób, bo tak jest skonstruowany biznes sportowy. Zawieszenie sezonu na ponad miesiąc (a ciągle grozi zakończenie rozgrywek przed czasem) ostatni raz zdarzyło się w 1939 r., a powody wszyscy znają. Wtedy sport jednak funkcjonował inaczej, więc nie można tych dwóch sytuacji porównywać. Było w nim mniej pieniędzy, więcej amatorów. Często bardziej liczył się zapał do gry, bo zarabiało się gdzie indziej. Przede wszystkim nie było wtedy stacji telewizyjnych, które by to wszystko napędzały.

eprasa.pl 33dbceaddd

Polska piłka nie należy do najbogatszych w Europie, ale sytuacja finansowa się poprawiała. Od kilku lat przychody klubów Ekstraklasy rosły, a według najświeższego raportu firmy doradczej Deloitte, który obejmował dane za rok 2018, do klubów w najwyższej klasie rozgrywkowej w Polsce trafiło 528 mln zł (czyli 124 mln euro). Polskim kibicom może się wydawać, że to bardzo dużo, ale jeśli porównywać się z najbogatszymi w Europie, to jednak bardzo mało. Nie ma co mierzyć się z najbogatszymi na Starym Kontynencie, a polskim klubom najbliżej do lig norweskiej i szwedzkiej, które notowały przychody na poziomie odpowiednio 151 oraz 141 mln euro.

W tym sezonie miało być jeszcze lepiej dzięki nowemu kontraktowi telewizyjnemu. Do klubów Ekstraklasy (oczywiście do podziału) miało trafić 255 mln zł od Canal+ oraz TVP, które pokazują polskie rozgrywki. Teraz wypłata części tych pieniędzy stoi pod znakiem zapytania. Ciągle nie wiadomo, czy sezon zostanie dokończony, ile meczów uda się rozegrać, czy wszystkie będą mogły zostać pokazane. Obie telewizje są partnerami Ekstraklasy od wielu lat, ale ciężko od nich wymagać, by płaciły za coś, czego nie będą mogły pokazać.

Część pieniędzy została już klubom wypłacona, ale ostatnia transza (do wypłacenia zostało ok. 25 proc. sumy) zawsze jest przelewana po zakończeniu rozgrywek. Wysokość wypłaty dla poszczególnych klubów jest bowiem uzależniona od miejsca w tabeli na koniec sezonu i ewentualnego udziału w europejskich pucharach.

Co się stanie, jeśli tych pieniędzy kluby nie dostaną? Już i tak zostały pozbawione znacznej części przychodów i niektóre z nich się chwieją. Arka Gdynia czy Lechia Gdańsk miały problemy z terminowym regulowaniem zobowiązań wobec piłkarzy jeszcze przed wybuchem epidemii i zawieszeniem rozgrywek.

WIELKIE OSZCZĘDZANIE

Teraz brakuje pieniędzy, które regularnie wpływały na konta. Raz były mniejsze, raz większe, ale były. Może na trybunach w Ekstraklasie nie ma tłumów, a polskie kluby nie są mistrzami w zarabianiu podczas tzw. dnia meczowego (bilety, przychody z cateringu na stadionie), ale każda strata może bardzo boleć.

Według raportu Deloitte w 2018 r. kluby Ekstraklasy zarobiły w dni meczowe 83,1 mln zł, przy średniej frekwencji 8878 widzów na mecz, co stanowiło 16 proc. ich przychodów. Warto dodać, że w tym sezonie frekwencja była nieznacznie wyższa. Nie dla każdego klubu pieniądze zarabiane dzięki kibicom w dniu meczu stanowiły tak samo dużą część budżetu. Dla Legii, która w 2018 r. miała frekwencję na poziomie 17,6 tys. kibiców, było to 28 proc., dla Lecha (prawie 12 tys.) 23 proc. budżetu, ale dla Lechii, przy 14,7 tys. widzów na meczu, już tylko 10 proc. budżetu. Wisła Płock na kibicach praktycznie nie zarabiała, bo w całym sezonie uzyskiwała w ten sposób ledwie ok. 500 tys. zł – jak na skalę piłkarskiego biznesu to kwota wręcz symboliczna.

Brak przychodów z biletów odczuje też na pewno Wisła Kraków, która miała w rundzie wiosennej bardzo wysoką frekwencję. Te pieniądze pomagały jej się wydobyć z zapaści finansowej po niesławnych rządach poprzednich właścicieli. O pechu może mówić też Lech. Jeszcze w marcu do Poznania miała przyjechać Legia. Te mecze przyciągają na trybuny wiele tysięcy kibiców i przykuwają uwagę w całej Polsce. Dla Lecha brak meczu z drużyną z Warszawy to strata ok. 2 mln zł.

Różnie może też wyglądać sytuacja klubów, które są wspierane przez samorządy. Jeszcze niedawno można było im zazdrościć, bo przecież miejskie dotacje to pewne źródło przychodów. Teraz może być różnie, bo w dobie epidemii samorządy też mają problemy finansowe, a najłatwiej oszczędzać właśnie na sporcie. Prezes Górnika Zabrze zapewniał jeszcze niedawno, że niczego się nie boi, bo miasto jest solidnym partnerem, który wielokrotnie pomagał klubowi, gdy ten wpadał w kłopoty. Jednakże w Radomiu też na pewno liczyli na pomoc ratusza, ale miasto musiało ściąć wydatki i przeznaczyć je na wsparcie szpitala oraz pogotowia. Dlatego prezydent Witkowski zapowiedział, że w maju i czerwcu nie będą wypłacane stypendia sportowe, a to oznacza, że w kasie klubu, który miał walczyć o awans do Ekstraklasy, zabraknie ok. 500 tys. zł.

Nic dziwnego, że teraz trwa wielkie oszczędzanie. Piłkarze nie grają (nie z własnej winy) ani nie zarabiają, a płacić im trzeba – podobnie jak innym pracownikom. Kluby piłkarskie to czasami całkiem duże przedsiębiorstwa. Niektóre z nich dają pracę setkom ludzi. Największą pozycję w budżetach stanowią wynagrodzenia zawodników i tutaj najłatwiej można byłoby znaleźć spore oszczędności, ale trzeba postępować ostrożnie. Obcinanie pensji bez porozumienia z piłkarzami, występowanie z pozycji silniejszego może się skończyć źle. W piłce nożnej naczelną zasadą jest tzw. contractual stability i biada temu, kto by ją naruszył. Umówiłeś się na coś, to płać – tego pilnują władze światowej i europejskiej piłki. Oczywiście nikt nie będzie jej teraz ślepo stosował, piłkarze też mają świadomość narastającego kryzysu, ale nie wolno stosować samowolki.

Rada nadzorcza spółki Ekstraklasa SA, która prowadzi rozgrywki, pozwoliła na obcięcie wynagrodzeń o 50 proc., jednak do kwoty nie niższej niż 10 tys. zł brutto w przypadku umów o pracę i umów cywilnoprawnych. Można to zrobić z datą wsteczną od 14 marca, a obniżki potrwają do pierwszego meczu rozegranego przy udziale publiczności (zyski z biletów), jednak nie krócej niż do zakończenia obecnego sezonu lub do 30 czerwca – w zależności od tego, co nastąpi później.

Na pomoc ruszył również PZPN, który przekaże polskim klubom 116 mln zł w ciągu kilku sezonów. Ten plan pomocy już został nazwany „pakietem Bońka". Pieniądze trafią też na szczęście do klubów z niższych lig. Kłopoty są nie tylko w Ekstraklasie, bo drużyny grające w niższych ligach często mają jeszcze większe trudności z pozyskaniem sponsorów, a nie dostają wielkich pieniędzy od stacji telewizyjnych. Finansowy zastrzyk z PZPN dotrze do wielu klubów, ale nie do wszystkich.

Ci, którzy występują w niższych ligach, okręgowych, pieniędzy z piłkarskiej federacji nie dostaną. Nie ma się czemu dziwić, bo wiadomo, że nie wystarczy ich dla wszystkich, ale problem jest i dopóki gospodarka znów nie ruszy, dopóty kłopoty będą się pogłębiać. Te najmniejsze kluby, grające z dala od wielkich stadionów i kamer telewizyjnych, w ligach okręgowych bardzo często są uzależnione od dotacji z samorządów. Co będzie, jeśli zaczną po kolei upadać? To właśnie w takich zespołach jako małe dzieci trenowali najlepsi polscy piłkarze: Robert Lewandowski w Partyzancie Leszno, Grzegorz Krychowiak w Orle Mrzeżyno, Łukasz Fabiański w Polonii Słubice, Krzysztof Piątek w Lechii Dzierżoniów. O takie kluby też, a może przede wszystkim, trzeba dbać, bo ich odporność na koronawirusa jest bardzo słaba.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 33dbceaddd

RYCERZE I WARCHOŁY

Przeklęte śluby Koniecpolskiego

JACEK KOMUDA

Aleksander Koniecpolski herbu Pobóg, stryjeczny brat hetmana Stanisława, stał się w XVII w. bohaterem jednego z największych skandali. Od młodzieńczych lat przebywał na naukach w Rzeszy i na dworze księcia Bawarii – zapewne Maksymiliana I Bawarskiego. Wróciwszy do Polski, pozyskał względy Zofii Dębińskiej, podkomorzanki mielnickiej, i odbył z nią zrękowiny. W czasie, kiedy przygotowywał się do ślubu, umieścił ją w zgromadzeniu zakonnym, gdzie przebywała też jej siostra Dorota. Czyli w Krakowie, w klasztorze św. Agnieszki, u sióstr bernardynek, na Stradomiu. Kiedy po jakimś czasie po nią wrócił, niespodziewanie okazało się, że przyszła żona nie chciała opuścić klasztoru – najprawdopodobniej namówiona przez siostrzyczki i krewnych, którzy spodziewali się, że w takim przypadku odziedziczą należne jej dobra. Sprawa w ogóle była zagmatwana, gdyż „Rodowód domu Koniecpolskich" podaje, że Zofia była narzeczoną Aleksandra, a z kolei autor relacji „Obrona klasztoru św. Agnieszki…" pisze, iż Aleksander twierdził, że była z nim zaślubiona, czemu zaprzeczała Zofia, która w dodatku rzekomo sama, dobrowolnie, zamieszkała w klasztorze i wyjść z niego nie chciała.

Nic więc dziwnego, że Aleksander wpadł w gniew i załatwił całą sprawę po kozacku. W 1612 r., „zebrawszy tęgą kupę (swawolną), w nocy, cicho przysadziwszy petardę do drzwi klasztornych (czego się panie Boże pożal!), wyrzucił je, wziął Zofię". Ponieważ jej siostra Dorota nie chciała zostać sama, porwał ją razem z narzeczoną. Następnie uszedł z Krakowa łodziami po Wiśle do miejsca, gdzie czekały wozy, czeladź i konie, a później pod eskortą wywiózł je do Koniecpola i wziął ślub z uprowadzoną.

FOT. WIKIPEDIA

Porwanie Zofii odbiło się szerokim echem w Rzeczypospolitej. Pierwszy wystąpił oczywiście Kościół, który ustami ówczesnego biskupa krakowskiego Piotra Tylickiego 4 maja 1612 r. w nieistniejącym dziś kościele Wszystkich Świętych w Krakowie, rzucił na Aleksandra klątwę. Jej tekst zachował się w odpisach i jest to prawdziwy zabytek języka staropolskiego. „Wyklęty jest Aleksander Koniecpolski ze wszystkimi jako wyżej – grzmiał biskup z 12 prałatami. – Przeklęty niechaj będzie w domu i na dworze, przeklęty w mieście i na roli, przeklęty niechaj będzie, siedząc, stojąc, jedząc, pijąc, robiąc i śpiąc. Przeklęty niechaj będzie tak, iż w nim zdrowego członka nie będzie, od wierzchu głowy aż do stopy nożnej! Niechaj wypłyną wnętrzności jego, a ciało niech robactwo roztoczy. Niechaj będzie przeklęty z Ananiaszem i z Zaphirą, z Judaszem zdrajcą, […] niechaj będzie przeklęty z Kainem mężobójcą, niechaj mieszkanie jego będzie spustoszone!".

Być może pod wpływem tej klątwy Koniecpolski nie zaznał szczęścia z Zofią. Jeszcze gdy była w ciąży, pojechał z nią na zamek w Wieluniu, gdzie doszło do rozruchów konfederatów moskiewskich. Zbuntowani żołnierze wpadli do twierdzy z szablami, czego tak przelękła się żona Koniecpolskiego, że zmarła, wydając na świat syna Jana.

Aby jeszcze bardziej sprawę skomplikować, Aleksander, „przyczyniając sobie gniewu Bożego", pocieszył się w szczególny sposób, wziął bowiem ślub z siostrą nieboszczki – Dorotą. Ponieważ były z tym nieliche kłopoty, dał mu go po kryjomu pewien dominikanin w domu Stanisława Trzcińskiego, wojskiego wieluńskiego, spokrewnionego z Koniecpolskimi. Był to początek jeszcze większej awantury – wkrótce Aleksander na sejmie otrzymał infamię, czyniącą go wyjętym spod prawa. Wszystkie późniejsze lata życia Koniecpolski poświęcił na załagodzenie sporów, w czym pomagał mu jego stryjeczny brat Stanisław – wówczas hetman polny koronny. Dzięki jego staraniom i śmierci ojca Doroty sprawa przycichła, a Aleksander zachował głowę. Zapłacił jednak staroście krakowskiemu 30 tys. zł za zajazd, a pannom zakonnym 15 tys. nawiązki, uzyskał też u papieża dyspensę na małżeństwo z Dorotą. Jednak dopiero w 1625 r. sejm zniósł za zasługi ciążący na nim wyrok infamii. Czy Koniecpolski uwolnił się także od klątwy kościelnej? Chyba tak, skoro uzyskał wspomnianą dyspensę.

Niestety, burzliwy związek z siostrami i raz rzucona klątwa sprawiły, że potomkowie Aleksandra skończyli tragicznie. Pisał o tym z niejakim wstydem Zygmunt Koniecpolski w „Rodowodzie domu Koniecpolskich". Jan, jedyny syn ze związku z Zofią, żenił się dwukrotnie, lecz nie miał dobrej sławy, a jego dzieci nie miały potomstwa. Z kolei synowie zrodzeni z małżeństwa z Dorotą skończyli jeszcze gorzej. Jakuba, który był kapitanem w twierdzy Kudak, zabili kozacy. Jego brat Stanisław przejął obowiązki zmarłego i został ścięty po zdobyciu fortecy przez powstańców Chmielnickiego w 1648 r. Córki – Zofia i Barbara – nie miały potomstwa. Tak dopełniła się klątwa Tylickiego. ©℗

eprasa.pl 33dbceaddd

TEST „DO RZECZY": ROUTER AVM FRITZ!BOX 6890 LTE

Szybkość przesyłu danych do 300 Mbit/s, stabilna, jednoczesna obsługa pasm 2,4 i 5 GHz oraz rozbudowane funkcje do obsługi urządzeń inteligentnego domu – to największe zalety uniwersalnego, zaawansowanego routera niemieckiej firmy AVM.

Router FRITZ!Box 6890 LTE to niewielkie, schludnie wyglądające urządzenie z dwoma zewnętrznymi antenami, które może być szczególnie przydatne w czasach nagłej popularności zdalnej pracy, nauki i rozrywki. Urządzenie umożliwia pobieranie danych za pomocą pięciu częstotliwości LTE oraz dwóch UMTS. Można je również podłączyć do linii DSL lub do modemu kablowego czy światłowodowego (przez port WAN). Dla osób, które muszą mieć pewność, że zawsze mogą być on-line, router umożliwia korzystanie na stałe z łącza DSL, a w razie problemów, np. z zawieszaniem się połączenia, automatycznie przełącza się na sieć komórkową LTE (kat. 6). Gdy połączenie DSL znów działa prawidłowo, router automatycznie przełącza się z powrotem na linię stacjonarną. Bardzo fajne rozwiązanie.

W domowej sieci, w której – zwłaszcza podczas pandemii – trzeba połączyć potrzeby korzystających z wideokonferencji z potrzebami osób korzystających z serwisów VOD czy streamingu muzyki, przydaje się możliwość stabilnego i jednoczesnego przesyłania danych do różnych urządzeń. Dzięki technologii Multi-User MIMO dane nie przepływają jeden za drugim, ale jednocześnie do kilku podłączonych laptopów, smartfonów czy tabletów.

Oprogramowanie Fritz!OS pozwala na łatwą konfigurację kontroli rodzicielskiej (i wyznaczenie dzieciom konkretnego czasu pracy w sieci), utworzenie hotspota dla gości (którzy z naszą siecią będą mogli się połączyć, skanując po prostu kod QR) czy ustawianie limitów zużycia danych. Do gniazda USB 3.0 można też podłączyć np. dysk zewnętrzny (i w prosty sposób stworzyć serwer NAS). Router umożliwia też łatwą obsługę inteligentnych gniazdek i termostatów typu smart.

FRITZ!Box 6890 LTE jest wyposażony w centralkę telefoniczną, do której można podłączyć tradycyjne linie telefoniczne i dzwonić ze swojego smartfona, wykorzystując aplikację FRITZ!App Fon. Aby powiększyć zasięg Internetu w domu, można też do niego dokupić wzmacniacz sygnału.

Minusy? Projektanci routera wciąż wymagają od użytkowników używania kart miniSIM, czyli największego rozmiaru, który dostajemy od operatora. Jednocześnie instrukcja ostrzega, aby przypadkiem nie używać adapterów do kart. Jeśli więc ktoś chciałby przełożyć do routera np. kartę używaną wcześniej we flagowym smartfonie lub choćby w innym routerze (najczęściej używane są w nich karty nanoSIM lub microSIM), to – czysto teoretycznie – nie ma takiej opcji. Trzeba zamówić u operatora nową kartę lub ryzykować „trwałym uszkodzeniem miejsca na kartę SIM". Na szczęście w praktyce ta wada nie występuje. Co prawda na potrzeby tego testu zamówiłem nową wielką kartę, ale po sprawdzeniu urządzenia bez problemu zacząłem stosować też inne karty nano i micro w odpowiednich adapterach i nic złego się nie stało. Największą – i dla wielu osób jedyną – wadą będzie więc tylko wysoka cena: testowany router kosztuje 1449 zł. ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ZĘBY JAK DRACULA

Niekoniecznie zakrwawione, koniecznie śnieżnobiałe i mocne. A to wszystko dzieki nowej szczoteczce elektrycznej o nazwie Talo, która, jak twierdzi producent, dopasowuje się automatycznie do każdego rozmiaru ust osób dorosłych, dzięki czemu szybko i równomiernie czyści każdy ząb w ciągu 20 sekund przy wybraniu odpowiedniego nacisku i kąta.
Aby używać innowacyjnej szczoteczki, wystarczy nałożyć odrobinę ulubionej pasty do zębów na dwie głowice szczoteczki, a następnie przytrzymać ją na miejscu przez 10 sekund. Po czym obrócić szczoteczkę, aby wyszczotkować drugą stronę jamy ustnej i przytrzymać ją przez kolejne 10 sekund. Talo kosztuje ok. 400 zł, zamawiać można na Kickstarterze. Dostawa najwcześniej w sierpniu.

ROWEROWA HYBRYDA

Rząd zdecydował się otworzyć tereny zielone, więc tym samym rozpoczął się sezon dla miłośników sportu rowerowego. A na rynek wchodzi kolejna rowerowa hybryda. Pojazd o nazwie The Babymaker – konstruktorom nie gratulujemy inwencji nazewniczej – to eBike łączący cechy zarówno tradycyjnych rowerów, jak i rowerów elektrycznych. Zalety: innowacyjny design, ukryte baterie i ultralekka rama oraz dodatkowa bateria 36V 7Ah i szybka ładowarka 4 Ah, do tego dochodzi też prosta w obsłudze aplikacja. Cena: ok. 4 tys. zł, zamawiać można na portalu Indiegogo. ©℗

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl 33dbceaddd

KAROLINA PORCARI POLECA JARMUŻ MEDITERRANEO

Od 20 lat jestem wegetarianką. Uwielbiam makarony, kasze, warzywa, grzyby, wszystkie rośliny strączkowe i owoce. To podstawa mojej diety. W kuchni inspiruję się na różne sposoby: podróżując, próbuję rozpoznać i zapamiętać smaki, aby po powrocie do domu odtworzyć dany przepis. Sięgam po książki kucharskie Marty Dymek, zaglądam na wiele blogów. I oczywiście sporo czerpię z włoskich przepisów rodzinnych: mojej mamy, mojego brata i moich ciotek. Lubię również eksperymentować, tworzyć własne przepisy. Dzisiaj zaproponuję wam właśnie przepis na jarmuż śródziemnomorski, który jest efektem moich kulinarnych eksperymentów.

Składniki:

- jarmuż
- 1 cebula
- 3 ząbki czosnku
- oliwa
- 100 g czarnych oliwek
- sól, papryczki chilli

Przygotowanie:

Na dużej patelni podsmażam ząbki czosnku w całości na oliwie. Kiedy z każdej strony ząbki stają się złote, wyjmuję je na talerz i rozdrabniam widelcem. Do tej samej gorącej oliwy wrzucam drobno posiekaną cebulę i podsmażam razem z papryczką chilli. Po kilku minutach do cebuli dodaję umyty, pokrojony jarmuż i oliwki. Przykrywam patelnię. Jeśli trzeba, dolewam odrobinę wody i duszę jarmuż do miękkości. Dodajemy rozdrobniony wcześniej czosnek. Sól i ostra przyprawa wedle gustu!

Uduszony jarmuż świetnie pasuje do kaszy gryczanej palonej i niepalonej, do pęczaku i do kuskusu.

Buon appetito! ©℗ ***oprac. raw***

FOT. TRICOLORS/EAST NEWS

Karolina Porcari jest polsko-włoską aktorką.

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

JOANNA BOJAŃCZYK

O drzewach

Program II Polskiego Radia nadawał przez cały tydzień gawędy Krzysztofa Pendereckiego, już po śmierci kompozytora. Z tych opowieści wyłoniła się postać człowieka niezwykle sympatycznego, mówiącego o sobie z humorem, dystansem, autoironią.

Muzyka wspaniała, choć wiele wymaga od słuchacza. Ale ja przyznam, że tym, za co najbardziej podziwiałam pana Pendereckiego, jeszcze za życia, były nie symfonie ani nawet cudowne pieśni zadumy i nostalgii, ale pasja dendrologiczna. Skutkiem wcielania jej w życie stało się imponujące 30-hektarowe arboretum w Lusławicach.

Gdy Pendereccy kupili Lusławice w roku 1973, dwór sypał się, park zarósł samosiejkami, bo wszystkie drzewa nadające się na deski wycięto. Za skarpą, na tyłach dworu, zostały chaszcze i porosłe trzciną bagna. Przed dworem ocalały resztki starodrzewu: dęby, graby, klony, jesiony, wierzby. I 80-letni amerykański tulipanowiec, kasztan jadalny, zasadzony przed wojną przez Włocha, oraz resztki alei lipowej. Sąsiedzi witali nowego sąsiada z nieufnością, obawiali się, że będzie to nowy „dziedzic krwiopijca". Czy to normalne, żeby ktoś kupował 10 ha tylko po to, żeby sadzić tam drzewa?

– Pod każde sadzone drzewo wlewałem kopę jaj – powiedział w radiu kompozytor. Sadzonki przywoził z podróży. Na początku kwietnia oraz we wrześniu i w październiku Krzysztof Penderecki nie grał koncertów – to okresy nasadzania. Kupował sadzonki w ogrodach botanicznych całego świata, przywoził w walizkach, przemycał w bagażu. Arboretum budował krok po kroku przez ponad 45 lat. Są w nim: ogród japoński, labirynt grabowy składający się z 15 tys. drzew, tarasowy ogród włoski, kolekcja roślin iglastych, egzotyczne drzewa i jedyna w Polsce aleja tulipanowców składająca się z 15 gatunków.

FOT. ADOBE STOCK

Oczywiście można powiedzieć, że Penderecki dysponował środkami, o których przeciętny człowiek nie może nawet marzyć. To prawda, ale poza pieniędzmi liczą się wytrwałość, znajomość rzeczy. I wielka miłość do przyrody.

Teraz, gdy turystyka zagraniczna zamarła i przerzucamy się na krajową, polecam zwiedzanie Lusławic i innych polskich arboretów oraz ogrodów botanicznych: w Rogowie, Bolestraszycach, Kórniku, Gołuchowie, Lądku-Zdroju, Czarncy... A jeśli ktoś chce zwiedzanie poprzeć wiedzą botaniczną, to niech zabierze ze sobą przewodnik Collinsa pt. „Drzewa".

Drzewa to wartość stała. Nie było nas, był las, nie będzie nas, będzie las. ©℗

eprasa.pl 33dbceaddd

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Nowe mocarstwa

Chiny się wzmocnią? Rosja zbankrutuje? Europa się rozpadnie? Ameryka zachowa prymat? W rozważaniach na temat skutków pandemii dominuje tradycyjne myślenie geopolityczne. Na tej szachownicy, czy raczej mapie, figury wciąż oznaczają państwa. Ale trochę zapominamy o zawodnikach, którzy już wygrali na tej sytuacji, stali się jeszcze potężniejsi, ale na mapie ich nie znajdziemy. W ogóle są jakby niewidzialni.

Acz są notowani na giełdach. Chodzi o korporacje, ale bardzo konkretne. Nie Coca-Colę czy Procter and Gamble. O te z segmentu – tak to nazwijmy – wirtualno-informatycznego. W ich grze liczy się zaledwie garstka zawodników wagi superciężkiej. To znacznie bardziej elitarne grono niż państwa aspirujące do układania porządku światowego. Właściwie to trzy firmy: Microsoft, Google i Facebook. Może jeszcze Amazon, acz my w Polsce wciąż jesteśmy nieco na uboczu jego imperium.

Kryzys pandemiczny unaocznił, jak bardzo jesteśmy zależni od tego świata. Kto tylko może, pracuje zdalnie, organizuje webinary, kupuje przez Internet. W tym nieistniejącym fizycznie świecie dzieją się dziś polityka, życie publiczne, handel, biznes, edukacja, rozrywka, nauka. Do świata wirtualnego musieli wejść ci, którzy jakimś cudem do tej pory go unikali. Obserwuję, jak w szkole mojego syna ostatni nauczyciele starej daty łamią się pod naporem okoliczności i pośpiesznie przyswajają wiedzę o Temasach, Googleclassach, Zoomach i tym podobnych. Niechętnie, z oporami, ale nie mają wyjścia. Już zaczęli się logować i będą to pewnie robić do końca życia. Już zostali wchłonięci.

Świat od jakiegoś czasu zmierzał do tego, by stać się jedną wielką bazą danych, ale teraz ten proces uległ przyśpieszeniu i być może finalizacji. Bazę tę posiadają i swobodnie się po niej poruszają trzy–cztery korporacje, o których wspomniałem wyżej. Prawdopodobnie żadne państwo nie dysponuje taką wiedzą o swoich obywatelach jak te firmy (z istotnym wyjątkiem Chin i ich systemem „zaufania społecznego"). Żadna społeczność, państwo, firma nie może funkcjonować bez niewymiernej przestrzeni użyczanej przez te korporacje. Jeśli kiedyś krwią świata była ropa naftowa, to dziś systemem nerwowym i jednocześnie powietrzem jest e-rzeczywistość. Do tej pory ułatwiała życie, teraz właściwie je umożliwia. To w jakiś sposób symboliczne, że kiedy się to dokonuje, ceny ropy naftowej osiągają wartości ujemne. Zmienia się porządek światowy.

Akurat kiedy to się dzieje, popsuł mi się laptop. Poszedłem do najbliższego serwisu. Informatyk mnie wysłuchał, a potem uprzedził, że szybko mi nie pomoże. Został zalany zamówieniami. Do jego zakładu trafiły nagle najstarsze rzęchy, które na gwałt trzeba reperować, łatać i cerować. Tak właśnie domyka się system. ©℗

MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Wywiad autonomiczny

Koronawirus to dla mediów czas transformacji, burzliwych przetasowań, zwolnień, awansów oraz eksperymentów z formą na niespotykaną skalę. To również moment, gdy absurdy jeszcze jaskrawiej rażą w oczy niedostosowaniem do rzeczywistości, w której z dnia na dzień przyszło nam żyć. Takim absurdem, być może od samego początku, są wywiady przeprowadzane w jeżdżących po Warszawie samochodach. Zaprasza się do nich polityka, celebrytę i artystę, aby po kilku rundkach otrzymywać wysyp cytatów na dowolny temat związany z PiS, sądami lub Jarosławem Kaczyńskim.

Tylko co począć, gdy ze względów bezpieczeństwa nie da się do auta zabrać gościa, na tylnej kanapie nie ma miejsca dla kamerzysty i zostaje smutne snucie się pustym volvo czy lexusem po pustych ulicach stolicy? Rozsądek podpowiada, że należy przenieść łączenia do tradycyjnego studia, na jakiś czas zmieniając format, który stracił rację bytu. Tak też stało się z cyklem pewnego dużego portalu, który jednak po paru tygodniach wrócił w stare koleiny. W ten sposób otrzymaliśmy ujęcia-memy pretendujące do miana symboli dziennikarstwa epoki późnego kapitalizmu. Samotny dziennikarz z refleksyjnym wyrazem twarzy spogląda przed siebie, a obok – dopasowane do rozmiarów fotela SUV-a – okienko wideo z liderem lewicy czy innym muzykiem-publicystą.

I tak sobie jeżdżą, słysząc się przez słuchawki i nie widząc nawzajem. Pryska czar bezpośredniości, który rodził się ze wspólnej przejażdżki i zamknięcia w niewielkiej przestrzeni, zostaje śmieszność. Ostatecznie o wszystkim decyduje jednak nie wyczucie estetyki i rozsądek, ale kluczowa zmienna współczesnych mediów – pozór racjonalności, który może się narodzić oraz przetrwać tylko w głowach specjalistów od marketingu. W końcu producent auta przeznaczonego na mobilne studio zapłacił za usługę z góry. Producent kawy, której kubek należy postawić na podłokietniku pasażerów – również. I jakoś trzeba eksponować ich produkt, mimo że reklamowe briefy trzeszczą w szwach w kontakcie z rzeczywistością, w której ani nikogo obok na fotelu nie ma, ani nikt tej kawy wypić nie może. Zastanawiam się, co czeka nas dalej? W końcu technologia od kilku lat pozwala wykroczyć poza obecne ograniczenia. Może za miesiąc, dwa, za kierownicą autonomicznego samochodu nie trzeba będzie już sadzać dziennikarza, tylko z domu połączy się on z celebrytą, przeprowadzając w pełni wirtualny wywiad we w pełni ekologicznym elektryku? Na swoim miejscu pozostanie tylko kawa. I może jeszcze PiS. Cóż za fascynujące czasy przed nami. ©℗

eprasa.pl 33dbceaddd

ANDRZEJ NOWAK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Zatrzymać Imperium Zła

Współczesne źródła największego zła biją nie z jakichś obskurnych jaskiń zbrodni, nie z obozów koncentracyjnych, ale ze schludnych, aseptycznych gabinetów władzy (niekoniecznie politycznej, może to być także władza właścicieli mediów, banków, korporacji). Tam podejmowane są decyzje o tym, co mamy myśleć, czym nas zabawić, a czym przestraszyć, jak odwrócić naszą uwagę od rzeczywistości i zająć ją nierzeczywistością, jak wpuścić nam do mózgu wirusa, który odbierze nam wolną wolę i przemieni w marionetki. Jak to proroczo opisał najwnikliwszy analityk diabelskiej natury owego systemu, C.S. Lewis („Listy starego diabła..." – „The Screwtape Letters"), te decyzje „są

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

podejmowane przez ludzi w białych kołnierzykach, którzy nie potrzebują nawet podnosić głosu".

Ale zło nie jest nowe. Zmieniają się tylko jego postaci, a zapomnienie o poprzednich jego wcieleniach jest jedną z metod stępienia naszej wrażliwości na jego odwieczny cel: dążenie do budowy „nowego człowieka" poprzez zabicie „starego", choćby i milionów tych „starych", którzy do „nowego" – oczywiście „lepszego", „postępowego" – nie chcą się zaadaptować. W XX w. tę ideologię najbrutalniej i najskuteczniej zarazem realizował marksizm (i jego mutacje), który doprowadził do śmierci setki milionów ludzi. Zaraził jednocześnie umysły co najmniej dziesiątków milionów; ich kolejne pokolenie wciąż uznaje się za elitę nowego, wspaniałego świata, który zbudować będzie można dopiero po zniszczeniu ostatnich jego wrogów: zatwardziałych obrońców tak rozmaitych staromodnych pojęć jak zdrowy rozsądek, miłość bliźniego, szacunek dla doświadczenia.

Mijamy właśnie niepostrzeżenie setną rocznicę pierwszej, niestety nie ostatecznej, klęski imperium zbudowanego wokół marksistowskiej wizji „nowego, lepszego świata". To setna rocznica zatrzymania pochodu skupionej pod sztandarem tej wizji bolszewickiej Rosji, pochodu „przez trupa białej Polski" – na Berlin, na Europę. Zatrzymany został latem 1920 r. przez Polskę, przez liczące w owym decydującym momencie nieco ponad 900 tys. żołnierzy Wojsko Polskie i wspierające je społeczeństwo. To było więcej niż społeczeństwo: to był świadomy swej wartości i dumny ze swojej tradycji naród. Oczywiście nie wszyscy mieszkańcy ówczesnej Polski, walczącej dopiero o granice po ponad 120-letniej niewoli, współtworzyli ten naród. Z bolszewicką nawałą walczyli także przedstawiciele innych wspólnot narodowych i tradycji, jak choćby ukraińscy sojusznicy spod znaku Symona Petlury, Białorusini pod komendą „bat'ki" Stanisława Bułak-Bałachowicza czy także ochotniczo walczący u boku Polaków Rosjanie (pod politycznym kierownictwem Borysa Sawinkowa), którzy swoją ojczyznę chcieli wyzwolić spod panowania marksistowskiej despotii. I wiadomo również, że byli Polacy – nie tylko jacyś niegramotni pracownicy folwarczni, lecz także potomkowie dumnych rodzin szlacheckich, jak Dzierżyński czy Marchlewski – którzy wybrali wtedy nienawiść do swojej rodzimej i rodzinnej tradycji, podeptali własny zdrowy rozsądek i gotowi byli zabijać miliony bliźnich – w imię społecznej „emancypacji". A jednak znalazło się wystarczająco dużo ludzi, którzy nie dali sobie wmówić, że ideologia strachu i nienawiści klasowej ich wyzwoli. I to oni obronili wtedy Polskę i – tak jest, to nie megalomania, ale fakt historyczny – przynajmniej pół Europy przed niszczycielskim wirusem wyprodukowanym w zacisznych murach British Museum (tam stary Marks stworzył swoją utopię).

Stalin, który nadzorował w lipcu i sierpniu 1920 r. front szturmujący Lwów, pisał wtedy do Lenina, że zaraz po rozprawie z Polską trzeba iść dalej, nie tylko na Berlin, lecz także na Budapeszt, Pragę, Wiedeń, w końcu na Rzym… Lenin popędzał inny front, z Tuchaczewskim na czele, by jak najprędzej ponad polskim trupem wyciągnąć rękę do niemieckiego proletariusza. Dzierżyński 4 sierpnia owego roku wydał znamienny rozkaz: „Wszystkich [ludzi] niebezpiecznych dla socjalistycznej rewolucji w Polsce, wszystkich przedstawicieli polskiej wielkiej burżuazji i szlachty, wszystkich znanych ze swej sympatii dla białopolaków – aresztować i skierować do obozów koncentracyjnych [naprawiť w koncłagierja]". Nasi przodkowie obronili Polskę i inne kraje przed tym scenariuszem – tylko i aż – na 20 lat...

Przypominam tę rocznicę i jej znaczenie w nowej książce, „Klęska Imperium Zła". Nie po to tylko, by przywoływać znane fakty i wprowadzać nowe, wydobyte z archiwów, szczegóły, ale po to, byśmy zastanowili się, jakie dziś Imperium Zła (to trafna nazwa Ronalda Reagana, o której genezie piszę obszernie w tejże książce) przybiera kształty. I skąd powinniśmy czerpać odwagę, by mu nie ulegać – ale demaskować jego rzeczywiste, paskudne oblicza i walczyć ze zniewoleniem, które niesie w swoich neomarksistowskich wariantach. ©℗

eprasa.pl 33dbceaddd

PRENUMERATA 2020 W CENIE 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIK „DO RZECZY"

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

NOWOŚĆ!

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

EWA ORNACKA

„WROBIONY W DOŻYWOCIE – SPRAWA ARKADIUSZA KRASKI"

~~619 zł~~ > **239,00 zł** < OSZCZĘDNOŚĆ 380 zł

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR. 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10, 539 953 631** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 33dbceaddd

Miejsce na Twoje pomysły.

SIMPLY SAFELY FOR LESS

RENTIS
Smart way to rent a car

+48 720 200 500 www.rentis.pl info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

BIAŁYSTOK +48 519 535 331 **BYDGOSZCZ** +48 519 535 300 **GDAŃSK** +48 519 535 311 **GORZÓW WLKP.** +48 519 535 327
KATOWICE +48 519 535 301 **KIELCE** +48 519 535 304 **KRAKÓW** +48 519 535 305 **LUBLIN** +48 519 535 318
ŁÓDŹ +48 519 535 308 **OLSZTYN** +48 519 535 314 **OPOLE** +48 519 535 307 **PŁOCK** +48 519 535 334 **POZNAŃ** +48 519 535 303
RZESZÓW +48 519 535 306 **SZCZECIN** +48 519 535 310 **WARSZAWA** +48 519 535 302 **WROCŁAW** +48 519 535 307

eprasa.pl 33dbceaddd